OPOWIEŚCI NIESAMOWITE

STR. 8 i 9

DROŻDŻE NA MYŚLENIE
STR. 3

★ ★ ★

PORTRETY
STR. 7

W BANKU BEZ MILIONÓW
STR. 4

ZAGADKA BERMUDÓW
STR. 12

MAGAZYN
STR. 15 i 16

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 43 (933) 23 PAŹDZIERNIKA 1975 r. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Przed kilku dniami zakończył się w Łodzi Ogólnopolski Przegląd Filmów Społeczno-Politycznych, który po dwuletniej przerwie po raz piąty odbywał się w naszym mieście. Film polityczno-społeczny powinien być oceniany także z punktu widzenia jego społecznej użyteczności, z przydatności do spełnienia zadań, jakie stawia mu się do wykonania. Jak ocenili V Przegląd jurorzy i komu przyznali nagrody znajdziecie w dzisiejszym numerze.

W ciekawym reportażu Ryszard Binkowski opowiada o opoczyńskim literacie, który śladami Kolberga chadzał. Poza tym rozpoczynamy nowy cykl: POLSKA 75. W pierwszym materiale jest mowa o brakach i usterkach w produkcji i ile nas one kosztują. W zakończeniu autor stwierdza: „Efektów dobrej roboty mamy już w naszym kraju wiele. Ciągle jednak — w tej dziedzinie warto być niecierpliwym, szukać nowych szans i szybko je wykorzystywać. Bo tylko ten, kto się rozumnie spieszy — nie pozostaje w tyle. Nam się powinno bardzo spieszyć".

„Pewnego dnia „Albert", jak zwykle, otrzymał pocztówkę z Paryża. Między wierszami zawierającymi pozdrowienia od przyjaciela, napisane było atramentem sympatycznym polecenie przyjazdu do Paryża na spotkanie z przedstawicielem Centrali".

Co się wydarzyło dalej dowiecie się czytając „Centrum tajnego frontu". Polecamy również fragment powieści Tadeusza Słupeckiego pt. „W banku milionów".

Tym razem fotoreportaż Włodzimierza Parysa pokazuje trenera naszej kadry narodowej Kazimierza Górskiego, do którego tekst opracowała Bogda Madej.

W numerze znajdą Czytelnicy również wszystkie stałe pozycje: felietony, wydarzenia na arenie międzynarodowej, informacje książkowe oraz dwie interesujące strony naszego Magazynu.

REPORTAŻ

RYSZARD BINKOWSKI

POD OGONEM DIABŁA

Idę na spotkanie człowieka, który chadzał „wielodrożem", tropiąc ślady Kolberga, Leonarda da Vinci. Ulica Partyzantów wybiega w pole, tu się kończy i zaczyna nowe Opoczno, z budowanymi ospale blokami, bo brakuje ludzi, sprzętu, albo materiałów. Rozkopana glina, brak zieleni, fetor z pobliskiego szpitala. Jeden z bloków tynkowany akurat, murarz ciągnie na linie wiadro z zaprawą, które podryguje zdradziecko nad głową wychodzącego z klatki schodowej krępego mężczyzny w brązowym garniturze. Uśmiech w ogorzałej twarzy, gęste szpakowate włosy, wesoły błysk szarych oczu, które wiele widziały.

Prowadzi na pierwsze piętro mieszkania z żyrandolami, pcv na podłodze i „pralkami" nowoczesnych kaloryferów; on, który tropił, pieszo i na rowerze, chałupy z wycinankami, pająkami pod sufitem, ludzi, którzy by coś zaśpiewali na swojską nutę albo sypnęli „legyndą".

— Zobacz pan — mówi — jaką „petrochemię" mam w kuchni.

Wielki bojler z plątaniną rur. Pierwsze piętro, ale woda rzadko dochodzi.

Pokazuje białe szafki, wyszperuje ze schowka zestaw metalowych pil, którymi wyciął te meble. Smykałka do majsterkowania po ojcu, który był mechanikiem. A syn gra na skrzypcach, maluje, pisze wiersze, powieści. Dziecko robotniczej Łodzi zakochane po uszy w opoczyńskim folklorze. Maria Wąsowicz-Sopoćko namalowała go w białej opoczyńskiej sukmanie, niebieskiej maciejówce, ze skrzypcami w ręku. Mówili więc, że chłopoman. Ale to nie tak.

— Kiedy miałem trzy lata, przenieśliśmy się do Tomaszowa, bo ojciec ustawiał maszyny w dzisiejszej „Wistomie". Ojciec zginął na wojnie, matka z rodzeństwem w biedzie, jako trzynastoletni chłopak biegałem w fabryce za laufra.

Mówi, żywo gestykulując, wyskakuje z tematu, rzuca na stół pięknie wydaną książkę. „Strachy na smugu". Bajki opoczyńskie. Zebrał i opracował Bolesław Wojewódzki. Jest w tej książce, napisanej gwarą, dwieście czternaście gawęd, w których życie chłopskie, serce chłopa, jego mentalność, wszystka mądrość, smutki i radości dnia powszedniego.

— Składałem w sprawie renty zaświadczenie, w którym wyliczono, że mam za sobą 43-letni staż literacki.

Ukończył seminarium nauczycielskie i Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty. Pisał. Debiutował w 1928 roku w „Głosie Tomaszowskim" wierszem „Topole" i felietonami „Tapeta poświąteczna" i „Biała i czarna wiosna". Za ten ostatni byłby nie doczekał matury.

Wyciąga stosy pism, wycinków, recenzji. Korespondencja z Leopoldem Staffem, któremu poświęcił poemat „Milknący zegar". Wiersze pisane gwarą i językiem literackim. Nagrody. Ostatnio nagroda II stopnia Funduszu Nauki i Kultury im. Stanisława Staszica za osiągnięcia w upowszechnianiu kultury oraz III nagroda, równo z Tadeuszem Papierem, za

Dalszy ciąg na str. 5

CENTRUM TAJNEGO FRONTU (III)

ANDRZEJ BLAJER

PIERWSZE ZADANIE

Po powrocie do Paryża Rado, zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, zawiesił działalność agencji „Inpress" oraz uregulował swoje interesy. **W grudniu 1935 roku** udał się do Brukseli w celu podjęcia próby osiedlenia się w Belgii, jednak zgodnie z przewidywaniami wizyta u szefa belgijskiej policji zakończyła się fiaskiem. Nie na wiele się zdały argumenty Rado o potrzebie otwarcia w Brukseli kartograficznego wydawnictwa naukowego i korzyściach, jakie płynęłyby zeń dla Belgii. Odmowa była zdecydowana. Sándorowi Rado nie pozostało więc nic innego jak zawiadomić Moskwę o niepowodzeniu, wrócić do Paryża i czekać na odpowiedź. Ta ostatnia nadeszła zresztą niebawem i przed Rado stanęło teraz z kolei zadanie załatwienia niezbędnych formalności, aby uzyskać zgodę władz tradycyjnie neutralnej Szwajcarii na osiedlenie się w niej na stałe. Wybór miejsca osiedlenia nie nastręczał tu specjalnych problemów, mógł być bowiem tylko jeden — **Genewa, siedziba Ligi Narodów, centrum światowego życia politycznego i** naukowego. I tak oto Sándor Rado po uzyskaniu zgody władz federalnych w Bernie i kantonalnych w Genewie oraz po uzyskaniu akredytacji przy Lidze Narodów, osiedlił się w Szwajcarii. Pozostało jeszcze tylko uzyskać zgodę na otwarcie wydawnictwa kartograficznego, co jednak dla obcokrajowca nie było wcale sprawą łatwą.

Początek został zrobiony. Rado mógł więc już właściwie przystąpić do pracy, ale Centrala była zdania, że należy z tym jeszcze trochę poczekać. Sàndorowi Rado potrzebny był bowiem teraz czas na „zaaklimatyzowanie się", „rozkręcenie" interesów „Geopressu", nawiązanie niezbędnych kontaktów. Wydawnictwo powinno pracować bez zarzutu tak, by nikt nie domyślił się prawdziwego celu działalności Rado w Genewie. On sam wiedział doskonale, że jako obcokrajowiec, na dodatek o antyfaszystowskich przekonaniach, będzie znajdował się cały czas pod czujną obserwacją ze strony policji. Rado musiał więc jak ognia unikać wszystkiego, co mogłoby wywołać u niej choćby najmniejsze podejrzenie względem jego osoby. Dlatego parawan musiał być szczelny.

Dom, w którym zamieszkał i otworzył biuro wydawnictwa nie został wybrany przypadkiem. Rado kierował się przy jego wyborze — usytuowaniem budynku. Chodziło o to, aby w jego bezpośredniej bliskości nie było innych domów i zabudowań, z których można by obserwować jego mieszkanie, jego samego i odwiedzających go gości. Dom pod nr 113 całkowicie spełniał te wymagania. Znajdował się bowiem na peryferiach miasta w średniozamożnej dzielnicy Secheron. Przed budynkiem rozciągał się stary park „Mon Repos". Niedaleko była fabryka wyrobów precyzyjnych znanej firmy szwajcarskiej, zaś prawie naprzeciwko domu znajdowała się siedziba Międzynarodowego Biura Pracy i światowe centrum Czerwonego Krzyża. Poza tym stąd do Ligi Narodów było tylko kilka minut drogi piechotą.

Samo mieszkanie, choć nie było zbyt duże, również przypadło Sàndorowi Rado do gustu. Składało się wprawdzie tylko z czterech pokoi, było jednak wyposażone we wszelkie niezbędne wygody. Jeden z pokoi przeznaczono dla dzieci, którymi opiekowała się babcia, drugi zajął Rado wraz z żoną, trzeci spełniał rolę salonu, zaś w czwartym urządzono gabinet biura agencji „Geopress". Poza tym był jeszcze jeden mały pokoik, który zajmowała służąca.

Początkowo nie brakło pewnych kłopotów związanych przede wszystkim z uruchomieniem agencji. Należało dopełnić wielu formalności, znaleźć współpracowników, otworzyć w banku konto spółki akcyjnej i rozpocząć kampanię na rzecz pozyskania subskrybentów wydawnictwa. Słowem, Rado musiał się zatroszczyć o to, aby nowo otwarta agencja kartograficzna stała się szybko popularna i by przynosiła dochody. Ze względów konspiracyjnych „Albert" nie szukał dla „Geopressu" osobnego lokalu. Pracowano w jednym z pokoi jego mieszkania. Tam opracowywano mapy, wykreślano je, przygotowywano opisy, a później, już gotowe, wysyłano do drukarni. Współpracowników było w zasadzie dwóch — jednym był kartograf-kreślarz, drugim — żona Rado — Helena, która przepisywała materiały na maszynie i zawiadywała sprawami administracyjno-gospodarczymi agencji. Okresowo odwiedzała ich pracownica Ligi Narodów, która prowadziła buchalterię. Zespół ten całkowicie wystarczał dla prowadzenia interesów wydawnictwa, które zresztą niebawem zaczęło przynosić zyski, otrzymywało bowiem coraz więcej zamówień. Popularność „Geopressu" stale wzrastała, m. in. dlatego, że jego właściciel miał liczne kontakty z Ligą Narodów.

Dalszy ciąg na str. 6

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

TEGOROCZNE NAGRODY NOBLA

Szwedzka Królewska Akademia Nauk przyznała tegoroczną Nagrodę Nobla w dziedzinie nauk ekonomicznych radzieckiemu matematykowi prof. Leonidowi Kantorowiczowi i uczonemu amerykańskiemu prof. Tjanllingowi Koopmansowi. Nagrodę przyznano za wkład tych naukowców w opracowanie teorii optymalnego wykorzystania zasobów gospodarczych.

Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny (fizjologii) uzyskali wspólnie David Baltimore (USA), Renato Dulbecco (Włochy) i Howard Martin Temin (USA) za badania w dziedzinie wzajemnego oddziaływania wirusa nowotworowego i materiału genetycznego komórki.

Nagroda Nobla w dziedzinie fizyki została przyznana prof. Aage Bohrowi (Dania), prof. Benowi Mottelsonowi (Dania) i prof. Jamesowi Rainwaterowi (USA). Nagrodę tę uzyskali za prace dotyczące teorii struktury jądra atomu.

Nagrodę w dziedzinie chemii otrzymali dwaj biochemicy — prof. John Warcup Cornforth, pracujący w W. Brytanii i prof. Vladimir Prelog z Zurychu.

DNI PRZYJAŹNI MŁODZIEŻY POLSKI I CZECHOSŁOWACJI

Socjalistyczny Związek Młodzieży CSRS i Federacja Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej przygotowały „Dni przyjaźni młodzieży Polski i Czechosłowacji". Odbywają się one w dniach 20-25 bm. na terenie Czechosłowacji. Jest to pierwsza tego typu inicjatywa w historii współpracy organizacji młodzieżowych obu krajów.

W przygotowaniach były pomocne doświadczenia ubiegłorocznych „Dni przyjaźni młodzieży polskiej i radzieckiej", podczas których gościliśmy w naszym kraju ponad 800-osobową delegację przodujących młodych obywateli Kraju Rad.

W Czechosłowacji w ciągu 6 dni przebywać będzie blisko 500-osobowa grupa młodych Polaków reprezentujących wszystkie środowiska młodzieży i regiony kraju.

PIĘCIORO POLAKÓW PRZEBRNĘŁO PIERWSZY ETAP

Ubiegły piątek był dniem szczególnych emocji dla uczestników IX Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w Warszawie. W godzinach popołudniowych zebrali się w hallu Filharmonii Narodowej uczestnicy konkursu, aby zapoznać się z werdyktem jury po 1 etapie.

Sąd konkursowy, obradujący pod przewodnictwem prezesa Towarzystwa im. Fryderyka Chopina w Warszawie, prof. Kazimierza Sikorskiego, zakwalifikował do drugiego etapu 34 pianistów z 12 krajów. Wśród nich jest pięcioro Polaków: Anna Jastrzębska, Hanna Jaszyk, Katarzyna Popowa-Zydroń, Elżbieta Tarnawska i Krystian Zimerman.

Najliczniej reprezentowane będą w II etapie cztery kraje: ZSRR (wystąpi cała ekipa), Polska, Japonia i USA, mające po 5 przedstawicieli.

NOWY SERIAL TELEWIZYJNY

Trwają zdjęcia do nowego serialu telewizyjnego pt. „Znaki szczególne", którego reżyserem jest Roman Załuski, a operatorem Janusz Pawłowski.

Siedmioodcinkowy serial powstaje na podstawie scenariusza współczesnego pisarza Andrzeja Twardochliba i opowiada o naszej wielkiej inwestycji morskiej, jaką była budowa Portu Północnego.

W filmie występują aktorzy: Bronisław Cieślak, Andrzej Żarnecki, Tadeusz Borowski, Włodzimierz Press, Zygmunt Malawski, Joanna Jędryka, Grażyna Barszczewska, Ewa Żukowska i sporo innych.

NAGRODY PISM

17 października br. w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych wręczono nagrody PISM za najlepsze prace z dziedziny współczesnych stosunków międzynarodowych, opublikowane w 1974 r.

Jury przyznało kilkanaście nagród i wyróżnień. W kategorii prac naukowych trzy równorzędne II nagrody (I nie przyznano) uzyskali Remigiusz Bierzanek (za pracę pt. „Załatwianie sporów międzynarodowych 1945—1973"), Janusz Gołębiowski („Ideologia i polityka współczesnej socjaldemokracji") oraz Józef Kokot („Od Poczdamu do Helsinek"). Za najlepszą pracę pt. „Nehru" poświęconą popularyzacji stosunków międzynarodowych nagrodę otrzymał Bogusław Mrożek.

WAŻNY DOKUMENT

Komisja Społeczna ONZ uchwaliła rezolucję w sprawie powszechnej realizacji prawa do samostanowienia. Dokument wyraża m.in. zaniepokojenie z powodu konfliktu w Angoli i odrzuca każdą obcą interwencję w tym kraju, jak również na Komorach.

Rezolucja piętnuje politykę członkowskich państw NATO i innych krajów utrzymujących stosunki polityczne, gospodarcze i wojskowe oraz kontakty sportowe z rasistowskimi reżimami Afryki Płd. i Rodezji.

Dokument potępia wszystkie rządy, które nie uznają prawa do samostanowienia i niepodległości narodów kontynentu afrykańskiego oraz narodu palestyńskiego. Rezolucja podkreśla ponadto słuszność walki narodów o niepodległość i wyzwolenie spod kolonialnej i obcej dominacji oraz stwierdza, że walka może być prowadzona przy użyciu wszelkich środków, również zbrojnych.

JERZY GOS

WIZYTA TŁUMACZA i PRZYJACIELA

W swoim inauguracyjnym wystąpieniu na III Zjeździe Tłumaczy Literatury Polskiej w Warszawie Jarosław Iwaszkiewicz skierował pod adresem międzynarodowego grona tłumaczy znamienne słowa: „Gdybyśmy traktowali tłumaczenie książek, przekładów z obcych literatur jedynie jako obowiązek rzemiosła, wzniosłego, ciężkiego, przynoszącego zaszczyt, ale jednak tylko rzemiosła, to byśmy za bardzo ograniczyli i pole waszego działania, i wasze znaczenie dla ogólnej kultury ludzkości. Musicie zawsze pamiętać, że tłumaczenie jest nie tylko rzemiosłem, ale jest także posłannictwem".

Jeszcze w kuluarowych rozmowach, w przerwach między kolejnymi posiedzeniami Zjazdu, mój interlokutor, dr Stojan Subotin z Jugosławii z entuzjazmem podkreślał symboliczne znaczenie jakże ważkich i celnych słów prezesa Związku Literatów Polskich. Mieliśmy okazję kontynuować dyskusję, ale już w Łodzi, gdy ten znany i wybitny tłumacz literatury polskiej i równie znany sławista, profesor belgradzkiego uniwersytetu odwiedził nasze miasto na zaproszenie Wydawnictwa Łódzkiego.

W trakcie krótkiej wizyty w siedzibie Wydawnictwa jugosłowiański gość zapoznał się z pracami translatorskimi w zakresie literatur narodów Jugosławii, przygotowywanymi do druku w łódzkiej oficynie.

Potoczyła się rozmowa o specyfice i wartościach językowych twórczości Ivo Andricia, prozie intelektualnej Mirosława Krleży, zawiłościach poetyki Vesny Parun, czołowej poetki chorwackiej.

Obok książek jugosłowiańskich, propozycji do przekładu na język polski, pojawiły się w rękach rozmówców publikacje Wydawnictwa Łódzkiego. Szczególne zainteresowanie wzbudziły książki L. Gomolickiego, W. Karczewskiej, Wł. Rymkiewicza, J. Wawrzaka oraz ostatnie nowości, wśród nich książka Z. Kuchowicza „Obyczaje staropolskie" oraz „Rzecz poetycka" — świadectwo aktywności łódzkiego środowiska literackiego.

Miły pobyt w Wydziale Kultury Urzędu Miejskiego dostarczył okazji do zaprezentowania przybyszowi z bratniej Jugosławii dorobku łódzkich środowisk twórczych. Z serdecznym zainteresowaniem śledził S. Subotin informacje o osiągnięciach artystycznych naszego środowiska plastycznego, muzycznego, teatralnego, literackiego i filmowego. Z żywością potwierdzał zadzierzgnięte już przyjacielskie kontakty między jugosłowiańskimi i łódzkimi teatrami (Teatr Wielki, Teatr im. S. Jaracza, Teatr Powszechny, Pinokio). Wypytywał o łódzką prasę kulturalną, czytelnictwo i sprawy recepcji literatury.

Czas zatem, aby zapoznać czytelnika bliżej z postacią Stojana Subotina, zasłużonego propagatora polskiej kultury w Jugosławii.

Z Polską związał się jeszcze w czasach studenckich, słuchając wykładów profesorów Alma Mater Cracoviensis w roku 1947. Od tego czasu zawsze wraca do Krakowa jak do swego rodzinnego miasta. Potem przyszły lata studiów i pracy naukowej uwieńczone obroną doktorskiej dysertacji w roku 1957 na temat „Powieści Teodora Tomasza Jeża o Jugosłowianach". Dalszy plon kontaktów z Polską został potwierdzony w publikacji wydanej w Belgradzie w roku 1969 a zatytułowanej „Z polsko-jugosłowiańskich kontaktów literackich". W książce zmieściły się studia o przekładach na język serbsko-chorwacki dzieł Adama Mickiewicza, o recepcji twórczości Juliusza Słowackiego i Jana Kasprowicza w literaturze serbskiej i chorwackiej. Przypomniane zostały również mało znane polskiemu historykowi literatury dzieje wpływów twórczości A. Mickiewicza i J. Słowackiego na pisarstwo i działalność Franje Markovicia (1845—1914), jednego z najwybitniejszych chorwackich pisarzy drugiej połowy XIX wieku.

Trudno wymieniać tutaj wszystkie, rozsiane po prasie naukowej i literackiej, polskiej i jugosłowiańskiej, prace z dziedziny wspólnych kontaktów kulturalnych.

Dodać w tym miejscu należy, że od wielu już lat wykłada na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Belgradzkiego polska literaturę nowożytną i współczesną dla studentów polonistyki i rusycystyki, inspirując w kręgach studenckich szereg inicjatyw w zakresie prac translatorskich z naszej literatury.

Ktokolwiek przebywał w jego belgradzkim domu, a jest on zawsze otwarty dla Polaków, przejeżdżających przez stolicę Jugosławii, nie zapomni zapewne wrażenia, jakie wywarł na nim zbiór poloników, znajdujących się w posiadaniu profesora. Śmiem twierdzić, iż jest to najlepiej zaopatrzona biblioteka polonistyczna, nie tylko w Belgradzie.

Drugim, równoległym nurtem działalności popularyzatorskiej prof. Subotina są prace przekładowe. Lista ich jest znaczna. Otwierają ją wydane w Jugosławii w roku 1947 i 1950 nowele i opowiadania Henryka Sienkiewicza, następnie przychodzą książki Żeromskiego: „Przedwiośnie" i „Syzyfowe prace". Później systematycznie, w odstępach kilkuletnich zjawiają się w jugosłowiańskiej księgarni utwory Orzeszkowej, Morcinka, Gojawiczyńskiej (oczywiście „Dziewczęta z Nowolipek", tłumaczone wspólnie z Janem Nowakowskim), Schulza „Sklepy cynamonowe", Żukrowskiego, Iwaszkiewicza „Matka Joanna od Aniołów", i z przekładów najnowszych „Nauka o literaturze" Markiewicza.

Nie wyczerpię rzecz jasna wszystkich przykładów, nie wspomnę również o szeregu drobnych utworów i fragmentów publicystyki naukowej zamieszczanych w licznych serbskich czasopismach.

Zapytany o aktualne plany profesor Subotin wymienił ukończony już przekład, czekający na druk w wydawnictwie belgradzkim, który pewnie mile zaskoczy polskiego czytelnika. Jest nim „Rękopis znaleziony w Saragossie" Jana Potockiego, jeden z nielicznych przekładów dzieła Potockiego na języki słowiańskie. Na warsztacie tłumacza, jak zwykło się mawiać, znajduje się książka M. Janion „Romantyzm, rewolucja marksizm", której tłumaczenie również zostało już zakończone.

Polska doceniła działalność i pracę Stojana Subotina. W uznaniu zasług prof. Subotin został odznaczony w minionym roku Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a w bieżącym roku, w czasie trwania Zjazdu Tłumaczy medalem „Zasłużony dla Kultury Polskiej".

I tym akcentem chciałbym zakończyć prezentację, dodając jednocześnie, że książki S. Subotina posiadają zwykle dedykację „Przyjaciołom Polakom"

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

NIE ILUSTRACJE LECZ PROBLEMY

Jury Ogólnopolskiego Przeglądu Filmów Społeczno-Politycznych, który po dwuletniej przerwie po raz piąty odbywał się w Łodzi, stanęło przed zadaniem szczególnie trudnym. Film polityczno-społeczny powinien być oceniany także z punktu widzenia jego społecznej użyteczności, z przydatności do spełnienia zadań, które stawia mu się do wykonania. A są to zadania ważnego przekaźnika treści światopoglądowych, mającego zastosowanie w szeroko pojmowanej pracy wychowawczej, szkoleniu partyjnym, w pracy masowo-politycznej. Na twórców stawiających sobie do realizacji takie plany, podobnie jak na tych, którzy próbują dokonać ocen ich pracy, czyha niebezpieczeństwo ulegania pokusie ułatwień. Jak bowiem połączyć w sposób właściwy ambicje artystyczne sztuki filmowej z konieczną tu doraźnością? Jak uczynić tę doraźność zaletą przekazu filmowego? Jak formułować w filmie prawdy postaw światopoglądowych?

Zarówno twórcy, jak i jurorzy potrafili poradzić sobie z tymi dylematami podstawowymi przecież dla filmu o tematyce społeczno-politycznej. Zgłaszane od dawna postulaty unikania na ekranie łatwej dydaktyki znajdują realne odzwierciedlenie w dziełach. Nagrodzone na łódzkim przeglądzie utwory mogą być przykładami nowoczesnego, problemowego myślenia o współczesności, podobne ambicje wykazują (choć jeszcze z mniej widocznym skutkiem) filmy o tematyce historycznej. W sytuacji, w której film nie stawia sobie ambicji ilustratorskich, ale traktuje podjęte tematy jako problemy do rozwiązania, niezgoda widza na stanowisko twórcy zawarte w dziele zostaje wliczona w zakres przewidywanych zalet filmu, jako element pobudzający do myślenia, prowokujący do dyskusji. Film przełamuje więc sytuację, w której kryterium jego oceny było równoznaczne jedynie z kryterium słuszności przekazywanych myśli. Zarazem realizacje te napotykają przecież na właściwe przyjęcie odbiorcy. Istotnym jest także fakt, że tendencje do twórczego, a nie odtwórczego traktowania tematów można było dostrzec nie tylko w filmach wyróżnionych nagrodami, ale również w sporej części pozostałych.

Jury V Przeglądu przyznało cztery równorzędne nagrody główne. Jedną z nich otrzymał **Krzysztof Kieślowski** za zrealizowany w WFD film **„Życiorys"**; trzy pozostałe stały się udziałem twórców dwu innych wytwórni: łódzkiej **WFO — Piotra Andrejewa i Leszka Skrzydło** oraz reżysera **„Czołówki"** — **Włodzimierza Dusiewicza** — autora filmu **„Polacy w paradzie zwycięstwa"**. **Piotr Andrejew** otrzymał nagrodę za dwa zgłoszone do przeglądu filmy: **„Środek drogi"** i **„Taki układ"**. Leszek Skrzydło przedstawił filmy z coraz bardziej interesującej — w miarę powstawania kolejnych ogniw tematycznych cyklu — serii **„Biblia"**: nagrodzoną właśnie część II **„Interpretacja opowieści biblijnych"** i część V **„Według Nowego Testamentu"**.

Jednakże filmem, który wzbudził największe zainteresowanie był **„Życiorys" Krzysztofa Kieślowskiego**. Film ten określono: **„analiza postawy moralnej członka partii"**. Przyjęcie takiego anonsu jako zgodnego z zawartością problemową filmu narzuca jednak interpretację skłaniającą do zajęcia się przede wszystkim bohaterem głównym: członkiem partii stającym przed komisją kontroli partyjnej. Tymczasem sprawa wygląda bardziej skomplikowanie.

„Zainscenizowany wcześniej był tylko sam życiorys, obfitujący zresztą w fakty bardzo charakterystyczne, wyszperane w ankietach personalnych. Potem znaleźliśmy człowieka, który w jakiś sposób utożsamił się z naszym bohaterem, tzn. umiał bronić jego racji, umiał szukać argumentów. Tę sprawę i tego człowieka przedstawiliśmy autentycznej Komisji Kontroli Partyjnej, która obradowała tak, jak by to były wypadki rzeczywiste" — stwierdził twórca filmu.

Postać bohatera głównego jest więc jakby syntezą pewnych, określonych w trakcie filmu postaw, spełnia zarazem rolę elementu obcego wprowadzonego sztucznie w sytuację realną, w realną grupę ludzi — autentycznych działaczy partyjnych. Typowość konfliktu gwarantuje zatem typowość stosunku do bohatera. Jego rola jest zaprogramowana; spontaniczne są reakcje członków komisji. Spontaniczne — ale w porządku dokumentu filmowego. Natomiast w porządku postaw — jak najbardziej konwencjonalne. Źródło konfliktu sprowokowanego przez twórcę: bariera wzajemnych nieufności, konformizmu, dwulicowości, przedziału na sferę prywatną i oficjalną — znajdują przedłużenie w świecie realnym, rejestrowanym na filmowej taśmie. Powstał z tego film doprawdy fascynujący. Synteza losów bohatera pozwala na dokonanie analizy rzeczywistości wykraczającej poza przedstawiony wprost w filmie obszar geografii społecznej. „Życiorys" zrealizowany jest techniką „telewizyjną", ale obraz niesie tu znaczenia dodatkowe, a nie tylko ilustrujące prosty przebieg wydarzeń.

Zarazem jest ten film przykładem realizacji nowych planów **Wytwórni Filmów Dokumentalnych** przedstawionych podczas V Przeglądu. Z zamierzeń tych można przede wszystkim odczytać pełną akceptację nienowej przecież, ale z pewnością najbardziej potrzebnej jakkolwiek nieczęsto skutecznie realizowanej w praktyce formuły filmu dokumentalnego. Filmu, którego domeną ma stać się nie rejestracja przemian kulturowych, ale ich obserwacja i interpretacja zarazem — w pełni problemowe traktowanie podejmowanych zagadnień.

Podobne zasady określają zamierzenia łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych w ramach tematyki społeczno-politycznej. W polu zainteresowań twórców znajdą się w najbliższym czasie kontynuacje cykli tematycznych dotyczących problemów współczesnego życia i gospodarki; powstaną także cykle nowe — podobnie jak dotychczasowe nastawione na podejmowanie najtrudniejszych często i ważnych zarazem tematów. Osobne działy stanowić będą filmy dotyczące problemów młodzieży i spraw światopoglądowych.

TELEWIZJA

CZWARTEK, 23. X. — program I

20.25 — „KIM JEST WAM" — kryminał prod. angielskiej. **Prywatny detektyw Harry Rub ściga młodą dziewczynę, która zerwała stosunki z rodziną i wdała się w nieczystą aferę. Reżyseria — Jeremy Summes. Wyk: Robert Vaughan, Nyree Dawn Poter i inni. Kolor.**

22.25 — „Relacja z Konkursu Chopinowskiego".

PROGRAM II

20.20 — „Z TWÓRCZOŚCI KOMPOZYTORÓW ROSYJSKICH I RADZIECKICH" — w tym popularnym już cyklu, prezentacja dorobku twórczego Arama Chaczaturiana.

PIĄTEK, 24. X. — program I

21.10 **W Kinie Nocnym zostanie zaprezentowany dramat sensacyjny „Mroczne przejście" z lubianego cyklu „Filmy z Humphreyem Bogartem".**

PROGRAM II

21.00 — „Jutro sobota" — widowisko estradowe, w którym wystąpią: **Maryla Rodowicz, Anita Dymszówna, Stanisław Ptak, balet „Le soleil"** i inni.

SOBOTA, 25. X. — program I

15.15 — STUDIO 2 — w tym bloku programowym redagowanym przez zespół Mariusza Waltera między innymi zobaczymy: ciąg dalszy akcji „Życzliwość", trzeci odcinek filmu „Lhotse", kolejny odcinek serialu „Porucznik Hawk" dyskotekę, zespół Mortale.

PROGRAM II

17.35 — „GODZINA GRUPY ST 60" — uczestnikami tego spotkania będą artyści — fotograficy, którzy jeszcze na przełomie lat 50-tych i 60-tych utworzyli grupę fotografii artystycznej „Stodoła 60".

22.15 — „DZIESIĘCIU MAŁYCH INDIAN" — **scenariusz tego fabularnego filmu prod. USA został oparty na powieści Agaty Christie. Reżyseria George Pollock. Wyk: Hugh O'Brian, Shirley Faton, Leo Freen.**

NIEDZIELA, 26. X. — program I

10.40 — „MICHAŁ ANIOŁ" — część III (ostatnia) filmu biograficznego prod. włoskiej.

17.20 — Lucian Kydryński przedstawi Charlesa Aznavoura, który śpiewać będzie swoje głośne przeboje. Kolor.

20.35 — „CZŁOWIEK, KTÓREGO ZWANO KATEM" — western prod. USA z udziałem Roberta Taylora.

PROGRAM II

16.40 — W Sywetkach X Muzy wystąpi **Halina Kowalska-Nowak.**

PONIEDZIAŁEK, 27. X. — program I

20.20 — Teatr TV na Świecie przedstawi dwie jednoaktówki „Gdyby została w domu" i „W pokoju" współczesnego wybitnego dramaturga węgierskiego Karoly Szakonyi.

22.35 — Relacja z Konkursu Chopinowskiego — będzie to podsumowanie wyników III etapu. Program prowadzi red. Henryk Schiller. Kolor.

PROGRAM II

21.50 — „W BARKOWYM NASTROJU" — **Elżbieta Stefańska — Łukowicz** (klawesyn) i Kazimierz Moszyński (flet) grać będą Sonaty h-moll i Es-dur Jana Sebastiana Bacha w salach Zamku Wawelskiego.

WTOREK, 28. X. — program I

18.45 — „MATYSIAKOWIE" — **interesujący reportaż filmowy Barbary Pietkiewicz o narodzinach radiowej powieści, ich twórcach i bohaterach, z okazji 1000-nej audycji. Kolor.**

20.25 — „WIELKA PRZEMIANA" — pierwszy odcinek filmu ser. prod. radz., komedii społeczno-obyczajowej, której akcja toczy się w małym miasteczku, w szkole dla dorosłych. Kolor.

PROGRAM II

21.35 — SPOTKANIA Z MELPOMENĄ — „Teatr Staropolski" — będzie to widowisko teatralne, oparte na mało znanych fragmentach staropolskiej literatury dramatycznej z okresu średniowiecza i renesansu.

ŚRODA, 29. X. — program I

19.30 — KONCERT LAUREATÓW IX MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU PIANISTYCZNEGO im. FRYDERYKA CHOPINA — będzie to bezpośrednia transmisja z sali Filharmonii Narodowej. Kolor.

SOBOTNIA ROZRYWKA

Miniona sobota była wyjątkowa pod względem rozrywki na szklanym ekranie. Zobaczyliśmy aż trzy — i to bardzo różne — widowiska. W drugim programie jako „Wieczorny gość" pojawił się u nas **Wieńczysław Gliński**, aktor niezwykle sympatyczny, pełen ciepła, umiejący stwarzać urokliwe nastroje, czy choćby nastroiki. Pomagali mu w tym **Ewa Borowik** i **Czesław Roszkowski**, ale najbardziej chyba pomógł bezpretensjonalny tekst **Jacka Janczarskiego** — jednego z najlepszych autorów radiowych.

W pierwszym programie szedł w tym czasie francuski melodramat, zapowiedziany jako „dozwolony od lat 18", a więc większość telewidzów zapewne nie przekręciła gałki. W finałowej piosence „Wieczornego gościa" wykonawcy śpiewają piosenkę z refrenem: „Nieobecni nie mają racji". Nieobecni na tym programie nie mieli na dodatek prawdziwej frajdy goszczenia u siebie Wieńczysława Glińskiego.

Gorzej było natomiast w programie pierwszym. **Mieczysław Pawlikowski** wmawiał w nas w sobotnie popołudnie, co lubimy w rozrywce. Program **„Co kto lubi"** zmienił ostatnio nieco formę, stał się estradową kawiarenką, w której pan Zagłoba uchodzi za kogoś w rodzaju polskiego Deana Martina, który przedstawia... Ale cóż, zasada, że program realizowany na zamówienie tzw. szerokiej publiczności, będzie się szerokiej publiczności podobał, rzadko się sprawdza. Zawsze wychodzi z tego potężny i rozwichrzony melanż, gdzie obok „Budki Suflera" i „Tropicale Tahiti Granda Banda" jest Zapasiewicz z wierszami Norwida i Bohdan Paprocki z operową arią.

Pozornie wydawać by się mogło, że to bardzo chwalebna różnorodność. W praktyce program bywa zlepkiem bez konstrukcji — czymś w rodzaju worka, do którego wrzucamy piosenkę, balet, wiersz i monolog — potrząsamy i jest... kot w worku. No cóż — podpieranie się listami tzw. przeciętnych odbiorców dawno już przestało robić wrażenie na tych ostatnich. A tak na marginesie — przeciętny odbiorca nie jest po to, aby realizować programy — od tego telewizja powinna mieć fachowców. Jak tak dalej pójdzie, restauracje każą konsumentom układać jadłospisy.

Gwoździem programu sobotniego był natomiast koncert **„Dobry wieczór, tu Łódź"**, wg scenariusza **Ryszarda Czubaczyńskiego**, w reżyserii **Jerzego Woźniaka**. Obsada była znakomita; przepiszmy tu listę obecności: **Maria Koterbska, Halina Kunicka, Zofia i Zbigniew Framerowie, Maryla Rodowicz, Helena Majdaniec, Zdzisława Sośnicka, Urszula Sipińska, zespoły „Pro Contra" i „Homo Homini" „Soleil" oraz Edyta Wojtczak i Jan Suzin.**

Był to bez wątpienia jeden z najlepszych koncertów tego cyklu. Pomysł scenarzysty z wprowadzeniem narracji... Arsena Lupin **(Wojciech Pokora**, oczywiście) — znakomity i wiążący całość. Dynamiczna praca kamer, świetne sceny zbiorowe, a jak to wyglądać musiało na kolorowo, mogę sobie tylko wyobrazić. Tylko znowu do zwartej całości wkradły się typowe „telewizyjne" zgrzyty. W finale oglądamy **Jadwigę Strzelecką** i **Marka Grechutę** — w koncercie ich nie było. Na planszach są nawet ich nazwiska, ale w montażu „wylecieli". A przecież jeśli się przyjmuje konwencję koncertu z widownią, to takie przeoczenia są irytujące dla telewidza.

W sumie jednak sobotni turniej rozrywki telewizja wygrała 2:1. Na minus bowiem zapisujemy tylko „Co kto lubi", choć oczywiście, bardzo lubimy Mieczysława Pawlikowskiego. Ale jako aktora, autora wspomnień i przepisów kulinarnych nawet, niestety, nie jako polskiego Deana Martina.

ZASTĘPCA

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny) WIESŁAW JAZDZYNSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

POLSKA–75

KRZYSZTOF POGORZELEC

DROŻDŻE NA MYŚLENIE

Z czystego przypadku, po prostu przechodzę obok niej, obserwuję pewną budowę. Nie można powiedzieć, blok rósł jak na przysłowiowych drożdżach. Raptem sześć miesięcy i w oknach pojawiły się firanki. Tyle tylko, że jakoś załoga wznosząca ten wieżowiec nie zabierała swoich budowlanych manatków, jakby nie mogąc się z tym domem, swoim przecież dziełem, rozstać. I tak jest do dziś: kręcą się różni spece, kują, wymieniają, tam znowu coś dodają, cegła, cement, farba, w najlepsze panują wokół owego bloku, tak jakby był dopiero w budowie. Ki diabel?

— Ano, panie szanowny — wyłożył mi całą rzecz jeden z kręcących się po terenie robotników — **robimy usterki. Normalka!**

I poszedł sobie. A mnie, muszę to przyznać, do głębi poruszyło to słowo: usterki. Z dodatkiem — „normalka", a więc zwyczajność, o co tu w ogóle kruszyć kopie?

Otóż właśnie — jest o co i zaraz się z tego poglądu wytłumaczę, przy czym, aby całą rzecz ująć we właściwszych chyba proporcjach proponuję słówko „usterki" ściśle wiążące się... z budownictwem, zamienić na pojęcie bardziej rozszerzone, a mianowicie b r a k i, pod czym z pewnym uproszczeniem mówiąc kryje się wszystko to, co nie jest tym czym... być powinno. I chyba mogło.

ILE NAS TO KOSZTUJE?

Nie ma potrzeby, a i nie leży to w moim zamiarze, czynienie z problemu występowania w naszej działalności gospodarczej (czy tylko? — dop. red.) brakoróbstwa czy też najzwyczajniejszego w świecie niechlujstwa. Nie jest to jednak problem dający się rozpatrywać wyłącznie w kategoriach ekonomicznych, zatrąca o sferę obyczaju, kultury, kształtowania osobowości i postaw, można nawet powiedzieć, że ma to zjawisko swoje punkty odniesienia, podłoże w dalszej i tej zupełnie jeszcze „świeżej" przeszłości. Pozwolę sobie jednak w tym miejscu na pewien cytat. Oto on:

„Głównym zadaniem w nadchodzących latach należy uczynić wszechstronne podnoszenie jakości pracy i warunków życia naszego narodu. Wszędzie — w produkcji, w postępie naukowo-technicznym, w sposobie życia, w działalności politycznej i społecznej, w kształtowaniu stosunków międzyludzkich — trzeba zapewnić prymat kryteriów jakościowych".

Taką myśl zawiera jedna z tez Wytycznych KC PZPR na VII Zjazd partii. Jest to więc wyraźna wskazówka co do roli, jaką w przyszłym, zamierzanym dopiero rozwoju, ma spełniać właśnie c z y n n i k j a k o ś c i o w y, determinujący postęp — przyśpieszający go bądź też hamujący w przypadku niezadowalających rezultatów. I mając za sobą taki autorytet sięgam po — niestety — fakty. Ograniczę się przy tym do przemysłu kluczowego, po prostu ze względu na dostępność liczb. Tak więc **w roku 1971 straty wynikłe z wadliwie wykonanych wyrobów przedstawiały wartość 7.755 milionów złotych.** W roku ubiegłym ta sama pozycja strat oscylowała wokół kwoty **11.200 milionów**, by w pierwszych sześciu miesiącach bieżącego roku dojść do poziomu **6.100 milionów złotych.**

Liczby te wymagają pewnego komentarza, który, mam nadzieję, osadzi je w odpowiednim świetle. Otóż, z pewnością są to wielkości poważne, znaczące gospodarczo i społecznie (kto wie czy to drugie właśnie bardziej) chciałoby się powiedzieć, że owa wadliwa produkcja, te źle wytworzone wyroby, b r a k i — kradną nam — społeczeństwu jakąś część dochodu narodowego. To po pierwsze i takie uogólnienie jest absolutnie słuszne. Z drugiej równocześnie strony nie można dopuścić do mitologizacji tego zjawiska, do narodzin innego fetysza — a mianowicie zupełnie pozbawionej braków produkcji. W tej dziedzinie jest to po prostu zupełnie niemożliwe, nie ma bowiem zawsze idealnie działających maszyn i urządzeń, nigdy nie jest tak, by człowiek zaangażowany w proces wytwarzania był zawsze jednakowo wysoko sprawny, nigdy nie popełniał omyłek w obsługiwaniu nawet najbardziej zautomatyzowanej produkcji. I wszystko to — choć też jest prawdą nie wyklucza k o n i e c z n o ś c i i społecznej i ekonomicznej możliwie największego minimalizowania zjawiska tam, gdzie jest to tylko możliwe.

Właśnie — czy jest taka możliwość?

CZY SZYBCIEJ ZNACZY GORZEJ?

Postawiłem tutaj to pytanie celowo z pewnym zamysłem polemicznym, jako że lansować tezę, w myśl której właśnie szybkość w połączeniu z czynnikiem ilościowym stawianych zadań stanowią ową siłę sprawczą produkcji nie najlepszej jakości. Taki pogląd wydaje mi się tyle samo pesymistyczny co nie mający pokrycia w bardzo wielu faktach również zaczerpniętych ze sfery produkcji przemysłowej, choć zgoda i na to, że w warunkach ustępowania podaży popytowi istniała i nadal w wielu dziedzinach jest jeszcze przesłanka spychania na plan dalszy właśnie jakości. „Życie Gospodarcze" stwierdziło niedawno w swoim aktualnym komentarzu ekonomicznym:

„Zmora bubli i powstanie swoistej tolerancji dla partactwa to bardziej może psychiczny niż materialny koszt szybkiej industrializacji naszego kraju. Industrializacji dokonywanej rękami setek tysięcy ludzi, którzy poza ofiarnością niewiele z sobą przynieśli, którym brakowało nawyków pracy starannej i których do wyższej jakości pracy niezbyt dopingował istniejący system ocen wyników ich działalności. System preferujący to, czego brak odczuwany był najbardziej. Brakowało wszystkiego, preferowano zatem ilość.

Dziś jeszcze mało kto, oczekujący kilka lat w kolejce po klucze do mieszkania, nie weźmie ich, dlatego, że drzwi do łazienki nie chcą się domknąć. Ale o nabywcę męskiego garnituru producent i handel muszą już zabiegać. Niedorozwój sfery usług sprawia, że hydraulik — fuszer nawet — jest w cenie, a panienka w biurze podróży może sobie pozwolić na arogancję. Lecz lodówkę z obitym blatem da się sprzedać tylko po obniżonej cenie. Krótko mówiąc, na jakość przymyka się oko w sytuacji rynku sprzedawcy. Generalnie rzecz biorąc, z takim charakterem rynku mamy wciąż do czynienia w naszym kraju, choć coraz częściej klient może sobie pozwolić na wybrzydzanie".

A więc praca, jej j a k o ś ć, może sprawić, że nasz licencyjny magnetofon jest gorszy i mniej trwały od swojego pierwowzoru od Thompsona rodem, a łódzki adapter „Foniki" ustępuje seryjnemu przecież i masowemu „telefunkenowi".

Czynniki biorące udział w tej grze są więc rozliczne i nie ma co ukrywać, że bardzo złożone, bo sięgające kultury pracy, nawyków, organizacyjnej sprawności, rzetelności wszystkich partnerów biorących udział w procesie produkowania — bez względu na to, ostatecznym rezultatem jest wieżowiec o iluś tam mieszkaniach czy też kostium kąpielowy typu „bikini". A że właśnie z tym bywa bardzo różnie — to już chyba nie muszę PT Czytelnikom wyłuszczać. Nie mogę natomiast oprzeć się chęci przytoczenia fragmentu pewnej rozmowy, w której sam brałem niepoślednio udział. Chodziło o obiekt, który po, jak się to nazywa, „odebraniu", ukazał swoje wady, usterki, inaczej mówiąc — był takim budowlanym brakiem:

— Są poważne usterki, trzeba będzie je usunąć...

— Są.

— Kiedy to zrobicie? Ludzie się męczą...

— Jakoś to się tam przepchnie, nie ma pożaru. Poślemy tam paru ludzi. Ale — redaktorze: odebrali? No więc — jestem w porządku. Dla mnie — to tak jak w sklepie ze skarpetkami. Kupione — noszone.

Komentarz własny: coś mi się wydaje, że jest to dosyć uproszczona „filozofia" podaży i popytu tudzież odpowiedzialności. No, ale to już całkiem inna sprawa...

MŁOTKIEM CZY SPOSOBEM

Wracajmy jednak do podstawowej kwestii, której nie boję się nazwać wypowiedzeniem wojny brakoróbstwu, przy czym nie chodzi nam o wygranie tylko jeszcze jednej bitwy. W tym właśnie celu sprowadziłem ten problem do wyrobów przemysłowych.

Dlaczego?

Z prostego dosyć względu. Otóż, jak wykazały badania, nieco więcej jak połowa wszystkich wyrobów wybrakowanych, które obciążyły państwowy przemysł w ubiegłym roku, pochodzi z przedsiębiorstw należących do Ministerstwa Przemysłu Maszynowego. Przypadek? Z pewnością nie. Tam właśnie występuje największa kooperacja, bardzo długi łańcuch producentów, składających się na końcowy produkt, tam też mamy do czynienia z największym skomplikowaniem procesów technologicznych, a razem biorąc z najbardziej wyraźnym nakładaniem się, sumowaniem drobnych nawet odstępstw od reżimu technicznego, organizacji pracy, czy wreszcie najzwyklejszej niesolidności. Mówiąc konkretnie: badania przeprowadzone w dzierżoniowskiej **„Diorze"** wykazały, że na powstawanie jakościowych bubli składają się m.in. — w ponad 38 proc. ukryte wady w częściach dostarczonych przez kooperantów, wadliwe wykonanie narzędzi — w 10 proc. przepuszczanie złych wyrobów do dalszej produkcji — 6 proc., niesumienność lub nieuwaga pracowników — 7 proc., nieprzestrzeganie dokumentacji technicznej — 2 proc. Czy to nie daje bardzo dużo do myślenia, czy wobec tych czynników procesu wytwarzania nie należy zastosować odpowiedniego remedium?

Ale czy tylko?

Pozwolę sobie odwołać się w tym miejscu do opinii wyrażonej na łamach **„Literatury"** przez prof. **Jerzego Bukowskiego**, któremu znajomości rzeczy trudno odmawiać.

Stwierdził on:

Nowoczesność produkcji samochodów ostatnich dziesiątków lat: ideał samochodu rozpadającego się po czterech latach. Stałe pobudzanie ludzi do kupowania rzeczy coraz nowych, często mniej trwałych. W obecnej sytuacji surowcowej świata jest to nie do utrzymania. Nasze poglądy na wiek fizyczny i wiek moralny każdego sprzętu musimy zmodyfikować. Musimy przywrócić znaczenie określeniu „trwałość". Musimy dojść do tego, że para obuwia noszona na zmianę z dwiema innymi przez trzy lata, da nam więcej zadowolenia, niż trzy pary lichych pantofli kupowanych każdego roku. Pour epater les bourgeois można w aparacie radiowym zmieniać pokrętła na klawisze i twierdzić, że to jest nowoczesność, ważne jest nie to, czy kręci się gałką czy naciska klawisz, ale jak długo to będzie działać bez zepsucia. To jest różnica między nowoczesnością a nowością. Nowoczesność musi być lepszością, przynajmniej w zakresie produkcji dóbr powszechnego użytku.

Mamy zwyczaj mierzyć dobrobyt i standard życia możnością dużego zużywania wszelkiego rodzaju dóbr: energii elektrycznej, środków lokomocji itd. Im wyższe spożycie na głowę, tym lepiej. A warto zastanowić się, czy cnota oszczędności w owym spożywaniu nie zapewniałaby nam lepszych warunków życia. Nie musielibyśmy wówczas t y l e produkować. Dzięki temu moglibyśmy l e p i e j produkować. Nie musielibyśmy się ciągle śpieszyć i być może zdołalibyśmy uchronić się przed inwazją szeregu chorób współczesnej cywilizacji.

Oczywiście nie głoszę, że jedyny sposób na szczęśliwość to powrót do zaciskania pasa i wyrzeczeń. Nie. Ale co innego marnotrawstwo. Należę do pokolenia, które miało wpojone, bez małą na równi z nakazami religijnymi, szacunek chleba. Do dziś nie zdobędę się na to, żeby wyrzucić skórkę od chleba. A ileż tysięcy ton chleba pochłaniają nasze śmietniki i za ile milionów dolarów kupujemy równocześnie zboże! A choćby sprawa papieru, wszelkiego rodzaju opakowań szkła?"

* * *

Szukamy możliwości dalszego przyśpieszenia naszego społeczno-gospodarczego rozwoju, tworzymy w ogólnonarodowej dyskusji zręby programu na lata 1976—1980. I dobrze, gdy t w o r z ą c, zwracamy uwagę na nasze dotychczasowe słabości. Bo od: w i e d z i e ć, z n a ć — bliżej jest do znalezienia odpowiedzi na pytanie c o r o b i ć.

Dalszy rozwój musimy zapewnić, sięgając głębiej do możliwości tkwiących w gospodarce. Są jeszcze rezerwy stosunkowo proste do uruchomienia, ale zwiększyć się musi wpływ czynników podstawowych dla utrwalenia dynamiki rozwoju. Są to czynniki intensywne, czynniki jakościowe. W każdej postaci.

Mówiąc prościej: owe czynniki podstawowe ukryte w ogólnym pojęciu j a k o ś c i, to zarówno prawidłowa organizacja i właściwe wykorzystanie czasu pracy, wykonanie zadań wytwórczych tak, by jedni nie dublowali drugich, a siły wytwórcze — ludzie i maszyny, były angażowane i wykorzystywane dla rzeczywistego zwiększenia produktu społecznego, a nie do naprawiania tego co inni — delikatnie mówiąc — sfuszerowali.

Są to jednak też racje oczywiste, a nawet chyba dają się one sklasyfikować do owych stosunkowo łatwych do urzeczywistnienia, rezerw. Dynamizm oznacza bowiem nic innego, jak sięganie po n o w e, wychwytywanie i realizowanie szans, których może jeszcze onegdaj nie było albo nie potrafiliśmy ich dostrzec. Dochodzimy tutaj do źródeł rozwoju gospodarczego tkwiących w coraz bardziej złożonej pracy i to we wszystkich dziedzinach naszego życia społeczno-gospodarczego.

Owo doskonalenie i dynamizowanie przez j a k o ś ć może mieć różny kształt i wymiary, a jego skutki mogą mieć wpływ zarówno na sytuację wewnętrzną kraju, jak i nasze stosunki gospodarcze z obcymi rynkami. Nie można zresztą tych dwóch „stron" gospodarowania oddzielać, jako że współistniejemy w świecie międzynarodowego podziału pracy, specjalizacji tudzież innych zgoła „akcji" Nasz rozwój jest zawsze w jakimś przynajmniej stopniu uwarunkowany tymi zależnościami i dobrze rozumiem łódzkiego eksportera. **„Textilimpex"**, gdy obok takich stwierdzeń, jak „wzrost cen na surowce, 12 miliardów dolarów — to znaczy 5 razy więcej niż w przypadku obrabiarek — warte są obroty światowe wyrobami włókienniczymi, zamierzamy zwiększyć efektywność naszego eksportu", określa równocześnie środki prowadzące do tego celu, m. in. zmniejszenie własnych kosztów wytwarzania, ale przede wszystkim możliwość oferowania towarów poszukiwanych, atrakcyjnych dla kupujących, a więc n o w o c z e s n y c h, właśnie zawierających ową jakość. To samo można zresztą odnosić do rynku wewnętrznego, coraz żywiej reagującego na to co dobre, bardziej udoskonalone i dlatego rozumiem troskę komentatora **„Życia Gospodarczego"**, starającego się dociec powodów zbyt wolnego wzrostu liczby towarów uhonorowanych jakością **„1"** czy nawet symbolem **„Q"**, co oznacza światowy poziom.

Efektów dobrej, rzetelnej roboty mamy już w naszym kraju wiele. Rekord świata w tempie budowy elektrowni w Kozienicach to też produkt **„made in Poland"**. Ciągle jednak — w tej właśnie dziedzinie warto być niecierpliwym, szukać nowych szans i szybko je wykorzystywać. Bo tylko ten kto się rozumnie śpieszy, patrzy na czołówkę — **nie pozostaje w tyle. Nam się powinno bardzo śpieszyć.**

NIE TYLKO HISTORIA

CZYTADŁO ZBIGNIEWA KUCHOWICZA

Rzadka to rzecz, by książka napisana przez profesjonalnego historyka — badacza, w dodatku uniwersyteckiego profesora, mogła się stać tak zwanym czytadłem, czyli czymś takim, co czyta się jednym tchem, z nieustającym napięciem uwagi, nieraz zarywając kilka godzin nocy po to, aby dojść do końca. W większej jeszcze mierze niż do drukowanej w „Odgłosowym" odcinku pracy o Barbarze Radziwiłłównie, odnosi się to do nowej książki Zbigniewa Kuchowicza, mianowicie do pięknie opublikowanego przez „Wydawnictwo Łódzkie" tomu, opatrzonego tytułem „Obyczaje staropolskie XVII—XVIII wieku" (1975). Praca ta przynosi szeroką i barwną panoramę swoistej staropolskiej obyczajowości, owego sarmackiego stylu życia, który w dawnych wiekach tak interesował zagranicznych podróżników po naszym kraju, obyczajowości która w jakiejś mierze oddziałała również na późniejsze pokolenia. „Obyczaje obecne rewolucjonizowane są przez przemiany gospodarczo-społeczne — pisze Z. Kuchowicz. — Stulecia, rząd generacji dzielą nas od rozpatrywanych czasów. Mimo tego dystansu nie wydaje mi się, by obyczajowość staropolska stanowiła zamkniętą, obcą nam dziedzinę, dostrzegam jej długie trwanie i oddziaływanie nawet na nasze pokolenia. Społeczeństwo polskie miało i ma żywe zainteresowania historyczne, wiadomo, że chętnie sięga do prac dotyczących dziejów ojczystych. Cieszyłbym się, gdyby ta książka zainteresowała czytelnika, uprzytomniła mu wiecznie żywą więź z przeszłością, bogactwo i oryginalność naszych kulturowych tradycji".

Przez opowieść o „stołach pańskich i chudopacholskich", relację o „uciechach z Bachusem", rozważania o stanie zdrowotności Z. Kuchowicz prowadzi czytelnika w krąg zagadnień, w których na poczesne miejsce wysuwają się sprawy dawnej mody, obyczaju miłosnego, gier i zabaw, najróżniejszych rozrywek. Autor nie ogranicza się jedynie do przedstawienia obyczajowości pańskiej, czy szlacheckiej: stara się w miarę możliwości dotrzeć do niższych warstw społecznych, zaglądnąć do chłopskiej chałupy. A wszystko to, o czym opowiada, nasyca historycznym konkretem: zręcznym cytatem ze źródła, wierszem, anegdotą, nieraz nie pozbawioną pikanterii. To właśnie jest sposób pisania Z. Kuchowicza. Historyk nie unika uogólnień, do jakich uprawnia go zebrany i zaprezentowany czytelnikowi szeroki i barwny materiał. Pośród nich akcentuje, że świadomość odrębności, indywidualności obyczajowej Polaków stanowiła jeden z czynników, określających ich przynależność narodową, że była „istotnym momentem w kształtowaniu się nowoczesnego narodu polskiego, więzią scalającą różne warstwy społeczne dawnej Polski". Zwraca uwagę na oddziaływanie staropolskiej obyczajowości na pokolenia, żyjące w czasach porozbiorowych. Dorzuca do tego, że wiele znaczyły tu nie tylko modele szlacheckie, ale i wzorce magnackie, aktualne jeszcze w pierwszej połowie XIX w., dla niektórych grup społecznych jeszcze i później.

Historyk dochodzi do współczesności, skoro zastanawia się nad... reliktami dawnej obyczajowości szlacheckiej w naszych czasach. Sprawę tę podejmowali niejaz publicyści, jak Z. Siedlecki na łamach „Trybuny Ludu" w 1968 r. Tutaj byłbym jednak skłonny pospierać się ze Z. Kuchowiczem. Co innego bowiem analogia, co innego genealogia: czy czasem autor nie bierze analogii za... relikt? Na przykład wówczas, kiedy powiada, iż odbiciem szlacheckiego stylu życia wydaje mu się nasza tytułomania (największa w tej części Polski, która była pod zaborem austriackim), „przywiązywanie wielkiej wagi do stroju, elegancji" (nie większe, niż u innych, zamożniejszych narodów), zamiłowanie do samochodów znanych i uznanych marek (znacznie mniejsze niż gdzie indziej, ze zrozumiałych względów)? Nasza namiętność do wojażowania, w szczególności za granicę, przypomina autorowi „ruchliwość i upodobania" Polaków z dawnych wieków. Ale nie ma z nimi wiele wspólnego; gdyby ją z nich wywodzić — musielibyśmy dojść do konkluzji, że najwięcej cech sarmackich zachowali pod tym względem... Amerykanie. Ale żart na stronę: Z. Kuchowicz dał nam dostatecznie wiele przykładów na to, że dawna staropolska obyczajowość wywarła wpływ na obyczaje współczesne. Równocześnie wskazał na odmienność polskiej obyczajowości od innych, podkreślił, że „odmiennie przebiegały przemiany struktur obyczajowych większości krajów europejskich, nawiązujących do stylu życia i mentalności mieszczańskiej, hołdujących innym regułom i normom". Na twierdzenie zaś, którym historyk zamyka swą książkę, mianowicie, że „obyczaje polskie XVII—XVIII wieku nie we wszystkim bowiem stanowią jedynie odległą, zamkniętą przeszłość" pisać się trzeba, czy to się komu podoba, czy też nie.

Na zakończenie jeszcze jedna refleksja. Książka Z. Kuchowicza je t pracą zarazem naukową i popularną. ukową dlatego, że jest wynikiem ługotrwałych, szeroko zakrojonych adań autora, popularną zaś dlatego, że uczony potrafił, bez szkody dla ścisłości swych rozważań, zrelacjonować wyniki swoich poszukiwań w sposób klarowny, łatwo dostępny dla niewykształconego nawet w dawnej historii czytelnika, że uczynił to z talentem. Nie pierwszy to raz zdarza się Z. Kuchowiczowi, ale nie jest to zjawisko zbyt częste w naszym współczesnym piśmiennictwie historycznym. Niewątpliwie też najlepsza jest ta popularyzacja, która jest jednocześnie nauką.

LEKTOR

LITERATURA

TADEUSZ SŁUPECKI

W BANKU BEZ MILIONÓW

(FRAGMENT POWIEŚCI)

— L o d z! Aussteigen, bitte!
— Łódź, proszę wysiadać!

Na wspomnienie niemieckiego kolejarza i jego okrzyku czułem się zawsze tak, jakbym nagle wpadł w głęboką wodę. Coś z tego odczuwałem w tamtą mroźną grudniową noc, kiedy zza Bugu powróciłem do Łodzi. W ozdobionej swastykami sali dworca ktoś półgłosem bąkał o godzinie policyjnej dla Polaków. Odczułem to jak pierwszy upokarzający smak niewoli. I w nagłym buncie, nie czekając świtu, ruszyłem naprzeciw odmienionemu miastu. Czujny jak zwierzę, gdy wracając do jamy, poczuje w niej obcy zapach.

— A jednak wróciłl!

Tylko nasza mroczna izba zachowała swojski zapach rodzinnego domu. Już mnie w niej opłakano w przekonaniu, że podczas ucieczki zginąłem. Aż nagle i niespodzianie wróciłem! Bracia przyglądali mi się sennie spod pierzyny na swym łóżku, matka co rusz dotykała mnie nieufnymi rękami i pochlipując ze szczęścia wyjmowała z kredensu chleb, ojciec plątał się po izbie w nocnej, flanelowej koszuli. Potem matka przytaszczyła balię, nagrzała na piecu garnek wody, kazała mi się wykąpać. Moją bieliznę, pumpy i wytartą marynarkę związała w prześcieradło i wyniosła do komórki, aby po mieszkaniu nie rozbiegły się przyniesione przeze mnie wszy. A ja leżałem na swym dawnym składanym łóżku w swojskim zapachu rodzinnego domu.

Nasłuchiwałem odgłosów matczynej krzątaniny i powoli zapadałem w sen.

— Wysiedlili Polaków z bloków na Polesiu!

— Z Julianowa, Radogoszcza, Karolewa! Wysiedlają w śródmieściu!

— Wczoraj na dworcu stał pociąg z wysiedleńcami z Poznania. Polscy kolejarze widzieli w wagonach trupki zmarzniętych dzieci!

Wiadomości spadały w naszą izbę jak kamienie. Rano za oknami leżał śnieg, szyby malował mróz. W takie zimowe świty wysiedleni Polacy budzili się w nieogrzanych wagonach, z przerażeniem patrzyli na skostniałe w nocy zwłoki swoich dzieci. Matka słysząc o tym płakała, bracia przysuwali się pod pierzyną bliżej siebie, a ojciec przezornie kazał nam pakować tobołki. Aby nie stało się z nami tak, jak z tymi, co budzeni nagle w nocy, zabierali z sobą do nieogrzanych pociągów klatki z kanarkami.

Matka wzywała Boga co wieczór, klęcząc przed krucyfiksem stojącym na tandetnej bieliźniarce. Patrzyłem na to myśląc, że klęczy chyba niepotrzebnie — Bóg z mojego kraju odszedł daleko, może nie było go już ponad światem, może nie było go nad nim nigdy. Nie zwierzałem się z podobnych myśli nikomu, mnie samego napełniały one wtedy lękiem o utratę pośmiertnego raju. Żegnałem się więc pobożnie znakiem krzyża, razem z klęczącymi obok braćmi i ojcem. Wiecznie we mnie czujne zdziwienie rejestrowało jednak w mózgu fakty, tworzyło z nich później nowe oceny rzeczywistości. Przestawałem wierzyć, że o losach ludzi decydował KTOŚ ponad światem. Zaczynałem dostrzegać inne siły sprawcze, mechanizmy praw społecznych, rolę ślepego przypadku.

— Ja jestem, Herr Offizier, ein Professor.

Myślałem nieraz o ojcu Trudy. Kiedy ujrzałem go po raz pierwszy, na ulicznym chodniku stał przed nim znajomy profesor. Na nosie drżały mu ze strachu okulary w złoconej oprawie i widziałem, że profesor się myli lub próbuje ocalić pochlebstwem. Bo Anton Mager oficerem nie był, lubił jedynie paradować w żółtym mundurze bojówek SA — zaspokajało to w nim, widać, ciągoty do munduru nie grożąc żołnierskim ryzykiem. Razem z ojcem Trudy był jego syn Franz, mówiący mu zdrobniale: „tatusiu..."

— Vatt, słyszałeś tego gnojka? Pokaż mu, kto teraz jest profesorem!

Wtedy tamtemu spadły na chodnik złocone okulary, a z nosa pociekła krew. Po czym już bez oporu podreptał na trzecie piętro najbliższego domu. Choć był stary i naprawdę uczył w liceum. Podreptał, aby znosić meble na czekający na ulicy konny wóz, z drugiego polskiego mieszkania, zmienianego przez Antona Magera na trzecie. Był to bowiem dla Niemców i łódzkich volksdeutschów okres prosperity i wielu z nich bogaciło się na nowym, hitlerowskim ładzie.

— Du alte schweine! Dowiedź, stara świnio, żeś profesor! Zanieś do wozu jeszcze nocnik.

Na to wspomnienie burzyłem się od nowa. Nie umiałem pogodzić się z krzywdą starego profesora, niosącego na ulicy nocnik. Tym widokiem upokorzono w mych oczach całą wiedzę ludzkości... Jej kulturę i człowieczeństwo...

— Dopóki nie dostaniesz pracy, nocuj ze mną w banku. Tu Niemcy po ciebie nie przyjdą.

Korzystałem z rady ojca przez kilka tygodni. Jego bank mieścił się przy ulicy Piotrkowskiej, o krok od Placu Wolności. Bank przed wojną dyskontował weksle, bogacił się na procentach od pożyczek. Należał do żydowskiej spółki, a ojciec był tu woźnym. Przez pierwsze kwartały okupacji pilnował w nocy bankowych pomieszczeń i zastępował palacza.

Lubiłem noce w tym banku, było w nich coś niezwykłego. Chodziłem tam tym chętniej, że o tej porze wyłapywano z mieszkań niepracujących i wysyłano na roboty do Rzeszy. Ale chodziłem do banku również dlatego, że ojciec niedołężniał. Jego kalekie dłonie potrzebowały pomocy.

— Wybierz żużel. Przegarnij ruszty. Podsyp koksu.

— Teraz sprawdź poziom wody. Bo inaczej para wysadzi bank lepiej od kasiarzy.

Ojciec rekompensował sobie kalectwo ciągłym pouczaniem, lecz ja chętnie uczyłem się jeszcze jednej w mym życiu umiejętności. Sprawdzałem więc uważnie mosiężne krany, odczytywałem na manometrze temperaturę, po czym wracałem z ojcem na górę. Tam, w służbowym pokoiku, gotowałem namiastkę kawy, słodziłem ją ojcu i sobie, popijając nią chleb z marmoladą, nakrojony w domu przez matkę. Potem sprawdzałem z ojcem zamknięcia zamków i krat na drzwiach wejściowych, z bankowych kocy i poduszek dla woźnych szykowałem w hallu dwa posłania, na drewnianej ławie dla interesantów. Pierwszy układałem się na niej do snu, słuchając tykania ściennych zegarów, sennie patrząc na długie kontuary, za którymi w dzień siedzieli urzędnicy, odgrodzeni od świata połyskiem niklowych okuć i szklanych tafli. Na ojca, który kalekim krokiem człapał przez bankowe sale i w zadumie przystawał przy oknach na ulicę. Potem zapadałem w sen, myśląc mgliście, że ojciec pragnął tam chyba dojrzeć to, co nam zrabowano, a co człowiek zawsze nazywał wolnością. Albo, że wypatrywał tam czegoś innego, co było jednak znane tylko jemu.

— Głupcy. Ciągle im się wydaje, że są czymś lepszym od woźnych.

O urzędnikach banku ojciec wyrażał się z niechęcią, godzinami mógł mówić o ich przywarach i śmieszności. Ale dopiero później zrozumiałem ojcowe kompleksy, nawarstwiające się w nim latami, w miarę postępów jego choroby. Kompleksy woźnego, który stopniowo stawał się kaleką i przez lata kłaniał się bogatym kupcom, podawał im płaszcze. Służył bankowym urzędnikom, wiecznie zajętym liczeniem pieniędzy i odgrodzonym od woźnych połyskiem szklanych szyb. Przez te lata ojciec nieraz myślał, że jego nigdy nie przed światem nie chroniło. Ani w dzieciństwie, kiedy mieszkał w podłódzkiej wsi, ani później, gdy kolejno był wiejskim cieślą, górnikiem, murarzem i fabrycznym robotnikiem. Ani tutaj, w owym banku, który okazał się szczytem jego kariery. Gdzie z pensji woźnego mógł nawet przez lata odłożyć nieco gotówki i kupić za nią placyk na przedmieściu. Po to, aby w życiu również zostać k i m ś (...)

To także wymruczał kiedyś ojciec, przy bankowym oknie, przez które wypatrywał tego, co w jego życiu nie nadeszło. A potem niespodziewanie kazał mi pójść za sobą w głąb bankowego lokalu. Idąc tam widziałem wygięte w kabłąk plecy ojca, jego siwiejącą głowę, zawsze opuszczoną do przodu. Choroba przez lata wykrzywiała mu kręgosłup, palce dłoni i spuchnięte stawy w kolanach, naziębionych niegdyś w wilgotnych kopalniach Śląska. Dlatego dłonie ojca stawały się coraz bardziej bezwładne, a krok kaleki. Jego powolność mnie jednak nie drażniła. Lubiłem nawet to niespieszne chodzenie przez rozległe pomieszczenia banku, który był dla mnie również cząstką odkrywanej rzeczywistości. Bankowe sale czekały na nas puste i milczące, jak opuszczone przez wiernych kaplice, a ja rozglądałem się po nich z nabożną ciekawością.

— Za to kupimy potem wszystko.

Słuchałem słów ojca z niedowierzaniem lustrując wzrokiem drukowany, błyszczący papier. Działo się to w służbowym pokoiku, położonym na końcu długiego szeregu łączących się z sobą sal. Tu ojciec kazał mi przystawić do ściany biurową drabinkę, wspiąć się po niej do zakurzonej antresoli pod sufitem, gdzie pod starymi skoroszytami leżało kilka dużych paczek. Zniosłem jedną z nich na dół, rozerwałem papier opakowania. Ujrzałem pod nim arkusiki innego sztywnego papieru. Połyskliwie białego, z fabryczną winietą, z kolumnami dwujęzycznych słów i nadrukiem liczb.

— Widzisz? To są akcje Widzewskiej Manufaktury.

Wiedziałem od ojca, co znaczy słowo „akcje", znałem także mury owej widzewskiej fabryki. Nie rozumiałem jednak, co bankowy woźny może kupić za cudze akcje. Ojciec tłumaczył mi to z mentorskim uśmiechem, rekompensującym mu kalectwo, mówił o milionach, jakich warte były te papiery. W dniu ewakuacji zwiózł je do banku sam Oskar Kon, najbogatszy żydowski fabrykant w mieście, by je ukryć w bankowych kasach. Ale bankowi urzędnicy także uciekali już z miasta lub kryli się w swoich domach. Oskar Kon biegał więc po pustych salach i wymyślał nieobecnym urzędnikom od żydowskich tchórzy. Na koniec złapał się rękami za głowę, akcje kazał zrzucić na podłogę hallu i również umknął. Żołnierze Hitlera byli już bowiem blisko i wystraszony dorożkarz nie chciał dłużej czekać przed bramą. Za te paczki, zwalone w bankowym hallu, ojciec z początku złościł się na Kona. Potem sprowadził urzędnika, bojącego się Niemców mniej niż inni i ukrył je z nim w antresoli. Później urzędnika zastrzelili Niemcy przy wysiedlaniu. I tak ojciec stał się jedynym właścicielem tajemnicy ukrycia konowskich akcji.

— Niech Kon tylko powróci do swojej fabryki. Zobaczysz, z miejsca odpali nam za nie dwadzieścia procent ich wartości. No, niechby dziesięć. Dziesięć procent od milionów!

Słowa ojca wtedy mnie fascynowały, fascynował mnie także jego wygląd. Konowskie miliony zdawały się spadać na niego złotym, uzdrawiającym deszczem, przywracały mu siły, niby woda z cudownego źródła lub z równie cudownej chmury. Zdawały się prostować jego zgarbione plecy, opuchnięte kolana, pokrzywione palce artretycznych dłoni. Unosiły wyżej jego głowę, zwykle opuszczoną do przodu i ostrzyżoną na jeża. Odbijały się w jego oczach obrazem własnej kamienicy, ślusarskiego warsztatu dla mnie, dużego sklepu dla średniego brata. Nareszcie mieliśmy po wojnie zostać k i m ś, z tą wizją miało nam być łatwiej iść przez okrutny okupacyjny czas. Wynieśliśmy więc z banku konowskie miliony w teczkach, unikając na ulicach niemieckich żandarmów. Wynieśliśmy z braćmi do naszej małej izby, z wiosną zakopaliśmy na przedmieściu, na ojcowym placyku. W drewnianej skrzyni, obitej szczelnie papą, co miało chronić akcje przed zbutwieniem z wilgoci. Nie przeczuwaliśmy jednak, że nawet grubo smołowana papa nie uchroni konowskich milionów przed HISTORIĄ.

Fragment powieści pt. „Samotne drogi", która ukaże się wkrótce nakładem Wyd. „Iskry".

MIECZYSŁAW KUCNER

ŁÓDŹ – projekt miasta

Łączy i dzieli nas Miasto,
podstawa i grunt, projekt i praxis;
dla nas wstający dzień, sygnał i pobudka,
i pajęczyna nocy pod zgasłą powieką.

Jest też naszą jedyną tarczą
i grotem naszym serdecznym;
czytamy w nim nasz brakiem skończony dzień,
zapadający się w przepaść sensu.

Miasto z niewoli milczenia wyrosłe,
uznane i wywyższone w swym bycie,
co rano otwierające się tysiącem dróg
dla niecierpliwych głodów naszych.

Łączy i dzieli nas Pamięć,
starsza od twojego i mojego życia;
ciała wybuchające styczniem i czerwcem,
szyderstwo losu i ziemią nakryty szloch.

Głodni jesteśmy siebie, kiedy wracamy
z jesieni i wiosen w twojomoje sploty;
mamy kilka wspólnych zaułków i tajemnic,
kilka twarzy w niepogodzie i zmarszczkach.

Łączy i dzieli nas Przyszłość,
zapatrzeniem odległa, zmęczeniem nakryta,
upadająca pod wizją połamanych obłoków,
pod milczeniem jak w wymionach mleko.

Ale niżej praca zawiązuje się w pieśń,
w tkaninę zdarzeń przebogatą jak książka;
tak dziewczyna śpieszy na spotkanie
z palmą, czółenkiem i troską.

CZWARTY WYMIAR: OJCZYZNA

Zanurz dłonie w gęstej materii czasu,
w micie, w muzyce, w strumieniu srebrzystym,
napój oczy chmurą, kobietą, ptakiem w locie,
zdziwieniem wypełnij się jak trawa rosą.

Z pytań zbuduj dom, niech okazały będzie,
by chyżolotnym nie oparł się chęciom, czytaj
z kamienia i z upadku, zawierz zmysłom i snom,
jeśli snem oczu jest dotyk, nie kłamią zmysły,

kryptogram wzorzysty tkając dla dociekliwości naszej,
gdzie u początku jest zawsze możliwość dotkliwa,
macierz wyobraźni, zanim przeszyje nas jej promień,
zanim pojawi się słowo w koronie innych słów

i odsłoni twarz tego, co zwycięsko wyrasta
spod toporów czasu. Ten nieuchwytny kapitał,
weksel na nieokreślony czas przyszły, pozwala
nam orać i siać, przy swoim stać i pisać wiersze.

Nieliczni z nas wszakże tropią to nienazwane coś;
nawóz i siłę, to niezmordowanie przekraczające
nasz wymiar, postawę i wzrost, obawy i troski,
co dróg tysiącem nieustannie zawiązuje nam oczy.

RAFAŁ ORLEWSKI

KIEDY

kiedy bieg krwi się odwróci
kiedy rozbiją się atomy myśli
kiedy wiatr będzie miał
twardość kamienia
a człowiek
niepodzielność natury

wtedy
rzecz stanie się słowem

PIES

patrzycie na siebie ty i mój pies
zastanawiam się czy jego spojrzenie
jest mądre i czy jest wierne
myślę że jest mądre kiedy ty
mądrze mu w oczy patrzysz
i jest wierne gdy ty
wiernie na niego spoglądasz

REPORTAŻ

(Dalszy ciąg ze str. 1)

powieść „Ludzie jak ludzie", w konkursie literackim „Ziemia Stefana Żeromskiego".

Ponad dwadzieścia odznaczeń państwowych. Nosi w klapie jedno — Krzyż Kawalerski.

— Odznaczeń wiele — mówi — książek mało. Nie było kiedy pisać.

Dlatego, zarzucał mu jeden z krytyków, że chodził „wielodrożem".

— Ale dzięki temu wiele poznałem i doświadczyłem. Pisarz winien posiadać głęboką znajomość tematu.

Zebrał tom wierszy pisanych gwarą. Fachowcy orzekli, że wierszy pisanych gwarą nie opłaca się wydawać.

Ody, ody, ody,
wypij, Kasiu, wody.
Odpocnij na wyrku,
jo z Mańkom poćwirkom.

— Suchodolski mówi, że ilość stowarzyszeń świadczy o kulturze narodu. Dobrze, że mamy wiele ugrupowań poetyckich. Źle, kiedy większość poetów, bez znajomości ortografii, pisze pod jednego wielkiego. Ale trzeba być tolerancyjnym. Czas jak wiatr — rozpędzi plewy i zostanie tylko ziarno.

Bolesław Wojewódzki kończy kolejną swą powieść. Jako były nauczyciel zamierza wydać dwie książki dla dzieci. Dopiero na emeryturze znalazł czas na pisanie. W młodości zastanawiał się, czy tylko pisać. Dlatego poszedł wielodrożem. Studiował na Akademii Sztuk Pięknych, obiady jadł na Annopolu. Zjadłaby go gruźlica. Nie znał wakacji. Zastępował urzędników, biorąc połowę wynagrodzenia, ale polonistyki na Wszechnicy Warszawskiej nie udało mu się ukończyć.

2.

Kiedy Pan Bóg tworzył świat, diabeł zakrył kawałek tego świata ogonem. To było Opoczyńskie. „Opoczyńskie kraje, korzec sieje, kopę zbiera, kopa korzec daje".

Ziarno za ziarno, a słoma darmo.

Z Tomaszowa do Opoczna zaledwie dwadzieścia osiem kilometrów. Profesor w seminarium nauczycielskim, doktor Tadeusz Seweryn, góral spod Tarnowa, mówił, że można pojechać i zobaczyć czy tam tak dobrze.

Opoczyńskie to była Mekka dla etnografów i folklorystów. Jedźcie, mówił dr Seweryn, i przyjrzyjcie się chłopom. Oni są hafciarzami, rzeźbiarzami, kompozytorami, choreografami i poetami. Bez studiów.

Uczeń Seweryna, Bolesław Wojewódzki, już w 1927 roku w publikacji Polskiej Akademii Umiejętności, zatytułowanej „Zamki drewniane przy drzwiach" ogłaszał własne prace. Jak się dzisiaj Wojewódzki zapedzi, głosząc uniwersalizm opoczyńskiego chłopa, to dojeżdża do kołyski. No, bo chłop potrafi ukraść sosnę, obrobić ją na glanc, zbuduje z niej dom, przyozdobi w środku. Zrobi nieckę, dzieżkę, kołyskę i coś do kołyski..

— Czterdzieści lat chodzenia Kolbergowym śladem to zasługa Seweryna?

— Najpierw była moja babka. Ona pierwsza opowiedziała mi o kumotrze sprawiedliwym (czyli o śmierci — przyp. mój) i o Chrystusie frasobliwym. Miałem wielu kolegów w Opoczyńskiem. Poprzez nich docierałem do ciekawych ludzi. Potem szukałem sam. Najlepiej jeździło się po wsiach na rowerze. Balonówki z drewnianymi obręczami. Poznawałem druhny, drużbów weselnych, staruchy i swachy. Spisywałem gadki, przyśpiewki, „legyndy". Ludzie mówili

RYSZARD BINKOWSKI

POD ogonem DIABŁA

mową niewiązaną, ja robiłem z tego wiersze.

W 1946 roku Wojewódzki przesiadł się z roweru do służbowego samochodu. Został na pięć lat opoczyńskim starostą. Takiego starosty jeszcze nie było! Brał do samochodu urzędników, sekretarki, pieczęcie i jechał w teren. Przychodzili do starosty ludzie. Staruch zgarbiciały i łysy, pokręcone żyły na rękach, zgina się w ukłonie i zamiata czapką podłogę. Człowieku, jesteś u swojego starosty! Wyprostuj się, człowieku, o, jeszcze trochę się wyprostuj. Podnieś czapkę, siadaj i opowiadaj. Jak u księdza na spowiedzi.

Człowiek płacze. Opowiada. Zapisywać nie wolno. Ołówek i papier zamykają ludziom gęby. Bo pewnie jakiś „sztraf" za coś tam piszą. Wojewódzki urzędnikom i szoferowi nakazywał słuchać uważnie, potem, już w samochodzie wszystko spisywali.

Był pepesiakiem, po zjednoczeniu pezetperowcem. W latach pięćdziesiątych z trzaskiem wyrzucili go z partii, aby z jeszcze większym hukiem przyjmować ponownie. Ale dziesięć lat, on, etnograf, folklorysta, pisarz, siedział na stołku kierownika planowania w fabryce. Wreszcie trafił na właściwe miejsce, został kierownikiem wydziału kultury w Opocznie. Szkolił kadry, organizował imprezy. Można by go nazwać współzałożycielem „Mazowsza". Sygietyńskich wozil do Bielowic, gdzie „Mazowsze" uczyło się tańczyć i śpiewać.

Wychodzi na balkon. Pod stopami żółć rozoranej gliny. w dali pola, drzewa powleczone mglistym oparem. Patrząc tam, mówi:

— Niemcy zgładzili siedemnastu Wojewódzkich, w tym mojego rodzonego brata. Jednego dnia zginął stryj i czterech jego synów. Pracowałem w tajnej organizacji nauczycielskiej. Młodzież była różna, o różnych poglądach. Mówiłem, Polska jest tutaj (wskazuje serce), i tym zjednywałem. Organizowałem domy wypoczynkowe, noclegi, kuchnie dla wracających z obozów. Tam — wskazuje cmentarz pod zamglonymi drzewami — złożyłem zebranych z całego powiatu poległych żołnierzy radzieckich. Leżą pod pomnikami. Żeby wszyscy pamietali.

Kiedyś, będąc na wycieczce we Włoszech, wędrował śladami Leonarda da Vinci, zauroczony osiągnięciami artystycznymi genialnego Włocha. Później zrozumiał, że powinien przejąć znaleziony przez artystę kanon życia.

3.

Grzebał w starodrukach, szukając historii Opoczna. Nawiązał kontakty z katedrami etnograficznymi w kraju, fachowcy zaczęli opracowywać powiat. Potem wszystko jakby stanęło w miejscu. Wiem, że nie powinienem o to pytać, że on nie chce wracać. Ale przyjechałem tutaj z jednym, z góry zaplanowanym pytaniem. Wiem, że proponowano mu pracę w Radzie Państwa. Oglądał nawet mieszkanie w Warszawie. Został w Opocznie. Nie zadałem tego pytania. Uprzedził mnie.

— Powiem panu prawdę. Z mojej szkoły wyszło wielu znanych ludzi. Wsławili się tym, że założyli w swoich regionach muzea. Nie można wyłącznie zachwycać się pięknem folkloru. Trzeba spojrzeć na pracę ludzką. Ocalić od zapomnienia wartości duchowe i materialne. Chłop opoczyński zarzucił strój ludowy. Chodzi jeszcze w maciejówce, białą sukmanę założy, gdy prowadzi księdza pod baldachimem. Utrwaliłem na piśmie gwarę, przyśpiewki, legendy, zwyczaje, obyczaje. Chciałbym więcej.

Od szesnastu lat zabiegał o utworzenie muzeum w Opocznie.

Z takiej większej wsi Opoczno przeobraziło się w miasto. Zniknęły szkaradne, oblazłe mchem płoty, stanęły bloki, przybyło szpetoty architektonicznej, jak chociażby niepotrzebne przy Piotrkowskiej garaże, czy fatalnie zlokalizowany Dom Handlowy na placu Kościuszki.

Muzeum mogło powstać, ale brakowało pomieszczenia. W zamku Kazimierza Wielkiego mieścił się szpital. Szpital zlikwidowano. Zamek stał się domem czynszowym, albo też przytułkiem dla różnych instytucji.

Wreszcie Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Ziemi Opoczyńskiej znalazło zrozumienie i poparcie u nowych władz wojewódzkich w Piotrkowie. Buduje się Międzyzakładowy Dom Kultury. Wyremontowany zewnątrz zamek Kazimierza Wielkiego zostanie adaptowany dla potrzeb muzeum. Lokatorów się wyprowadzi.

— Napisałem apel do społeczeństwa, powielony w miejscowej drukarni. Ludzie znosili eksponaty. Wiedziałem, że przyniosą, ponieważ zabezpieczałem je podczas moich wyjazdów na kontrolę placówek kulturalnych. Część eksponatów znajduje się u ludzi na wsi. Jest ich około pięciuset. Ponadto galeria obrazów (50 egzemplarzy), plon opoczyńskich plenerów malarskich. Osnową muzeum będzie przeróbka lnu i wełny na przędziwo i związane z nim tkactwo, krawiectwo i hafciarstwo.

Opoczyńskie tchnie swojszczyzną. Strój i gwara, folklor we wszystkich przejawach: przyśpiewki, zwyczaje, obyczaje, gadki, piosenki, wystrój chaty (pająki, wycinanki, pisanki), wesela z całym rytuałem. Cepelowską spółdzielnia „Opoczynianka" czerpiąc z motywów ludowych kontynuuje tradycje folklorystyczne i etnograficzne, tkając kilimki i bieżniki, produkując wyroby dziewiarskie i koronkarskie. Premierowa Jaroszewiczowa pierwsza lansowała suknię z opoczyńskich koronek, opoczyńska bielizna stołowa znajduje się we wszystkich polskich ambasadach.

— Muzeum to nie gabinet przedmiotów martwych. To zbiór dokumentów, które mówią, jakim był człowiek, w jakich żył warunkach. W Opocznie zakłady wełniane produkują bistor. A więc od nitki lnianej do nitki bistorowej. Konfrontacja, jak daleko od prymitywu do współczesnej złożoności życia...

Co by tutaj znaleźć pośród tych pięciuset eksponatów? Żeby było unikalne, ciekawe. Angiera. Ciepły strój kobiecy na podbiciu z przędzonej wełny. Ale chyba najcenniejszy komplet glinianych garnków z Dąbrowy nad Czarną, dzieło Arkusińskich ze starego rodu garncarskiego. Obok garnków gliniana patelnia i gliniany durszlak! Żeby je odnaleźć, bibliotekarz Chrystian Abert przemyszkował wszystkie strychy w Dąbrowie.

W Opocznie znajduje się pałacyk, w którym mieszkała Esterka. Byłoby dobrze, gdyby ten pałacyk i zamek królewski stały się siedzibą muezum i biblioteki.

Bolesław Wojewódzki ma sześćdziesiąt sześć lat, jego babka żyła sto cztery lata. Wojewódzki mówi, że jak babka tyle, to on też jeszcze trochę pociągnie. Czerstwy jest, ruchliwy, żywotny, nachodził się po owczarniach, zielarkach, zna mnóstwo babskich leków i trzydzieści parę sposobów leczenia chorób. Myślę, że z pomocą medycyny ludowej Wojewódzki doczeka tego muzeum.

Fot. Archiwum

KSIĄŻKA

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

CZY EWOLUCJA POEZJI?

Przed dwoma laty ukazała się nakładem łódzkiej oficyny książka Andrzeja Biskupskiego „Nie tylko przeciw metaforze", która spotkała się z kontrowersyjnymi opiniami krytyki; większość zarzutów dotyczyła raczej formy przekazu aniżeli zawartości merytorycznej, której waga — moim zdaniem — została przeoczona, a w każdym razie nie doceniona. Celem krytyka była próba dokonania wyłomu w dotychczasowym myśleniu o poezji, próba reorientacji metodologicznej krytyki poetyckiej, wyodrębniająca specyfikę poznania lirycznego i sytuująca poezję w szerszym kontekście kulturowym. W swoich rozważaniach Biskupski najczęściej odwoływał się do doświadczeń cybernetyki, logiki matematycznej i dwudziestowiecznej filozofii. Pozycją, korespondującą w znacznym stopniu z wywodami autora „Wiary w niezbywalność poezji", jest ostatnio wydany zbiór esejów Mieczysława Kucnera „Ewolucja poezji", poety i krytyka wywodzącego się również ze środowiska łódzkiego. Zatem należy chyba mówić o rodzących się zalążkach łódzkiej szkoły krytyki poezji, która, z ubolewaniem należy przypuszczać, nie zyska natychmiastowego rozgłosu — jak dzieje się to w przypadku fajerwerkowej publicystyki Barańczaka, Kornhausera, Zagajewskiego — z tej chociażby racji, że bierze na warsztat problemy zasadnicze i trudne, nie stroni od postulatów teoretycznych, nie ograniczając się tylko, jak w przypadku „nowofalowców", do totalnego zanegowania rzeczywistości językowej współczesnej literatury polskiej i sprowadzenia głównych problemów do spraw wyłącznie lingwistycznych.

„Ewolucja poezji" składa się z trzech, logicznie ze sobą powiązanych, części: „Ustaleń", „Zaproszenia do wyboru" i „Lekcji Norwida". W pierwszej z nich, jak sam tytuł wskazuje, dokonuje krytyk wstępnych ustaleń teoretycznych, aby w następnej, już analitycznej partii, zegzemplifikować tekstami poetyckimi tezy pierwej wyłożone. Książka opatrzona jest mottem, cytatami z trzech autorów, z których dwóch nie sposób zacytować, gdyż oddają intencje Kucnera w całej rozciągłości: „...zadanie krytyki — które bez wątpienia nie może być nigdy ukończone — polega na pilnym wysłuchiwaniu dzieł w ich autonomii, lecz w taki sposób, aby uchwycić wszystkie powiązania, jakie one tworzą między sobą a światem, historią, wynalazczą aktywnością całej epoki" (Jean Starobinski). „Nie przez naśladowanie uczonego, ale spowinowacając się z nim może pisarz odzyskać płodność" (Jacques Rivière). O jakie zatem chodzi powiązania? Kucner podejmuje się niebagatelnego wysiłku, jakim jest przezwyciężenie dość powszechnej niechęci wśród humanistów i artystów do metod badawczych i osiągnięć nauk ścisłych. Wprawdzie już w okresie przełomu antypozytywistycznego poczęto precyzować specyfikę metodologii humanistyki (Dilthey, Simmel i in.), co nie było oczywiście równoznaczne z zanegowaniem znaczenia i swoistości nauk przyrodniczych. Ale w „Ewolucji poezji" nie idzie o odgrzebywanie dawnych sporów, lecz o znalezienie płaszczyzny odniesienia dla wszystkich wysiłków intelektualnych naszej epoki. Tu widzi krytyk szansę dla poezji integrującej dotychczasowe zdobycze nauki w ścisłym powiązaniu z indywidualnym doświadczeniem, tak ażeby poezja znalazła się w głównym nurcie przeobrażeń myślowych, godząc wymiar jednostkowy z uniwersalnym. Z tak zakreślonego planu penetracji krytycznych wynikają dwie propozycje.

Pierwsza dotyczy przeobrażeń samej poezji. Krytyk owe metamorfozy określa mianem ewolucji, twierdząc tym samym, iż sztuka podlega rozwojowi, o ile nie postępowi. Teza odważna i ryzykowna w sytuacji zrelatywizowania wszystkich wartości wytworzonych przez człowieka. Na czym więc polega ewolucja poezji? Autor wychodzi od ustalenia linii demarkacyjnej między poezją a nauką (pod jej pojęciem rozumie tu nauki ścisłe). Czyni to dlatego, że do przełomu ostatnich stuleci uważano, a i wielu po dzień dzisiejszy sądzi, iż poezja jest wyłącznie dziedziną sfery emocjonalnej, która jakoby od początku istnienia gatunku homo sapiens jest niezmienna, przeto znaczenie poezji w przekształcaniu zastanej rzeczywistości wydaje się być nikłe. Poezja wyrażała, ale nie zmieniała, zatem jej sens wartościotwórczy był wątpliwy przynajmniej dla reprezentantów nauki. Wiemy z kolei, że dzieje poezji temu zaprzeczają. Problem tkwi w tym, aby zrewidować postawy wyjściowe celem zapobieżenia niebezpieczeństwom chaosu pojęciowego. Nauka — zdaniem Kucnera — stanowi dziedzinę wiedzy o naturze rzeczy, natomiast zadaniem poezji winno być tworzenie wartości i być wiedzą o nich, bowiem wartości stanowią siłę motoryczną działań ludzkich. To bardzo istotne rozgraniczenie, wskazujące jednocześnie na wzajemną zależność między nauką a poezją, która „zaczyna się tam, gdzie kończy się rola nauki". Stąd, aby poezja mogła pełnić wspomnianą rolę, wymaga się od poety wielkiej odpowiedzialności i czuwania nad podstawowymi przemianami w dokonaniach naukowych. Tezę powyższą ilustrują szczegółowe, analityczne wywody, pełne polemicznej pasji, w których bez mała wszystkie tendencje i kierunki współczesnej poezji polskiej poddane są surowej weryfikacji.

Takie rozumienie poezji i jej funkcji poznawczej oraz społecznej narzuca określone zadania krytyce poetyckiej, która powinna stosować synchroniczno-diachroniczną interpretację rzeczywistości, w tym przypadku, rzeczywistości tworzonej przez poetę. Szczególny akcent położony jest na synchronię jako postulat metodologiczny. Zastosowanie jej w praktyce krytycznej ujawnia nowe oblicze sztuki, przyznając mu wartość samoistną, rządzącą się własnymi wewnętrznymi prawami. Ujęcie genetyczne jest o tyle ważne, o ile interpretacja synchroniczna nie może ujawnić całej złożoności utworu poetyckiego. Konkretne zastosowanie tej propozycji znajdziemy w drugiej części książki, w której krytyk podjął się rekonstrukcji światopoglądu poetyckiego Biskupskiego, Cieślaka, Grześczaka i Koprowskiego. W kreśleniu tych sylwetek daje się zauważyć pewien przerost materiału teoretycznego nad analitycznym, stąd często modelowanie krytyka zbyt daleko odbiega od zawartości znaczeniowej tekstu poetyckiego.

Swoją drogą z nieukrywanym podziwem czytam tę książkę, podziwem dla jej autora, który z wielką swobodą porusza się po trudnych i zawiłych problemach wiedzy dwudziestowiecznej. Nie erudycja jest najlepszą stroną tego zbioru esejów, a umiejętność jasnego widzenia skomplikowanych spraw, umiejętność porządkowania bieżących przemian. Na szczególne uznanie zasługuje wielostronna krytyka współczesnych tendencji w poezji, w której autor nawet na moment nie traci z oczu perspektywy uniwersalnej, stawiając na każdym kroku wymagania maksymalne. Cieszyć się należy, że nareszcie spotykamy się z sensowną, filozoficznie uzasadnioną odprawą poezji tzw. „nowej fali", która styranizowała gusty krytyków nie tylko swojego pokolenia.

Nie sposób w krótkiej recenzji zasygnalizować wszystkich zasadniczych problemów „Ewolucji poezji". Cóż dopiero mówić o polemice?! Istotnym dla mnie mankamentem tej książki jest to, że autor zbyt mało uwagi poświęcił sprawom tradycji literackiej, że w tym względzie nie zarysował własnej propozycji. Nazwisko Norwida to jeszcze nie cała poezja polska. Szkoda tym większa, jeśli się zważy, że krytyk sprawę tę podjął na płaszczyźnie wyłącznie teoretycznej, rozważając relację: tradycja — nowatorstwo. Odnoszę się też z pewną rezerwą do optymizmu Kucnera i jego ufności w ewolucję poezji, ewolucję, która krzywdzi wszakże wysiłek minionych pokoleń i na czas przeszły nakłada schematy czasu teraźniejszego. Mimo te i inne jeszcze zastrzeżenia podkreślam dobitnie, że „Ewolucja poezji" jest w moim przekonaniu najważniejszą książką z dziedziny krytyki poetyckiej od wielu lat, może nawet od czasów Brzozowskiego i dlatego wymaga gruntownych, rzeczowych polemik. Materiału do nich dostarcza każda linijka tej publikacji.

Mieczysław Kucner, Ewolucja poezji, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1974, s. 230.

CENTRUM TAJNEGO FRONTU (III)

ANDRZEJ BLAJER

PIERWSZE ZADANIE

Dalszy ciąg ze str 1

Głównym jednak celem pobytu Rado w Genewie miała być działalność zupełnie innego rodzaju. Toteż z niecierpliwością oczekiwał od Centrali w Moskwie na sygnał do jej rozpoczęcia. Nadszedł on niebawem, jednakże do końca pierwszej połowy 1937 roku w swojej działalności „Albert" nie widział niczego osobliwego. Polecano mu zazwyczaj zbieranie informacji o przygotowaniach Niemiec i Włoch do wojny, głównie jednak na podstawie dostępnych w Szwajcarii gazet, periodyków, specjalistycznych pism niemieckich i włoskich, oraz sporządzanie map z naniesionymi ośrodkami przemysłowymi obu mocarstw. Materiały te wysyłano następnie do Moskwy. Spotkania z przedstawicielami Centrali odbywały się w Paryżu. Mogłoby się wydawać, iż taka łączność nie stanowiła dla Rado żadnego problemu. Oczywiście nie stanowiłaby, gdyby był on obywatelem szwajcarskim — był jednak obcokrajowcem, na dodatek emigrantem politycznym, który osiedlił się na stałe w Genewie, toteż jego paszport znajdował się przez cały czas pobytu w Szwajcarii, w komendanturze policji. Przy wyjeździe za granicę musiał więc każdorazowo wymieniać kartę pobytu na paszport. Zrozumiałe jest zatem, że mimo charakteru jego pracy, zbyt częste wyjazdy do Paryża mogłyby zwrócić nań uwagę władz szwajcarskich, co byłoby ze wszechmiar niepożądane. Ale tu, Sàndorowi Rado przyszła z pomocą pewna szczęśliwa okoliczność. Było nią mianowicie szczególne położenie Genewy, które stwarzało możliwość opuszczenia terytorium Szwajcarii z pominięciem całej tej kłopotliwej procedury. Jeśli spojrzeć na mapę, można łatwo zauważyć, że Genewa jest prawie całkowicie otoczona terytorium francuskim, zaś ze Szwajcarią łączy ją jedynie korytarz wzdłuż Jeziora Genewskiego, szerokości około 7 km. Toteż pod względem zaopatrzenia w żywność i inne produkty miasto było zawsze uzależnione od okolicznych wiosek francuskich. W związku z tym jeszcze w 1814 roku została ustanowiona tzw. „wolna strefa", co skutecznie rozwiązało ten problem. Dlatego też na tym odcinku granicy francuskiej nie było posterunków straży granicznej, znajdowały się one nieco dalej, w głębi terytorium Francji.

Rado wspomina, iż często korzystał z tej drogi, aby udać się na spotkanie z przedstawicielem Centrali. A robił to następująco: „W Genewie wsiadałem do tramwaju lub pociągu podmiejskiego i po 20 minutach wysiadałem w jednym z niewielkich francuskich miasteczek — Annmasse lub St. Julien. Niekiedy korzystałem ze statku spacerowego, kursującego między Lozanną a kurortami na francuskim brzegu Jeziora Genewskiego. W pociągach lub na statkach ruchu lokalnego nie było kontroli celnej, a tym bardziej paszportowej, zaś znalazłszy się we Francji przeobrażałem się natychmiast z miejscowego obywatela, w pasażera pociągu dalekobieżnego i bez żadnych przeszkód wsiadałem do pociągu pośpiesznego Evian-Paryż, gdyż francuska straż graniczna nie kontrolowała go. (Inna sprawa, że sytuacja uległa radykalnej zmianie z chwilą wybuchu wojny, wówczas granica została zamknięta całkowicie)".

Pewnego dnia, a było to w końcu czerwca 1937 roku, „Albert", jak zwykle, otrzymał pocztówkę z Paryża. Między wierszami zawierającymi pozdrowienia od przyjaciela, napisane było atramentem sympatycznym polecenie przyjazdu do Paryża na spotkanie z przedstawicielem Centrali. Podany był również czas i miejsce spotkania oraz znaki rozpoznawcze owego człowieka.

Umówionego dnia, „Albert" opuścił znanym już sposobem Genewę i przybył do Paryża. Na jednym z bulwarów, w oznaczonym miejscu usiadł na ławce, przetarł okulary i otworzył niemiecką gazetę, a obok położył książkę. To były jego znaki rozpoznawcze. Oczekiwanie nie trwało długo. Niebawem podszedł doń wysoki mężczyzna w średnim wieku i dobrze skrojonym garniturze. Usiadł i wymienili hasła, po czym przybyły, człowiek o pseudonimie „Kola", zaprosił „Alberta" do zaparkowanego opodal samochodu. Droga wiodła poza miasto. Jechali dość szybko, a „Kola" (były czołgista) okazał się świetnym kierowcą. Jego twarz świadczyła, iż wiele w życiu przeszedł. Gęste czarne włosy były już przyprószone siwizną. Mimo to trudno było dać mu więcej niż 45 lat.

Mknęli szosą prowadzącą przez las. Nagle samochód zwolnił, zjechał z szosy i skierował się na jedną z bocznych dróg w leśnej gęstwinie. Wkrótce stanął. „Kola" i „Albert" wysiedli. W pobliżu nie było żywej duszy. Rozmawiając weszli głębiej w las. Rado pierwszy raz spotkał się z tym człowiekiem, ich spotkanie całkowicie różniło się od dotychczasowych, były jednak ku temu pewne powody. „Albert" dowiedział się bowiem, iż od tej chwili przechodzi pod bezpośrednie zwierzchnictwo „Koli". Będzie wykonywał tylko zadania zlecone osobiście przez niego. Spotykać się będą, jak dotychczas, w Paryżu. Uzgodnili dni i miejsca swoich kontaktów. W wypadku powstania nieprzewidzianych trudności „Albert" otrzyma wiadomość drogą pocztową. Wszystkie informacje ma przekazywać wyłącznie „Koli". Jednocześnie, nie tracąc czasu na zbędne rozmowy, „Kola" zlecił Rado pierwsze, poważniejsze zadanie. W Hiszpanii trwa od roku wojna domowa. Powszechnie wiadomo, że zarówno Włochy jak i Niemcy udzielają szerokiego poparcia wojskom gen. Franco. Centralę w Moskwie interesuje, jak przedstawia się sprawa liczebności i przerzutów wojsk włoskich na teren Hiszpanii. Zadaniem „Alberta" było wyjechać do Włoch (w celach naukowych, bądź na urlop) i zebrać potrzebne informacje.

Wróciwszy do Genewy Sàndor Rado zaczął się zastanawiać jak wypełnić powierzone zadanie, aby zarazem nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Wyjazd do Włoch nie był dla niego sprawą zbyt kłopotliwą. Mógł tutaj wykorzystać swoje dotychczasowe kontakty z wieloma wysoko postawionymi osobistościami reżimu faszystowskiego. Jeszcze podczas pobytu w Niemczech nawiązał ścisłe kontakty z włoskim ministerstwem lotnictwa. Będąc ekspertem od spraw kartografii lotniczej Rado wydał atlas połączeń lotniczych w Europie. Latał już wcześniej, dość często, samolotami włoskimi, a po ukazaniu się wspomnianego atlasu otrzymał zaproszenie firmy „Fiat" do uczestniczenia w inauguracyjnym locie na nowo otwartej linii Turyn — Londyn. W Rzymie został wówczas przedstawiony gen. lotnictwa Attilio Teruzziemu, sekretarzowi stanu w ministerstwie lotnictwa, który zaprosił Rado na bankiet z udziałem samego duce (Mussolini zajmował wówczas także stanowisko ministra lotnictwa).

Dzięki temu mógł teraz bez przeszkód odbywać podróże po całych Włoszech. Zgodnie z instrukcjami, jakie otrzymał od „Koli", „Albert" odwiedził kilka portów. W Spezii, na redzie zobaczył trzy włoskie okręty wojenne, na których odbywał się właśnie załadunek sprzętu i żołnierzy. Wynajął więc łódź na przejażdżkę po porcie. Przewoźnik, młody brodaty rybak, od razu zorientował się, iż ma do czynienia z cudzoziemcem. Sądził jednak, że jest on Portugalczykiem czy Brazylijczykiem, Rado zaś nie wyprowadzał go z błędu. W pewnym momencie „Albert" zapytał rybaka o okręty zakotwiczone na redzie, wyrażając przy tym chęć obejrzenia ich z bliska. Rybak odpowiedział, iż są to dwa niszczyciele i krążownik, które stoją tam już drugi dzień, po czym skierował łódź w stronę okrętów.

„Podpłynęliśmy całkiem blisko — wspomina Rado — do stojącego na kotwicy ogromnego okrętu. Był to krążownik „Giovanni delle Bande Nere". Z pokładu zawołano do nas: „Beppo, z kim jesteś?" Marynarz pełniący wachtę okazał się być przyjacielem mojego rybaka, Beppo. Ten odpowiedział, że wiezie w łódce turystę, przybysza z Portugalii. Ku swojemu zdziwieniu, usłyszałem zaproszenie do wejścia na pokład. Widocznie „czarnym koszulom" zachciało się pochwalić przed obcokrajowcem. Pokazali nam cały okręt. Po rozmowach z marynarzami doszedłem do wniosku, że krążownik niebawem wypłynie w kierunku Wysp Balearskich, do portu Palma na Majorce, aby wziąć udział w morskiej blokadzie miast republikańskich".

Celem następnej wyprawy „Alberta" był Neapol, który odwiedził również w charakterze turysty. Centrala dysponowała informacjami, iż z portu w Neapolu potajemnie przerzuca się do Hiszpanii niemieckie jednostki wojskowe. Zadaniem Rado było sprawdzenie tych wiadomości. Z Neapolu udał się on na wyspę Capri. W bufecie statku wycieczkowego poznał pewną młodą kobietę, która płynęła wraz z chorą matką. Owa młoda kobieta, która okazała się być Niemką, z nienawiścią wyrażała się o Hitlerze i jego partii. Z dalszej rozmowy „Albert" dowiedział się, iż niedawno hitlerowcy zabili jej ojca, znanego generała i męża, którzy znajdowali się w opozycji wobec reżimu. Rozmowa ciągnęła się dość długo. Rado zaś przez cały czas starał się wybadać swoją rozmówczynię. Okazja wykorzystania jej jako agenta w Niemczech nęciła, dziewczyna mogła jednak okazać się agentką niemieckiego wywiadu. Na wszelki wypadek zapisał jej adres, nie mówiąc oczywiście, kim jest naprawdę. Jednak nigdy już o niej nie słyszał. Przed powrotem z Capri do Neapolu „Albert" wstąpił do nocnego baru. Do chwili odpłynięcia statku pozostało jeszcze trochę czasu. Zamówił więc kolację i butelkę wina. Jadł obserwując salę. Było w niej dużo młodych mężczyzn, ubranych po cywilnemu, wyglądających jednak na wojskowych, a mówiących najczystszym niemieckim językiem. Pili, śmiali się, tańczyli z miejscowymi dziewczętami. Przysłuchując się ich rozmowom „Albert" doszedł do wniosku, że są to niemieccy żołnierze, którzy następnego dnia rano mają odpłynąć na Sycylię. Pozostał więc na Capri i wczesnym świtem udał się do portu. Wkrótce ujrzał wczorajszych „wesołych chłopców", którzy zajmowali miejsca na statku odpływającym na Sycylię. „Albert" kupił bilet na ten sam statek, co oni. W Palermo, dokąd przybił parowiec, udało mu się ustalić, iż odbywa się tam koncentracja oddziałów niemieckich przeznaczonych do interwencji w Hiszpanii. Wszyscy żołnierze byli przebrani we włoskie mundury.

Informacje uzyskane we Włoszech Rado przekazał „Koli" podczas najbliższego pobytu w Paryżu. Kontakt z „Kolą" utrzymywał jeszcze tylko przez pół roku.

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

Fot. A. Wach

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Józef Henryk Wiśniewski — poeta, prozaik i krytyk literacki — urodził się 9 stycznia 1931 roku w Łodzi. Debiutował na łamach prasy w 1955 roku pierwszy zbiór wierszy „Miłości nasze" ukazał się w tomie zbiorowym „5 x debiut" w 1960 roku, w sąsiedztwie zeszytów poetyckich Stanisława Cieślaka Włodzimierza Krysińskiego, Marka Wawrzkiewicza i Eugeniusza Żyrzyckiego. W rok później, wspólnie z Konradem Freidlichem, Zbigniewem Kosińskim, Henrykiem Pustkowskim i Jerzym Waleńczykiem zredagował ambitną „jednodniówkę artystyczną" — „Nowa Linia".

Zarówno data debiutu jak i poetyka zbliżała Wiśniewskiego do pokolenia Orientacji Poetyckiej Hybrydy. Pokolenie to połączone doświadczeniem tzw. małej stabilizacji, dumne z racji, iż „pierwsze od kilkudziesięciu lat w Polsce (...) nie znajduje się pod dławiącą presją totalnej doraźności historycznej", ma ambicję tworzyć literaturę o wymiarze uniwersalnym, odciąć się od kompleksu zaściankowości, silnie eksponowanego w wartościowych nurtach literatury niepodległej Polski, nasyconych autotematyczną refleksją.

W centrum zainteresowań tej poezji staje jednostka i jej świat wewnętrzny. Dążenie do jak największej indywidualizacji podmiotu lirycznego daje się zresztą zauważyć również w prozie Wiśniewskiego. Cel to trudny do osiągnięcia, gdyż ciąży dziedzictwo poprzedniej generacji, które przekazało obsesyjną pamięć o czasach wojennej Apokalipsy. Metaforyka wojenna natrętnie powraca, nie bardzo wiadomo, jak się spod jej władzy wyzwolić i czy należy o to zabiegać.

Zużyci ludzie są jak sita
przez które widać
kikuty zgliszcz

Wszak dziedzictwo to drogie i zerwanie z nim sprawia ból:

Miłości nasze
dopiero co zerwane
— ptaki dojrzałe
z opadłych
drzew
w ostrokrzewie żelaznym
uwikłane

Kolejny tomik Wiśniewskiego „Między tobą a mną", wydany w 1964 roku, przynosi pogodzenie się podmiotu lirycznego z przeszłością, z sobą i światem. Tragiczne dziedzictwo staje się już tylko blizną; należy własną pracą włączyć się w nurt współczesności. Poeta kreuje więc stany współodpowiedzialności za losy świata.

Jeszcze
jest we mnie
ta blizna
z równiny rozdartej
granatem
— — — — — — — —
delikatnym ruchem
przynoszą moje prace
pełne żylastych rąk
by z ziemią
moje siły nadmierne
połączyć.

Powracają jednak — łączy to znów Wiśniewskiego z kręgiem Orientacji — pytania o istotę własnej egzystencji, zwłaszcza w wersji: kim jest się, będąc poetą („Maska"). Pojawia się też nieufność wobec słów, pytanie, czy poezja może być metodą dotarcia do rzeczywistości:

słowa suną
nad nami
między słowami
zagubieni
nosimy słowa
nad głową
fale muzyki mojej
nakrywają mnie
— — — — — — — —
a czym jest
między słowami
czym jest
między tobą i mną...

Drugi zbiór wierszy J. H. Wiśniewskiego zawiera ponadto cykl portretów poetyckich i refleksje z pobytu na Lazurowym Wybrzeżu, ujęte w cykl „Z wierszy prowansalskich". W tych ostatnich wkracza autor na grunt poezji klasycyzującej, co jeszcze bardziej uwidacznia się w jego ostatnim tomiku — „Przypowieść", opublikowanym w roku 1972.

Zbiór ten otwiera wiersz pod znamiennym tytułem „Outsider". Podmiot liryczny zwraca się tu przeciwko własnemu pokoleniu, wybiera samotność, odgradzając się od świata poetycką drwiną. Motyw izolacji jednostki powraca w „Przypowieści" niejednokrotnie. Samotność ta wynika ze świadomego wyboru, ale dla wartościowych indywidualności staje się koniecznością.

Azylu w sobie szukaj nie w
granicach świata
odtrącą kiedy głowa twa nazbyt
zapalna

Cóż może być azylem dla twórcy? W „Dialogu" poety z Kasandrą przedstawia Wiśniewski dość ponury obraz współczesnej cywilizacji i przepowiada jej zagładę, ale świadom jest tego, że owo ostrzeżenie pozostanie przysłowiowym głosem wołającego na puszczy. Wybiera zatem czystą sztukę, która sama jedna zdolna jest ocalić jednostkę, daje bowiem nieśmiertelność:

bo żyć i w dziele możesz
gdy dzieło jest z ciebie.

„Przypowieść" zawiera bardzo różnorodne teksty: od klasycznych sonetów, poprzez skłaniające się ku lingwistycznym zabawom „Drzwi" i „Pasię wokół koła", aż do próz poetyckich w stylu Herberta. Świadczy to zapewne o poszukiwaniu własnej poetyki, o dążeniu do włączenia się w któryś z nurtów stylowych, stąd kandydowanie do kolejnych szkół poetyckich.

Na zakończenie godzi się wspomnieć, że Józef Henryk Wiśniewski uprawia również prozę, co najpełniej poświadcza zbiór opowiadań „Zdaje się, że Franek wyszedł", wydany w 1970 roku, a oparty na tych samych motywach, które charakteryzują jego twórczość poetycką.

ANNA SZWEDZIAKÓWNA

PORTRETY

KAZIMIERZ GÓRSKI

1. Trener piłkarskiej reprezentacji Polski. Lat 54. Po ukończeniu kariery zawodnika w 1953 roku został trenerem Od 1970 roku przygotowuje kadrę narodową.

2. — Dobry zespół nie może być wypadkową różnych dążeń i tendencji. Potrzebny mu jest jasno określony cel, do którego zgodnie dążą wszyscy jego członkowie, a także program, którego realizacja cel ten może przybliżyć.

3. — Czy mam monopol na najlepsze koncepcje gry? Czy ktoś w ogóle może posiadać taki monopol, albo receptę na murowany sukces?

5. — ...nie lekceważę żadnego przeciwnika, choćby był najsłabszy.

6. — Łaska pańska na pstrym koniu jeździ — powiada przysłowie, ale łaska kibica galopuje! Jakże łatwo w naszym fachu spaść ze szczytów popularności na dno pogardy i potępienia.

Zdjęcia: WŁODZIMIERZ PARYS

Tekst: na podstawie publikowanych wypowiedzi Kazimierza Górskiego opracowała BOGDA MADEJ

OŚWIATA

W poprzednim numerze „Odgłosów" opublikowaliśmy artykuł Jacka Indelaka p.t. „Barbarzyńca w szkole", traktujący o potrzebie doskonalenia metodyki nauczania. Obecnie drukujemy dalszą część rozważań na ten temat.

JACEK INDELAK

LEJEK DO NALEWANIA WIEDZY

Zapewnienie metodyce należytego miejsca w naszej oświatowej rzeczywistości jest warunkiem koniecznym i nieodzownym. Z tym jednak, że powinnością tą nie można obarczać tylko i wyłącznie nauczyciela.

Nauczyciel nie jest sam! Jakże często słyszy on ten slogan. Nauczycielowi nie są jednak potrzebne deklaracje, lecz konkretna — adekwatna do jego potrzeb pomoc. Nie każdy może być twórcą lub wirtuozem. Wystarczy, żeby był dobrym rzemieślnikiem. Metodyka — to nauczycielskie rzemiosło.

Nikt jednak nie stanie się dobrym rzemieślnikiem, jeśli:

— nie zostanie odpowiednio do zawodu przyuczony,

— nie będzie miał do dyspozycji właściwych reguł, zasad i wzorów,

— nie zostanie wyposażony w odpowiednie narzędzia pracy.

W 1648 roku ukazała się w Norymberdze książka J. Harsdoerfera pt. „Nuernberger Trichter die deutsche Dichtkunst in sechs Stunden eizugiessen", co się na polskie tłumaczy: „Poetyczny lejek do nalewania niemieckiej sztuki poetyckiej w sześciu godzinach lekcyjnych".

Był to — jak się można domyślić — jeden z pierwszych podręczników metodycznych. Dziś uśmiać się z niego można. Czy jednak tylko uśmiać?

Materiały metodyczne nie nadążają za ustawicznie zmienianymi i reformowanymi programami szkolnymi. Nie nadążają tak pod względem ilości, jak i jakości. Nie jest to opinia gołosłowna, podzielają ją nawet naukowcy, wykładający metodykę na zajęciach uniwersyteckich, o czym miałem się okazję przekonać, rozmawiając z nimi na ten temat.

Cóż zresztą mówić o literaturze fachowej — teoretycznej i praktycznej — jeśli nawet ze zwykłymi podręcznikami szkolnymi wielkie bywają kłopoty.

Po pierwsze — nauczyciele nierzadko miewają problemy ze zdobyciem na własność niezbędnego egzemplarza szkolnej książki.

Po drugie — zawartość podręczników ciągle nie nadąża za zmianami programów, nie mówiąc już o nadążaniu za rozwojem poszczególnych dyscyplin naukowych, jakich dotyczą.

W podręcznikach trafiają się poważne błędy rzeczowe, którym towarzyszą nie mniej istotne błędy interpretacyjne. Same zaś interpretacje, oceny i analizy nie wiadomo dlaczego umieszczane są w niejednym uczniowskim podręczniku, zamiast — w dostępnych tylko nauczycielom materiałach metodycznych. Takie właśnie podręczniki — które nauczycielowi utrudniają programowanie zajęć lekcyjnych, a uczniów oduczają samodzielnego myślenia — znajdują się jeszcze w powszechnym użyciu.

Nasz program szkolny ustawia poprzeczkę stosunkowo wysoko. Trudno ją bez odpowiedniej pomocy metodycznej pokonać. Im przy tym wyżej poprzeczka będzie ustawiana, tym częściej będzie zachęcała nauczyciela (pozostawionego samemu sobie), do przeszwarcowywania swoich uczniów... pod poprzeczką. Nauczycielowi trzeba więc pomóc!

Konkretny przykład: przed paroma laty do programu szkół średnich wprowadzone zostały zagadnienia z zakresu wiedzy o współczesnym filmie, teatrze i telewizji. Wielu nauczycieli próbowało na początku uporać się z tą nieoczekiwaną przeszkodą w sposób najprostszy: omijając ją. Programowe wymogi stały się jednak z biegiem czasu ostrzejsze. Nie tak łatwo było już pominąć tę część materiału. Wtedy to — jak się zwykło mawiać — naprzeciw potrzebom nauczycieli wyszedł Uniwersytet Łódzki, uruchamiając dwuletnie podyplomowe studium wiedzy o teatrze, filmie i telewizji. Nie poprzestano jednak na tym. Ponieważ poddanie tej dodatkowej edukacji wszystkich polonistów, było, rzecz jasna, całkiem niemożliwe — ukazały się powielaczowym drukiem dwa cenne materiały.

Mowa tu o spopularyzowanych już dostatecznie „Materiałach z zakresu wiedzy o współczesnym teatrze" (opracowanie i redakcja: U. Aszyk i E. Udalska) oraz „Materiałach pomocniczych z zakresu wiedzy o filmie i telewizji" (opracowanie i redakcja: E. Nurczyńska i J. Rek), firmowanych przez Katedrę Teorii Literatury, Teatru i Filmu Uniwersytetu Łódzkiego, Kuratorium Okręgu Szkolnego m. Łodzi i Okręgowy Ośrodek Metodyczny.

Materiały cenne z wielu względów. Zawierają bowiem pierwsze — i jakże udane — próby zaprogramowania lekcji z tych nowych dla szkolnego języka polskiego dziedzin. Dołączony jest do nich zbiór nader trafnie i ciekawie wybranych i opracowanych tekstów, pozwalających nauczycielowi na poprowadzenie interesujących i pożytecznych lekcji, a zaoszczędzających mu przy tym ogromnej pracy, jaką musiałby wykonać, podejmując się podobnego przedsięwzięcia na własną rękę. A zatem materiały cenne także i z tego względu, że w sposób konkretny, precyzyjny i jasny odpowiadają na pytania, jak pomóc nauczycielowi.

Właśnie, autorzy materiałów dostarczyli nauczycielom idealnego wręcz „lejka" do nalewania w sposób systematyczny i ciekawy porządnie spreparowanej wiedzy. Inicjatywie autorów i wydawców tych publikacji — tylko głośno przyklasnąć. Nauczycielom zaś — serdecznie współczuć, że przedsięwzięcie to pozostaje wciąż odosobnione i wiosny rzeczywiście nie czyni.

Nauczyciel nie może być sam. Na diabła mu jednak deklaracje. Potrzebna mu pomoc. Źle jednak wciąż będzie, jeśli pomoc tę zapewniać ma mu tylko garstka zapaleńców, którzy więcej barier i przeszkód napotykają niż aplauzu i poparcia.

Tego typu metodyczna pomoc dla nauczycieli nie może pozostawać kwestią jednostkowych i doraźnych poczynań. Na taką pomoc — obejmującą absolutnie wszystkie wymogi i potrzeby dydaktyczne — każdy nauczyciel powinien liczyć na co dzień. I pomoc taką powinien otrzymać. Nawet wtedy, gdy o nią nie prosi.

Gra tu bowiem idzie o najwyższą stawkę: o jakość przyszłego społeczeństwa naszego kraju. Tych wszystkich dzisiejszych i jutrzejszych uczniów, którzy nie powinni spotykać się w szkole z barbarzyństwem i metodyczną nieudolnością, lecz z nowoczesną — mądrą i skuteczną dydaktyką. Nic nam przecież po najdoskonalszych nawet i najlepiej dobranych treściach, jeśli w parze z nimi nie pójdzie odpowiedni ich przekaz...

OPOWIEŚCI NIESAMOWITE

GEORGE BERNARD SHAW

CUDOWNY REWANŻ

Do Dublina przyjechałem wieczorem. Z dworca udałem się do rezydencji wuja kardynała. Drzwi otworzyła starsza kobiecina, jedyna przedstawicielka służby kardynała. Oświadczyła mi, że eminencja odprawia nabożeństwo w katedrze.

Kolację zjadłem w hotelu, gdzie zapewniłem sobie nocleg, po czym udałem się do teatru. Muzyka była okropna, a inscenizacja jeszcze gorsza. Powróciłem do hotelu. Próbowałem uśpić się lekturą. Na próżno. Postanowiłem więc odwiedzić wuja.

Przez okno na pierwszym piętrze wychylała się szara w promieniach księżyca głowa.

— Kto tam?

— To ja, Zenon Legge.

— Czego sobie życzysz o tej porze?

— Drogi wuju, dlaczego przyjmujesz mnie tak ozięble? Zejdź, proszę, i wpuść mnie do domu.

— Idź do hotelu — odpowiedział oschle kardynał — zobaczymy się rano. Dobranoc!

Wuj zniknął. Ująłem przeto kołatkę w prawą rękę, a lewą pociągnąłem za sznur od dzwonka. Usłyszałem chrzęst łańcucha przy drzwiach. Na progu ukazał się kardynał z miną mocno zagniewaną.

— Wuju — wykrzyknąłem, chwytając kardynała za rękę — nie odpychaj mnie od siebie. Twój dom stoi zawsze otworem dla grzesznych. Poświęć mi kilka chwil.

— Wejście do domu zawdzięczasz jedynie mojej pozycji. Wolę patrzeć i słuchać twych błazeństw u siebie niż narażać na nie sąsiadów. Wejdź cicho na drugie piętro.

Weszliśmy do skromnie urządzonego pokoju.

— Powiedz mi, dlaczego podróżujesz samotnie. Twoja matka obiecała mi, że będziesz pod opieką Busky'ego.

— Busky jest pozbawiony uczucia, jest tchórzem. Przeląkł się podróży ze mną, gdy kupiłem pistolet.

— Powinien był odebrać ci broń.

— Jeżeli dotychczas włóczyłem się po całym świecie samotnie, to czy w Irlandii potrzebna mi niańka?

— Co zamierzasz tu czynić?

W odpowiedzi wzruszyłem ramionami i rozejrzałem się po pokoju. W gabinecie kardynała panowała atmosfera wiekuistego spokoju.

— Wuju — wyrzekłem, zalewając się potokiem słodkich łez — skończyłem już swoje wędrówki. Pomóż mi, chcę się nawrócić. Przeczytajmy wspólnie trzecią część „Fausta". Chcę wreszcie zrozumieć.

— Uspokój się, chłopcze — wyrzekł kardynał, podnosząc się z przestrachem.

— Nie zważaj na moje łzy, drogi opiekunie, jestem silny i pełen spokoju. Posłuchaj Goethego:

Das Unbeschreibliche
Hier is gethan;
Das Ewig-Weibliche
Zieht uns hinan.

— Uspokój się, synu, otrzyj łzy. Nie mam niestety, u siebie „Fausta".

— Ale ja mam w hotelu. Za piętnaście minut będę z powrotem.

— Szatan cię opętał. Uspokój się...

Dalszy ciąg słów kardynała przerwałem wybuchem śmiechu.

— Kardynale, jesteś przecież świeckim księdzem i możesz być najlepszym kompanem. Każ podać wino.

— Dobrze, dobrze, ale posłuchaj mnie uważnie. Wiesz co? Chciałbym żebyś się udał do Wicklow...

— Zgoda — odparłem — zaraz ruszam w drogę...

— Pozwól mi dokończyć. Tam, na wsi, wypoczniesz, dojdziesz do zdrowia, a ponadto obdarzę cię misją, która powierzona normalnemu człowiekowi mogłaby zdyskredytować Kościół. Zadanie twoje będzie polegało na zbadaniu cudu. Zrozumiałeś?

— Wspaniale!

— Cztery mile od Wicklow znajduje się wioska Four Mile Water, w której proboszczem jest ojciec Hickey. Nie potrzebuję chyba dodawać, że cud może przynieść Kościołowi więcej szkody niż pożytku, o ile nie jest poparty faktami. Toteż gdy w ubiegłym tygodniu przeczytałem w „Gazecie Oxfordzkiej" opis cudownego wydarzenia w Four Mile Water, zaniepokoiłem się poważnie tym faktem. Poprosiłem natychmiast listownie ojca Hickeya, aby mi zdał dokładną relację, o ile taki fakt miał miejsce, w przypadku zaś fałszu, zdementował natychmiast sensację prasową. A oto jego odpowiedź.

— Chwileczkę wuju, wydaje mi się, że to nie męski charakter pisma.

— Ojciec Hickey — wyjaśnił kardynał — ma zreumatyzowane palce, wyręcza go więc w korespondencji siostrzenica, sierota.

— Jak ma na imię?

— Kasia.

— Ile ma lat?

— To mała dziewczynka. A teraz posłuchaj uważnie, przeczytam ci list:

„Ostatni cud w naszej parafii potwierdzają nie tylko katolicy, mieszkańcy wioski, ale wszystkie osoby, które znały uprzednie położenie cmentarza, włącznie z protestanckim archidiakonem z Baltinglas, który corocznie spędza część tygodni w naszym sąsiedztwie. Notatka prasowa jest niedokładna i niepełna, dlatego przytoczę fakty. Przed około czterema laty osiedlił się w naszej wiosce przewoźnik, Wolf Fitzgerald. Samotnik, nie dbający zupełnie o opinię i wygląd zewnętrzny, pijak, bluźnierca i niedowiarek. Nie uczęszczał na msze święta i bluźnił na Jego Świątobliwość i królowa. Ponadto był buntownikiem i chełpił się, że jego dziad i ojciec brali udział w rewoltach. Nic więc dziwnego, że cała wieś nim gardziła. Jak Eminencji wiadomo, cmentarz nasz położony jest na północnym brzegu rzeki. Znany jest on w całym kraju jako miejsce wiecznego spoczynku sióstr Urszulanek i innych świątobliwych osób. Nie usiłowano nawet dotychczas pochować na nim protestanta, chociaż jak sięgam pamięcią, w naszej parafii zmarły już dwie osoby tego wyznania. Przed trzema tygodniami Fitzgerald zmarł wskutek nadużycia alkoholu. Wielkie oburzenie w okolicy wywołała pogłoska, że przewoźnik będzie pochowany na cmentarzu dla wiernych synów Kościoła. Dla ochrony więc przed samowolnym pochowaniem go przez ludność na rozstajnych drogach ustawiłem straż przy jego zwłokach. Parafianie byli rozczarowani na wieść, że pogrzeb, z wyjątkiem odprawienia egzekwii, odbędzie się normalnie. Uspokoiłem swoje owieczki, i pogrzeb odbył się wieczorem bez zakłóceń. Nazajutrz po pogrzebie, cmentarz znalazł się na południowym brzegu rzeki, a na północnym pozostał jedynie świeżo usypany grób Fitzgeralda. Widocznie pobożne duszyczki nie chciały spoczywać w sąsiedztwie bezbożnika. Ścisłość powyższego faktu mogę poprzeć przysięgą kapłańską, jak również zeznaniami wiarygodnych świadków. Ośmielam się zaproponować Waszej Eminencji powołanie komisji złożonej z protestantów dla zbadania wiarygodności cudu. Komisja, uniezależniona od opinii parafian, będzie się opierać na urzędowych planach. Nie potrzebuję chyba zapewniać Waszej Eminencji jakim wstrząsem dla wrogów Kościoła będzie wiarygodne stwierdzenie cudu!"

— Co sądzisz o ojcu Hickeyu, Zenonie?

— Zastanawiam się, co jest bardziej prawdopodobne: ksiądz krzywoprzysięzca, czy cmentarz wędrujący na drugą stronę rzeki.

— Tomasz Hickey nie kłamie. Mogło jedynie zajść nieporozumienie.

— Pojadę więc i zbadam. W krótkim czasie przedstawię stan faktyczny, a wtedy należy ojca Hickeya przenieść od ołtarza do domu dla obłąkanych.

— Spokojnie, Zenonie. Muszę napisać do ojca Hickeya, aby ci zapewnił kwaterę. Pobyt będziesz pozorował odpoczynkiem dla ratowania zdrowia. Błagam zaś, abyś zachowywał się jak normalny człowiek. Nie rozprawiaj na temat religii i nie zrób mi wstydu.

* * *

A oto mój pierwszy list do kardynała.

„Drogi wuju, Cud jest niezbitym faktem. Całkowitą pewność uzyskałem bez wpływu Hickeyów i tutejszych wieśniaków. Przysłuchiwałem się, jaką metodą przekonują sceptycznych przybyszów, zbadałem oficjalne mapy i szkice. Spędziłem cały dzień po obydwu stronach rzeki, byłem tam również i o północy. Jedyny niedowiarek w tej okolicy, pewien Holender, twierdzi, że cmentarz przeniósł się jego zdaniem przez wykopanie grobów przez liczny zastęp wiernych pod wodzą ojca Hickeya. Taka hipoteza jest również absurdalna. Pojęcie krasa i jędrność obróciłaby w pył twój ascetyzm. Ubiega się o nią zawzięcie bryła o długości sześciu stóp, wyrąbana przez Wszechmogącego dla zaorania pól w Wicklow. Nazywa się Filip Langan. Nienawidzi mnie całą duszą. Już w czasie pierwszego dnia pobytu wyczerpałem wszystkie autentyczne anegdotki o Twoich eskapadach z hiszpańskimi donnami, w których grasz rolę młodzieńca o wątpliwej moralności. Twoje przygody, oczywiście, bardzo się podobały ojcu Hickeyowi. Wydaje mi się, że wyrządziłem wielką przysługę, rzucając na Twą zimną i abstrakcyjną sylwetkę promień ludzkiej namiętności.

Adieu, Wuju — Twój Zenon".

Rzadko która kobieta zrobiła na mnie tak silne wrażenie jak Kasia. Pewnego słonecznego popołudnia stałem z nią przy bramie wjazdowej plebanii. Oczekując na przyjście Filipa Langana, Kasia zagadnęła:

— Kiedy pan wyjeżdża do Londynu?

— Wcale nie mam zamiaru tam wracać.

— Four Mile Water powinno być dumne z pańskiego uznania.

— Pani jest sarkastyczna.

— Skoro się panu nie podoba moje zachowanie, to nie rozmawiajmy.

— Przeciwnie! Bardzo mi się podoba pani sposób bycia, chociaż mnie pani nienawidzi, a kocha Langana.

— Nie znam londyńskich manier, mister Legge, ale w Irlandii gentelmeni zajmują się tylko swoimi sprawami. Jak pan śmie twierdzić, że kocham Langana?

— To znaczy, że pani go nie kocha?

— To nie pańska sprawa.

— Podziwia pani bardziej wysokich mężczyzn niż szeroki horyzont myśli. A oto już nadchodzi pani najmilszy. Dobry wieczór, panie Langan. Odchodzę, ponieważ miss Hickey chce z panem porozmawiać o mnie. Pan daruje?

— Daruję, daruję — odpowiedział gburowato.

Uśmiechnąłem się i odszedłem. Dobiegły do mnie słowa Kasi:

— Nienawidzę tego chłopa.

Poszedłem na cmentarz. Był to szmat jałowej ziemi otoczony wałem z gliny. W pobliżu grobu Urszulanek zawieszone były na krzaku tarniny wota w postaci skrawków tkanin. Przed grobowcem zakonnic klęczały trzy wieśniaczki. Cmentarz stał się sławny przez ostatni cud, a uruchomiony prom ułatwiał komunikację. Po przeciwnej stronie odcinał się wyraźnie stos kamieni na mogile Fitzgeralda. Zatrzymałem przez dłuższy czas wzrok na jego grobie, po czym zszedłem do łodzi.

— Dobry wieczór — powitał mnie przewoźnik i rozpoczął przeciągać sznur holujący łódź — prom.

— Dobry wieczór — odparłem — jak idzie interes?

— Nie za bardzo. Ludzie przybywający z południa widzą mogiłę Fitzgeralda przez wodę. Zarabiam jedynie na gościach z Dublina. Pan szanowny jest dopiero dzisiejszym trzecim pasażerem.

— Kiedy pan wraca do domu?

— O siódmej godzinie kończę pracę i pozostawiam Fitzgeralda pod boską opieką.

Wręczyłem przewoźnikowi sześć pensów i poszedłem do grobu Fitzgeralda. Pospiesznie przygotowana mogiła nie zakrywała nawet szczelnie trumny. Nasunęła mi się wtedy myśl, że nie przeniesiono grobów na drugi brzeg rzeki. Przecież znacznie łatwiej byłoby przetransportować jedną mogiłę Fitzgeralda. Z irracjonalnego zaś punktu widzenia dziwiło mnie, że grzesznik wypędził wybranych. Raczej uprzywilejowane duszyczki powinny spowodować banicję piekielnika. Przy zapadających ciemnościach udałem się na plebanię. Zastałem tylko Kasię.

— Bądź choć jedyny raz łaskawa dla mnie. Godzinami błądziłem bez celu, by nie popsuć ci mym widokiem pięknego popołudnia.

— No, to niech pan zostanie. Jak wujek przyjedzie, to porozmawia z panem.

— Four Mile Water jest bez pani pustką.

— Niech mi pan pozwoli odejść, mister Legge. Postanowiłam nie rozmawiać z panem po dzisiejszym wyskoku wobec pana Langana.

— Niechże pani nie odchodzi. Przysięgam, że nawet nie wymienię nazwiska Langana.

Miss Hickey była rozczarowana moją uległością.

— Powiedziała mi pani kiedyś, że wujek zabronił ze mną szczerze rozmawiać, gdyż...

— Chce pan poznać prawdę? Dobrze! Powiem. Jest pan nieszczęśliwym obłąkańcem, którego tu rodzina przysłała, by pozbyć się kłopotu.

— Wujka pani sprowadziła na fałszywe tory moja rodzina. Powiem prawdę. Przybyłem tu, aby zbadać wiarygodność cudu. Kardynał, człowiek roztropny, aczkolwiek nieco ekscentryczny, wybrał mnie spośród tęgich głów dla sprawdzenia słów ojca Hickeya.

— To oburzające! Któż śmiałby wątpić w słowa mojego wujka? Jest pan podłym szpiclem!

Słowa jej poruszyły mnie do głębi. W tej chwili wchodzili razem na plebanię ojciec Tomasz i Langan.

— Filipie, ratuj mnie! — wykrzyknęła miss Hickey.

Langan pokazał mi w fałszywym uśmiechu kły. I nagle zwaliłem się od jego potężnego ciosu, który śmiało mógłby przewrócić topolę.

— Morderca! — wykrzyknął proboszcz — co ty robisz, Filipie?!

— To szpicel — wykrztusiła Kasia — przybył tu, by śledzić cię, wuju, i wykazać, że błogosławiony cud jest oszustwem. Chciał mnie zgwałcić!

Z wielkim trudem podniosłem się spod stołu.

— Sir Hickey — powiedziałem — jestem oszołomiony wyczynem mistera Langana, którego proszę, by w przyszłości zużywał energię na osobach bardziej dorównujących mu siłą. To zaś, co powiedziała siostrzenica, zgadza się tylko częściowo z prawdą. I choć jestem szpiegiem kardynała, to doniosłem mu, że cud jest bezsprzecznym faktem. Dla weryfikacji mych słów specjalna komisja jutro rozpatrzy na miejscu boskie objawienie. Zdanie komisji będzie tym cenniejsze, że przyjazd jej jest dla was niespodzianką.

— Nie zaszkodzi mi pan w niczym, dopóki nie zniszczy widocznego objawienia boskiego — odparł proboszcz.

— Ojcze Hickey, nim słońce wzejdzie nad Four Mile Water, zniszczę widomy znak objawienia boskiego, a palcem szydercy wskażę twój ołtarz.

Po czym skłoniłem się i wyszedłem. Przez okno dobiegł mnie głos proboszcza:

— Nawet za dziesięć funtów nie zgodziłbym się na powtórzenie tej awantury. Toż to przecież wariat! Nawet kardynał tak się o nim wyraził!

Po powrocie do kwatery nastawiłem budzik na pół do dwunastej i ułożyłem się do snu. Zabrzmiał dzwonek. Ubrałem się szybko i wyszedłem z domu na palcach. Z trudem odnalazłem w ciemnościach oborę, z której wyciągnąłem taczkę i łopatę. Udałem się nad rzekę. Na drugim brzegu ujrzałem fosforyzujący grób Fitzgeralda. Załadowałem taczkę i łopatę na łódź. Po dobiciu do brzegu i dojściu do grobu, zatrzymałem się przez chwilę dla nabrania sił. Zegar kaplicy wybił pierwszą. Chwyciłem za łopatę i w przeciągu dziesięciu minut odkryłem trumnę. Wydobywał się z niej wstrętny odór. Posługując się łopatą, jak dźwignią, z wielkim trudem załadowałem trumnę na taczkę, a z kolei na łódź. Na południowym brzegu przewiozłem trumnę na cmentarz i zabrałem się energicznie do kopania dołu. Wkrótce dół był gotów. Zaniepokoiła mnie jasność budzącego się dnia. Wzmogłem tempo. Zmęczenie zmusiło mnie jednak do przerwy w pracy. Obtarłem czoło z potu i spojrzałem dokoła. Potężna płyta grobowa świętobliwych niewiast, wsparta na czterech głazach, błyszczała poranną rosą. W pobliżu znajdował się krzak tarniny z zawieszonymi wotami. Był już najwyższy czas, by dokończyć dzieła. Ułożyłem trumnę wzdłuż dołu i opuszczałem ją stopniowo przy pomocy łopaty. Stacząjąca się trumna wydała odgłos pijackiego westchnienia. Zasypałem dół, a na zewnątrz uformowałem symetryczny kopiec.

Odrzuciłem łopatę, wyciągnąłem w górę ramiona i westchnąłem z ulgą. Nagle cofnąłem się z przestrachem: znajdowałem się na wrzosowisku, a wokół mnie absolutna pustka — poza taczką, łopatą i osamotnionym grobem Fitzgeralda. Odwróciłem się w kierunku rzeki, na drugim brzegu znajdował się cmentarz z grobowcem Urszulanek, krzak tarniny z powiewającymi pod podmuchem łagodnego wietrzyka wotami, wyszczerbiony mur z gliny i zrujnowana kapliczka. Nie poruszyły się nawet kamienie ze zniszczonych murów, najmniejszy ślad nie wskazywał na zmianę miejsca. Wszystko tkwiło twardo w ziemi, jak okoliczne wzgórki. Spojrzałem na grób Fitzgeralda z bolesnym współczuciem: błogosławione duszyczki nie chcą z tobą, biedaku, zażywać wiecznego spoczynku! Dookoła rozświergotało się ptactwo, a koguty piały zawzięcie. Położyłem łopatę na taczce i udałem się do kwatery. Wszedłem cichaczem do domu, przebrałem się, po czym wykąpałem w rzece. Spojrzałem po raz ostatni na cmentarz i ruszyłem do Wicklow, skąd pierwszym pociągiem odjechałem do Dublina.

W kilka miesięcy później, w Kairze, otrzymałem przesyłkę gazet irlandzkich oraz wycinek artykułu z Times'a o cudzie. Ojciec Hickey otrzymał zapłatę za niegościnność. Komisja, która przybyła do Four Mile Water nazajutrz po moim wyjeździe, stwierdziła, że cmentarz znajduje się na właściwym miejscu. Zaskoczony ojciec Hickey bronił się wykrętnie, co jeszcze bardziej utwierdziło komisję w przekonaniu, że domniemany cud jest ordynarnym oszustwem. Komentarz Times'a brzmiał: „Z zadowoleniem stwierdzamy, że Wielebny Ksiądz Hickey został dożywotnio zdjęty ze stanowiska proboszcza w Four Mile Water. Jednocześnie z przykrością konstatujemy fakt zebrania dwustu podpisów popierających absurdalny memoriał w obronie księdza Hickeya".

Tłumaczył:
JAN JANISZEWSKI

OPOWIEŚCI NIESAMOWITE

JOANNA B. BOYLE

WIECZÓR W ZAJEŹDZIE

Jesienią zeszłego roku, urzędnik bankowy Peter MacFarlane postanowił udać się na wycieczkę w okolice północnej Szkocji. Po kilku dniach pobytu na wyspie Skye dalszą podróż w kierunku Gairloch kontynuował samochodem. Niespodziewana ulewa zmusiła go do zanocowania w przydrożnym zajeździe, gdzie po zjedzeniu kolacji udał się do przytulnego baru na piwo. Przy kominku grzał się jakiś człowiek i Peter, z kuflem piwa w ręku, podszedł w jego kierunku. Nieznajomy zrobił mu miejsce przy ogniu.

— Złapała pana ulewa — odezwał się Peter współczująco.

— Tak, trochę mnie zmoczyło. Dobrze, że tu mają taki ogień, bo i zimno się zrobiło na dworze.

Głos nieznajomego brzmiał głucho, był przytłumiony jak gdyby dobywał się aż z czeluści brzucha. Mówiąc, mężczyzna ukazywał długie, jakby końskie zęby, a jego pociągła twarz jeszcze bardziej to podobieństwo do konia podkreślała. Nie wiadomo dlaczego Peter poczuł się nagle nieswojo. Wrażenie to spotęgowało się, gdy nieznajomy zaczął mu się z ciekawością i w milczeniu przyglądać. Milczenie to przeciągało się nad miarę; mężczyzna cały czas z zainteresowaniem bezceremonialnie oglądał Petera. Ten zaczął się niespokojnie wiercić na krześle, gdyż było mu coraz bardziej nieswojo.

— Nie boi się pan tak samotnie podróżować po Szkocji? — spytał nagle nieznajomy.

— A czego? — zaśmiał się Peter, zadowolony z przerwanego milczenia.

— Przy każdym najmniejszym nawet jeziorku, przy każdej strudze czatują tabuny kelpie na samotnych wędrowców, aby ich utopić albo inaczej ukrzywdzić — wyrecytował przejmującym szeptem nieznajomy.

— Panie, takie bajki są dobre dla przyciągania amerykańskich turystów — rzekł Peter udając swobodę, gdyż wbrew jego woli tajemniczość z jaką mówił nieznajomy zaczęła na niego oddziaływać.

— Bajki? — obruszył się rozmówca Petera. — Niech pan tak nie mówi, mister Peter MacFarlane.

— Co? — porwał się Peter z niepokojem. — Skąd pan wie jak się nazywam?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

— Wiem wiele rzeczy. A pańskie nazwisko przeczytałem w książce gości, którą gospodarz zostawił na ladzie.

— Ach tak — rzekł z ulgą Peter.

— Jeśli zaś chodzi o kelpie i inne dziwne rzeczy, które się w tych okolicach dzieją — ciągnął nieznajomy — to uwierzy pan, gdy opowiem, co mi się przydarzyło niedaleko stąd dwa lata temu.

Peter, choć jeszcze czuł się nieswojo, chętnie zgodził się wysłuchać tajemniczej opowieści, bo od dzieciństwa lubił słuchać bajań o duchach, topielicach i tym podobnych rzeczach. Z upodobaniem słuchał też opowiadań o kelpie — duchach, które ukazywały się ludziom w postaci koni i które zazwyczaj topiły swe ofiary w tak licznych w Szkocji jeziorach i strumieniach.

— Dwa lata temu, mniej więcej o tej porze, — rozpoczął opowieść nieznajomy — wybrałem się z kolegami w pieszą wędrówkę po Szkocji. Było nas trzech: Joe Harper, Brian O'Connor i ja. Któregoś dnia pod wieczór zbliżyliśmy się do miasteczka Lochinvar na zachodnim wybrzeżu. Jest to miejscowość leżąca w odległości około pięćdziesięciu mil stąd na północ w linii prostej.

Ponieważ dzień był wyjątkowo ciepły i słoneczny a do zachodu słońca był jeszcze spory kawałek czasu, ominęliśmy Lochinvar i udaliśmy się w kierunku półwyspu wysuniętego daleko w morze nad zatoką Eddrachillis. Po długiej wędrówce zachciało nam się zażyć kąpieli w morzu. Aby dojść do wybrzeża musieliśmy wspiąć się na niskie wzgórze wznoszące się na całej szerokości półwyspu w miejscu, gdzie łączy się on z resztą lądu.

Gdy znaleźliśmy się na szczycie, stwierdziliśmy nagle, że w dole wokół nas ściele się mgła, która wznosi się coraz wyżej i wyżej. Pogoda zmieniła się tak nagle, iż mgła zupełnie nas zaskoczyła. Wkrótce okryła szczyt wzgórza i otuliła nas szczelnie jak wata. Białe tumany kłębiły się i kotłowały tak, że chwilami zupełnie traciliśmy się z oczu.

Postanowiliśmy czym prędzej wracać do Lochinvar. Wydawało nam się, że dobrze zapamiętaliśmy kierunek. Powoli, trzymając się za ręce, zaczęliśmy schodzić ze wzgórza. Idąc tak mieliśmy wrażenie, że co chwila mijamy wielkie czarne głazy o niesamowitych kształtach, to znów konwulsyjnie powyginane drzewa z nagimi, lśniącymi konarami. Co jakiś czas przechodziliśmy obok zarośniętych sitowiem stawów, z których dochodziły nas groźne pomruki i sapania.

Z początku każdy z nas myślał, że to mgła powoduje powstawanie takich złudzeń optycznych i akustycznych. Jednakże, gdy zaczęliśmy dzielić się spostrzeżeniami i stwierdziliśmy, że wszyscy widzimy i słyszymy to samo, ogarnęła nas panika, gdyż doskonale pamiętaliśmy topografię terenu, na którym nie było ani głazów, ani drzew, ani też żadnych, nawet najmniejszych zbiorników wodnych. Zdaliśmy sobie sprawę z tego, iż zabłądziliśmy.

Po krótkiej dyskusji zdecydowaliśmy przeczekać mgłę, która mogła równie szybko ustąpić jak przyszła. Czekając w jednym miejscu mogliśmy być przynajmniej pewni, że nie oddalamy się od Lochinvar.

Mgła jednak nie ustępowała. Siedząc tak, skuleni i zmarznięci, słuchaliśmy jak napływa: szła kłębiąc się, szeleszcząc i szurszając we wrzosach i wysokich trawach.

Naraz posłyszeliśmy tętent. Zbliżał się, narastał i potężniał. Wydawało się, że ogromny tabun koni strałuje nas w szaleńczym pędzie. Przypomniały nam się wszystkie słyszane opowieści o kelpie.

Strach zjeżył nam włosy na głowach. Mrowie przeszło po grzbietach. Tętent był tuż, tuż...

Brian poderwał się pierwszy. Skoczył do najbliższego drzewa i zaczął się na nie wspinać. Podążyliśmy za jego przykładem. Joe był jednak szybszy ode mnie. Gdy dopadłem drzewa, obaj moi przyjaciele siedzieli już na najniższym konarze. Uchwyciłem go rękami w podskoku i bezradnie zawisłem w powietrzu. Brian wychylił się, aby pomóc mi się podciągnąć. Nagle rozległ się suchy trzask i wszyscy trzej runęliśmy na ziemię wraz z odłamanym konarem.

Nic mi się nie stało, ponieważ byłem najbliżej ziemi. Joe też wylądował względnie szczęśliwie. Za to Brian porządnie się potłukł, przeciął sobie naskórek na policzku i zwichnął prawą nogę w kostce tak, że nie mógł wcale iść o własnych siłach.

Na moment zapomnieliśmy o kelpie lecz po chwili zaczęliśmy nasłuchiwać. Nawet Brian przestał jęczeć i słuchał, czy gdzieś obok znowu nie zatętnią kopyta. Na szczęście, słychać było teraz tylko sunącą mgłę.

Ponieważ noga Briana zaczęła w widoczny sposób puchnąć a dookoła kostki utworzył się granatowoburaczkowy wylew — postanowiliśmy go niezwłocznie doprowadzić do miejsca, gdzie ktoś mógłby nam udzielić pomocy. Wzięliśmy rannego między siebie, kazaliśmy mu trzymać nas za szyję i tak kuśtykającego zaczęliśmy prowadzić.

Gdy już byliśmy całkiem wyczerpani nerwowo i fizycznie, zobaczyliśmy w oddali światełko. To dodało nam sił i po kilkunastu dalszych minutach dotarliśmy do niewielkiego zajazdu. W jednym oknie paliło się światło lecz całe domostwo pogrążone było w ciszy.

Gdy zbliżyliśmy się do drzwi, te otwarły się szeroko i stanął w nich wysoki mężczyzna. Na nasz widok zaśmiał się głośno śmiechem przypominającym rżenie i gestem zaprosił nas do środka.

— Ha, ha, ha. Jesteście — odezwał się, ni to pytając, ni to stwierdzając. — Oj, ranny — rzekł niby współczująco widząc utykającego Briana. — Proszę, proszę, wejdźcie. Na górze mam ciepły pokoik. Zaraz wam przyniosę coś do jedzenia i picia. A jemu trzeba zrobić kompres z ciepłej wody — dodał oglądając nogę rannego.

Weszliśmy. Gospodarz zaprowadził nas na górę do pokoju, w którym znajdowały się trzy łóżka, jakby specjalnie dla nas przygotowane, stół i kilka krzeseł. Karczmarz zapalił świeczkę i wyszedł. Wrócił prawie natychmiast niosąc wodę na kompres.

Pomogliśmy Brianowi zdjąć wierzchnie ubranie i obuwie a gospodarz szybko nałożył mu kompres, po czym chory położył się do łóżka. Podziękowaliśmy za pomoc a Joe spytał w jakiej odległości od Lochinvar znajdowała się gospoda, do której przyszliśmy. Karczmarz popatrzył na nas, potrząsnął kilka razy głową, po czym odrzekł, że o takiej miejscowości w ogóle nie słyszał. Wydało nam się to bardzo dziwne...

Jakby odgadując, że jesteśmy głodni, gospodarz zarżał po swojemu i oznajmił, że kolację poda za pięć minut. Rzeczywiście, po chwili łakomie połykaliśmy gorący szkocki broth i pałaszowaliśmy wyśmienity haggis. Humory nam się wyraźnie poprawiły. Nawet Brian zaczął się częściej uśmiechać i powiedział, że noga go mniej boli. Postanowiliśmy wyruszyć wczesnym rankiem dnia następnego a Brian wyraził nadzieję, że będzie szedł o własnych siłach.

W chwili gdy kończyliśmy kolację rozległ się za drzwiami okropny hałas. Wyglądało to tak jakby ktoś potknął się na schodach i upuścił stos porcelanowych talerzy, które spadały w dół tłukąc się na drobne kawałki. Porwałem się od stołu i wybiegłem na korytarz. Owionęła mnie ciemność i cisza.

— Hej, co się tu dzieje? — zawołałem.

— Słucham pana — odezwał się głos tuż obok.

Wzdrygnąłem się. Obok stał karczmarz. Zjawił się niespodziewanie, bezszelestnie i nie wiadomo skąd.

— Słyszeliśmy jakiś hałas, jakby ktoś przewrócił się z talerzami na schodach. Wyszedłem zobaczyć.

— Wydawało się panu. Ja nic nie słyszałem. Proszę — poświecił latarką — czy widzi pan jakieś potłuczone talerze?

Nie widziałem. Zrobiło mi się głupio i nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— No, dobranoc panu. Niech pan śpi spokojnie — pożegnał mnie gospodarz.

Wróciłem do pokoju.

— Rozumiecie coś z tego? — zapytałem towarzyszy.

Wzruszyli tylko ramionami.

Zaczęliśmy przygotowywać się do spania. Gdy już mieliśmy zdmuchnąć świeczkę, nagle ktoś gwałtownie zabębnił po szybie.

— Joe! Joe! Joe! — dało się słyszeć wołanie.

Joe porwał się do okna lecz za szybą dostrzegł tylko lejącą się ciemność. Otworzył okno. Powiało mglistą wilgocią i ciszą. Joe wychylił się i zaczął wołać.

— Hej, jest tam kto?

Odpowiedziała mu cisza. Po chwili Joe gwałtownie zamknął okno, stanął na środku pokoju i rzekł.

— Od momentu gdyśmy ominęli Lochinvar i skręcili w stronę tego zwariowanego półwyspu cała wycieczka zaczęła mi się nie podobać. Wszystko, co nas otacza staje się dziwne i tajemnicze. Ta mgła i ten księżycowy krajobraz we mgle, tętent, który nas tak przeraził, rżący jak koń karczmarz, hałasy na korytarzu i teraz to pukanie w okno. Kto stuka w okno na pierwszym piętrze? Słyszeliście jak ktoś mnie wołał po imieniu?

Obaj z Brianem kiwnęliśmy potakująco głowami.

— Mówię wam, ja się boję — przyznał się Joe. — To się źle skończy... Albo teraz.... Słuchajcie!

Zaczął nasłuchiwać, po czym podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho. Stał tak jeszcze przez chwilę.

Spojrzałem na Briana, a gdy się znów odwróciłem do Joe, wydało mi się, że mam mgłę przed oczami. Przetarłem oczy, ale mgła nie ustępowała. W miejscu gdzie stał Joe kłębił się teraz obłoczek mgły, który zaczął się gwałtownie zmniejszać, aż w końcu zniknął zupełnie jak gdyby wessany na zewnątrz przez dziurkę od klucza. Rozejrzałem się po pokoju. Joe z n i k n ą ł!

Kolana ugięły się pode mną, zaschło mi w gardle i o mało nie zemdlałem. Po przerażeniu widocznym na twarzy Briana poznałem, że nie śnię.

Po chwili zmusiłem się do otwarcia drzwi na korytarz.

— Joe! — krzyknąłem. — Joe!

— Znowu pan hałasuje. O co tym razem chodzi?

Gospodarz zjawił się równie bezszelestnie jak poprzednio. Tym razem ton jego głosu był wyraźnie niemiły, a od całej jego postaci biła nieukrywana wrogość.

— Joe! — krzyknąłem jeszcze raz na nic nie zważając.

— Gdzie jesteś, Joe?

— Kto to jest Joe? — spytał karczmarz.

— Mój towarzysz. Był w pokoju i przed chwilą zniknął.

— Co to znaczy zniknął? Przecież jest tam — rzucił rozdrażniony mój rozmówca.

— Gdzie? — Odwróciłem się. — To nie ten. To jest Brian ale gdzie jest ten trzeci?

— Trzeci? — zdziwił się gospodarz. — Jaki trzeci? Przecież tylko dwóch panów tu przyszło i umieściłem was w dwuosobowym pokoju.

Odwróciłem się. W pokoju były tylko d w a łóżka! Ogarnięty paniką zatrzasnąłem drzwi, zasunąłem zasuwę zamka i zwaliłem się, prawie nieprzytomny ze strachu, na podłogę obok łóżka. Z korytarza dobiegł rżący śmiech karczmarza.

— Słuchaj — odezwał się szeptem Brian schodząc z trudem z łóżka — musimy stąd zwiewać nie czekając rana. Ja mam już dość wszystkiego.

— A Joe?

— Joe zniknął i nic już nie pomożemy. Wiejmy.

Gdy Brian to powiedział, usłyszeliśmy odgłos jakby pacnięcia; jak gdyby ktoś rzucił worek piachu na środek pokoju. Spojrzeliśmy w to miejsce lecz nic tam nie zobaczyliśmy. Nagle płomień świecy zachybotał i zgasł. Upłynęła krótka chwila zanim drżącymi rękami namacałem pudełko zapałek i ponownie zapaliłem świecę. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że znajduję się sam w jednoosobowym pokoju z jednym łóżkiem! Briana n i e b y ł o w pokoju!

Byłem teraz przekonany, że szukanie Briana jest bez sensu. To nowe niezrozumiałe wydarzenie oraz uczucie grożącego mi niebezpieczeństwa wyzwoliły we mnie inicjatywę i energię. Odrzuciłem koce z łóżka, związałem oba prześcieradła, jeden koniec tak powstałej liny przywiązałem do łóżka a łóżko przysunąłem do okna. Otwarłem okno i trzymając się prześcieradła zacząłem opuszczać się na dół. Prześcieradła były za krótkie, więc bez namysłu skoczyłem w ciemność. Wylądowałem w jakichś krzakach i nie zważając na zadrapania zacząłem pędzić na oślep, byle dalej od tego przeklętego domostwa. Po drodze przesadzałem jakieś płoty i rowy; gnałem bez wytchnienia, bo wydawało mi się, że za sobą słyszę tętent i rżenie. Słyszałem też ciężki oddech kogoś, kto mnie gonił. Oddech ten był coraz bliższy i już prawie czułem jego ciepły powiew na karku, gdy nagle potknąłem się na jakimś wykrocie, zacząłem spadać i chyba straciłem przytomność.

Gdy ją znowu odzyskałem był piękny i pogodny poranek, przygrzewało słońce. Stwierdziłem, że znajduję się na szczycie owego wzgórza, na które się wszyscy trzej wspięliśmy zanim ogarnęła nas mgła. Na zachodzie i północy, w niewielkiej ode mnie odległości widać było spokojne niebieskie morze, na południowym zachodzie błyszczały w słońcu dachy Lochinvar. Dookoła mnie rozpościerało się torfowisko pokryte dywanem kwitnącego wrzosu. Cisza, spokój, błogość. Nie było śladu jakiegokolwiek zajazdu w zasięgu mojego wzroku.

Zadawałem sobie pytanie czy wypadki dnia wczorajszego, które miałem wyryte w pamięci były snem czy jawą. Wydawało mi się to niemożliwe, a jednak... Gdzie byli Joe i Brian? Nigdy nie natrafiłem na ich ślad. Jedyne wytłumaczenie to kelpie.

Nieznajomy zakończył opowiadanie i wpatrzył się w twarz Petera.

— Czy teraz już pan wierzy? — spytał.

Peter chciał odpowiedzieć gdy usłyszał skrzypienie schodów pod nogami schodzącego do świetlicy gospodarza zajazdu. Przeprosił więc nieznajomego i zapytał czy napije się z nim jeszcze piwa. Nieznajomy przystał na propozycję i Peter podszedł do baru.

— Słucham pana? — skłonił się barman.

— Dwa piwa — rzekł Peter. — Ciekawą historię o kelpie usłyszałem od tego nieznajomego człowieka.

— Jakiego człowieka? — zdziwił się barman. — Przecież poza nami nie ma tu nikogo innego.

Peter spojrzał w stronę kominka. W świetle dogasających szczap nie dostrzegł nikogo. Nieznajomego nie było!

— To bardzo dziwne!

— Pewnie się pan zdrzemnął i miał pan miły sen. Ciepło rozmarza.

— Proszę pana — zwrócił się do barmana Peter — czy mógłbym zobaczyć panską książkę gości?

— Nie mam książki gości. Zapodziała mi się gdzies w zeszłym tygodniu.

— To znaczy, że mojego nazwiska pan nigdzie nie zapisał?

— Nie. Czy to panu przeszkadza?

— Ach nie, nie.

Peter szybko się pożegnał i udał się do swego pokoju. Tam zamknął drzwi na zasuwę i dokładnie pozamykał okna. Położył się spać przykrywając się kocami na głowę. Gdy jednak wstało rano, wydał się sam sobie śmiesznym. Był teraz pewien, że mu się wieczorna rozmowa z nieznajomym przyśniła. W pogodnym nastroju wyruszył w dalszą podróż na północ.

* * *

Po trzech dniach w lokalnych gazetach można było przeczytać krótką wzmiankę zatytułowaną „Zaginiony urzędnik bankowy".

„Wczoraj, w niedalekiej odległości na północ od Lochinvar znaleziono opuszczony samochód z rejestracją z Inverness należący do pracownika banku w tym mieście, Petera MacFarlane. Ponieważ mister MacFarlane nie był widziany przez nikogo w ciągu dwóch ostatnich dni i nie zgłosił się wczoraj do pracy, zachodzi podejrzenie, że mógł ulec wypadkowi. Pomimo usilnych poszukiwań policja nie zdołała wpaść na żaden ślad zaginionego. Dziś w Lochinvar spodziewany jest przyjazd specjalnego pracownika Scotland Yardu"

Tłumaczył:
BOGDAN KRAKOWIAN

FILM

„Kalina czerwona"

Przekazując przed kilkoma miesiącami swe wrażenia z Konfrontacji 74, uznałam film „Kalina czerwona" Wasilija Szukszyna za ich koronne wydarzenie. W odczuciu tym nie byłam odosobniona. W plebiscycie widzów radzieckich na najwybitniejszy film roku 1974 „Kalina czerwona" zajęła pierwsze miejsce. Na II FFF w Gdańsku film Szukszyna pokazywany był w ramach Przeglądu Filmów Krajów Nadbałtyckich, budząc powszechny zachwyt. W październiku „Kalina czerwona" doczekała się oficjalnej premiery u nas i po kilku dniach wyświetlania cicho zeszła z ekranu. Fakt ten musi budzić z kolei zdumienie u tych wszystkich, którzy film ten zdołali obejrzeć.

Jak to się dzieje, że są filmy, w których piękno ludzie nie chcą uwierzyć? Jakie mechanizmy niewiarę tę powodują? Bywają autorzy czy całe kinematografie mało znane, bywają kinematografie, które nadużywszy kiedyś zaufania widzów długo nie mogą go na powrót odzyskać — taki był przed laty na przykład los wspaniałego „nowego kina" czechosłowackiego. Kinematografia radziecka, jak każda inna, miewa swe chude i tłuste lata, jej filmy, te dobre i ważne, posiadają w naszym kraju swych zagorzałych wielbicieli. Kozincew, Kałatozow, Czuchraj, Romm, Tarkowski, Konczałowski, Panfiłow i wielu innych reżyserów zdobyło owo zaufanie, o którym mowa. Wasilij Szukszyn jest nie znany. By jego film, ostatni, który zdążył zrealizować, mógł liczyć na sukces, trzeba mu w tym pomóc. Jak? — nie wiem. Czynię to jako recenzent i jako osoba prywatna, nie jestem specem od reklamy. Tysiące słów napisano już i powiedziano o funkcji reklamy, wcale przecież nie obelżywej dla kina, które przełamało wszystkie przez wieki ukształtowane konwencje spotkań ze sztuką. Kino reklamy wstydzić się nie musi. Jeśli 8-tysięczny nakład książki „Rozmowy przy jasnym księżycu" Wasilija Szukszyna pomnożymy przez jakąś tam liczbę czytelników, którzy do niej dotrą, będzie to zawsze liczba widzów, która dla odbioru filmu Wasilija Szukszyna będzie jeszcze kompromitująco mała. Film, taka jest jego istota, potrzebuje setek tysięcy czy milionów widzów, by móc mówić o jego bezwzględnym sukcesie. Są filmy, które reklamy nie potrzebują, dotyczy to zarówno np „Potopu" jak i „Dnia Szakala", wielu filmów artystycznie wybitnych i tylko rozrywkowych. Są jednak filmy wybitne, dla których życia reklama ta jest niezbędna, „wieść gminna" im nie wystarczy, bo mnożnik informacji bywa w jej wypadku często bardzo niski. Ratujmy więc filmy, które na sukces zasługują, dajmy szansę wielkiej satysfakcji widzom, satysfakcji, która ich ominie, bo po prostu tytuł „Kalina czerwona" nic im nie mówi.

Wspomniany wyżej tom opowiadań „Rozmowy przy jasnym księżycu" przypomina niezwykłą sylwetkę zmarłego przed rokiem pisarza, reżysera i aktora — Wasilija Szukszyna. „Kalina czerwona" jest ostatnim dziełem tego artysty, filmem, w którym spotkały się wszystkie pełnione przez niego w jego życiu twórczym role, filmem, który okazał się ostatnim już wyznaniem jego postawy wobec życia i wobec sztuki. Wasilij Szukszyn zachwyca jako pisarz, jako reżyser i jako aktor. Czytelników i widzów zdobywa szturmem, bo świat jego książek i jego filmów wypełniony jest filozofią, która, jak sądzę, bliska i potrzebna jest wielu ludziom. Jest to filozofia wyrosła na gruncie rozterek, które są udziałem świata, przez który przetoczyła się wielka fala cywilizacji, burząc jego odwieczny porządek, niszcząc wartości, których cenę na powrót odkrywamy.

Wasilij Szukszyn, człowiek, którego biografia i którego sztuka stanowią niezwykłą jedność, dla ujawnienia swej postawy, zarówno w swych opowiadaniach jak i w filmie, najchętniej wybiera formę moralitetu. Taki też charakter ma „Kalina czerwona" film, którego przebogata tkanka psychologiczna i obyczajowa wydaje się na pozór przeczyć tamtej konwencji. Zamysł sprzężony z niezwykłym talentem dał jednakże dzieło, którego bogactwo znaczeń i ich funkcji zdumiewając, pozwala odczytywać jego wielopoziomowe sensy.

Historia recydywisty Prokudina, postaci niezwykle barwnej, obdarowanej przebogatym życiem wewnętrznym, prowadzi nas ku rozważaniom egzystencjalnym, których u progu tej opowieści nigdy nie przeczuwalibyśmy. Prokudin to złodziejaszek, szukający dla siebie miejsca wśród ludzi, inny niż oni nie tylko dlatego, że chce żyć inaczej, ale także dlatego, że w jego osobowości splata się wszystko, co w człowieku złe i dobre, że w swym intensywnym życiu ustawicznie manifestuje złożoność natury ludzkiej.

Postać ta w filmie Szukszyna uosabia jednakże ideę nadrzędną całej opowieści, opowieści o człowieku, który zdradziwszy swe miejsce na ziemi, odszedł w świat, który go zabił. Bohater Szukszyna ma jednak świadomość pozoru wartości, które świat mu ofiarowywał, pozoru, dla którego popełnił tę zdradę. Prokudin powraca więc do źródeł — do ziemi na której się urodził, do brzóz, które pokochał w dzieciństwie, do matki, która ciągle czeka, lecz której nie odwiedzi, bo jest już na to za późno. Prokudin powraca do ludzi, wśród których znajduje wartości, od których omamiony uciekł. Wśród nich jest jego szansa i oni mu ją ofiarowują. Za Prokudinem stoi jednakże jego zdrada, upomni się ona o karę. Bohater Szukszyna wychodzi jej naprzeciw, staje się uosobieniem poczucia odpowiedzialności, świadomości własnego życia. „Opowieść o recydywiście Prokudinie postawiła nas nieoczekiwanie wobec podstawowych pytań egzystencjalnych.

On sam i inne postaci filmu zyskały sens alegoryczny, uosabiają zło, dobro, wierność, miłość, odpowiedzialność, a poszczególne sceny czy tylko obrazy funkcjonują w tym filmie na zasadzie archetypów odczytywanych i rozumianych bez wahań. I ludzie, i natura z filmu Szukszyna, filmu uniwersalnych sensów, obdarowani są jednakże niepowtarzalną atmosferą rosyjskości. Myślę tu zarówno o typach ludzkich i obyczajowości jak i o przyrodzie, myślę o tradycji rosyjskiej literatury. W tym filmie jest obecny duch Czechowa, Dostojewskiego i Jesienina, ale także Gogola. W „Kalinie czerwonej", spotykamy całe bogactwo rosyjskiej literatury, w której mistrzostwo rysunku obyczajowego i psychologicznego szło zawsze w parze z przeogromnymi pokładami głębokiego liryzmu i ostrej groteski, w której refleksja egzystencjalna była refleksją dominującą. Wasilij Szukszyn temu bogactwu tradycji przydał współczesność i współczesnym swe życie i swą twórczość ofiarował. Warto pamiętać, że twórczość tę zamknął moralitetem, któremu dał tytuł „Kalina czerwona".

EWA NURCZYŃSKA

Od redakcji:
Do tytułu ostatniej recenzji filmowej wkradł się z winy korekty przykry błąd, za który redakcja przeprasza Czytelników i Autorkę. Tytuł, będący cytatem, winien oczywiście brzmieć: „Tylko dokąd się ono toczy i po co?".

PROBLEMY

Pojechałem do Sieradza w dniu inauguracji Roku Kulturalnego. Nie o ten „dzień" mi jednak chodziło, lecz o „dziś" i „jutro" kultury w województwie sieradzkim. Problem niełatwy, ani do rozwiązania „z marszu", jak powstała nowa władza. Mgr ADAM FUDAŁA, znany mi od lat energiczny menażer od kultury, minę ma zatroskaną, ale to może świadczyć jedynie o poczuciu odpowiedzialności. Jako dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego, odziedziczył schedę niebogatą i wraz ze swym sztabem myśleć optymistycznie może tylko o przyszłości.

JERZY WAWRZAK

SIERADZKIE: dziś i jutro KULTURY

Utworzyć województwo w Sieradzu to sprawa nie tak prosta jak w Częstochowie, Bielsku, Radomiu czy Tarnowie, ale jak sądzę o zasadniczych trudnościach można już mówić w czasie przeszłym. Wydaje mi się jednak: że **najtrudniej** będzie rzeczywiście **zintegrować** te byłe powiaty: łaski, poddębicki, sieradzki, wieluński, miasto Zduńska Wola w **jeden społeczny organizm** pod wojewódzkim szyldem. To będzie wymagać czasu, po pierwsze. A po drugie, trzeba mieć stale w świadomości, że **sprzyjającym czynnikiem tej integracji może i musi być kultura** — jej uprawianie i upowszechnianie.

Odwróćmy kolejność. Nim powiemy o „uprawie", jak i czym kulturę **upowszechniać?** Zacznijmy od infrastruktury, bazy. Kilka liczb: 142 biblioteki publiczne i 569 punktów bibl., 5 gminnych ośrodków kultury, 9 domów kultury (w tym cztery filie WDK) 26 kin, 145 klubów „Ruchu", 86 klubów GS, 63 świetlice. Dalej: dwa muzea (w Sieradzu i Wieluniu) dwie izby regionalne (w Małkowie i Poddębicach) szkoła muzyczna I stopnia w Zduńskiej Woli i 4 społeczne ogniska muzyczne.

Dużo to, czy mało? Mało. Na 388 tysięcy mieszkańców województwa. A w dodatku baza skromnie wyposażona i w terenie rozmieszczona nierównomiernie. (Np. w gminie Widawa jest 12 klubów, a w Błaszkach 3: w Siemkowicach 1 biblioteka przypada na 1350 mieszkańców, a w Dobroniu na blisko 5 tys.) Ogromne trudności lokalowe, to w tej chwili bariera dla powstawania nowych placówek, a także ograniczenie form i zasięgu działania placówek istniejących. Dość wspomnieć, że 60 proc. bibliotek zajmuje 1-izbowe pomieszczenia. Podobnie jest w klubach świetlicach. Niewiele jest odpowiednich sal widowiskowych, co poważnie ogranicza możliwości występów teatrów i placówek zawodowych, a także rozwój amatorskich zespołów artystycznych. Na dobrą sprawę aktualnie tylko Wieluń, Łask i Konopnica mają funkcjonalne sale widowiskowe, a nie posiada takowej... stolica województwa. Istniejący do niedawna budynek tzw. Teatru Miejskiego zamknięto na okres dwuletniego remontu i modernizacji. (To jedna z pierwszych decyzji nowych władz, dobra, m. in. dlatego, że szybka). Podobnie jest z organizacją widowisk w Zduńskiej Woli, gdzie ryzykuje się imprezy w sali miejskiej straży pożarnej którą też trzeba pilnie remontować. Tutaj dla odmiany były PDK okazał się bezkonkurencyjnym obiektem na Wojewódzki Dom Kultury. Zważywszy że i Muzeum Sieradzkie ma nieodpowiednie warunki do pracy, łatwo stwierdzić, że **Sieradz jest miastem w województwie pod względem infrastruktury kulturalnej najbardziej upośledzonym.**

Nie piszę tego by, broń Boże, ironizować czy nawet krytykować, a po prostu przedstawić stan rzeczy i wyciągnąć z niego pewne wnioski. Dodam też, że obecna sytuacja jest konsekwencją minionego okresu. I co najważniejsze, ów stan rzeczy jest **dostrzegany** przez władze wojewódzkie. Obszerny raport w tej materii przedstawiono we wrześniu Egzekutywie Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Sens partyjnych decyzji jest oczywisty: zlikwidować dysproporcje, umacniać i rozwijać istniejące placówki, organizować nowe, stwarzać warunki dla „importu" kultury i rozwijać własne, a zwłaszcza kulturę ludową: obejmować działalnością upowszechnieniową jak najszersze kręgi społeczeństwa, uwzględniając fakt że tylko co czwarty mieszkaniec województwa mieszka w ośrodkach miejskich.

Z tej więc pozycji zajrzyjmy jeszcze raz do wspomnianego raportu. Jak przedstawia się np. **wyposażenie** placówek kulturalno-wychowawczych. Także więcej niż skromnie: 1/3 klubów posiada magnetofony, 1/5 projektory, a jakież to rarytasy w obecnych czasach? Książek w bibliotekach województwa jest 765 tysięcy, a czytelników ponad 100 tys. (znacznie powyżej średniej krajowej) i byłoby ich znacznie więcej, gdyby były większe i atrakcyjniejsze księgozbiory.

A teraz pytanie najważniejsze. O ludzi, animatorów kultury, od których — mimo dobre czy złe warunki — tak wiele zależy. Najpierw „zawodowcy". Jest ich w sumie 350, wykształconych i przygotowanych do wykonywania trudnego zawodu — różnie. 8 proc. ma wyższe wykształcenie, 12 proc. półwyższe, średnie — 52, niepełne średnie i podstawowe — 28. Liczby te mówią same za siebie, a najbardziej wymowny jest fakt, że na 105 gospodarzy klubów „Ruchu" tylko 1 (jedna) osoba ma średnie wykształcenie. Na szczęście znacznie lepiej jest w placówkach wyżej zorganizowanych, instytucjach miejskich i wojewódzkich. Tutaj co trzeci pracownik ma wykształcenie wyższe. W samym Wydziale Kultury Urzędu Wojewódzkiego wszyscy pracownicy legitymują się odpowiednim cenzusem. Taki stan rzeczy wynika również z przesłanek obiektywnych. Prawie **połowa** pracowników kultury to osoby niepełnozatrudnione, luźno związane z zawodem, nie dbające o podnoszenie kwalifikacji, często zmieniające miejsce pracy. A ponadto polityka płacowa w minionym okresie też zrobiła swoje.

Wysiłki pracowników kultury **wspomagają działacze** zgrupowani w wielu stowarzyszeniach społecznych, jak np. Towarzystwo Przyjaciół Sieradza, TP Zduńskiej Woli, Towarzystwo Krzewienia Kultury Plastycznej, Towarzystwo Kultury Teatralnej, Towarzystwo Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych, koła przyjaciół bibliotek itp. W ruchu społecznym aktywnie uczestniczy ponad 900 osób, a więc sporo, ale wobec potrzeb województwa — **dalece za mało.** Z taką opinią trzeba się zgodzić, gdyż problemów upowszechniania kultury nie mogą rozwiązać własnymi siłami pracownicy etatowi. Gdzie jak gdzie, ale w kulturze bez armii społeczników nie można mówić o autentycznym i masowym ruchu. I potwierdza to sytuacja w Sieradzkiem, gdzie istnieje zaledwie 160 zespołów muzycznych, teatralnych i folklorystycznych.

Dość jednak tej żałościwej litanii, przedstawmy **plany i koncepcje,** podumajmy o przyszłości zakładając poprawki w górę. Dyrektor Fudała faszeruje mnie dokumentami, opracowaniami, nie żałuje komentarza. To nie są błahe sprawy! — „produkowanie papierków". Kształt kultury przyszłości, przydatność modelu jej funkcjonowania w bardzo poważnym stopniu zależeć będzie od **jakości myślenia o tych sprawach dzisiaj,** od kierunków jakie się wytyczy, od koncentracji środków, wreszcie obok innych rzeczy — od wyobraźni działaczy, która musi się wyzwolić z pęt smutnawej teraźniejszości.

Pierwsza sprawa, to wytypowanie i skoncentrowanie środków na rzecz centrów kultury. Z tym nie było kłopotów. Wieluń, Łask, Poddębice, Zduńska Wola, wytypowały się same swoim dotychczasowym dorobkiem. Najlepiej na tej liście prezentuje się Wieluń, który miał zawsze działaczy z prawdziwego zdarzenia i zapobiegliwą władzę powiatową. Podobnie Zduńska Wola, która otarła się o świat wielkiego przemysłu. I ten poziom wspólnego startu określa priorytety. A więc likwidacja kulturalnej pauperyzacji Sieradza, budowa domu kultury w Łasku, restauracja zabytkowego pałacu w Poddębicach na takiż sam obiekt.

Inny kierunek, to powoływanie **nowych** placówek kultury. Nic tu z nowowojewódzkiego snobizmu, ale ciśnienie potrzeb i świadomości, że nowe ogniwa w upowszechnieniowym łańcuchu są niezbędne. Popatrzmy co już jest i co będzie organizowane w przyszłości.

Do końca br. zostaną powołane **Gminne Ośrodki Kultury.** Nie formalnie, dla statystyki, tylko gdzie są już odpowiednie ku temu warunki — a więc w ok. 60 proc. gmin.

Dyskutuje się we wszystkich środowiskach założenia programowe. „Nic nie robimy zza biurka — mówią mi w Wydziale Kultury — przed podjęciem decyzji o wszystkich sprawach najpierw dyskutujemy z działaczami".

Decyzją **Wojewody Sieradzkiego** powołano znaczące dla kultury organizacje i instytucje. Wśród nich Wojewódzką Radę Ochrony Dóbr Kulturalnych (w skład Rady wszedł znany naukowiec prof. dr Konrad Jażdżewski). Urząd wojewódzkiego konserwatora zabytków, który objął świetny fachowiec z tej branży **MIECZYSŁAW PRACUTA.** Wojewódzkim plastykiem został **MAKSYM DZIERZGOWSKI,** członek Związku Polskich Artystów Plastyków. Wspomnę tu jeszcze o zorganizowaniu typowych placówek jak WDK czy Wojewódzka Biblioteka, którą kieruje doświadczony fachowiec i działacz kulturalny **EDWARD SIEKOWSKI.**

Już w sierpniu powołano Biuro Wystaw Artystycznych, którym kieruje młody historyk sztuki **WOJCIECH SIEBERT.** BWA otrzymała pomieszczenie o kubaturze 460 m sześc., w niedalekiej przyszłości filię w Zd. Woli. Z premierową wystawą wystartuje już w styczniu 1976 r. w rocznicę wyzwolenia miasta, z ekspozycją p.n. „Województwo sieradzkie w malarstwie". Złoży się na nią dorobek poprzednich plenerów, które będą organizowane również w przyszłości. („Lato sieradzkie").

W miejscowej szkole budowlanej zorganizowano salę widowiskową na 600 miejsc, która czasowo pozwoli na organizacje imprez kulturalnych do czasu renowacji Teatru Miejskiego, czy w jeszcze dalszej przyszłości — wybudowaniu wielofunkcyjnego domu kultury w Sieradzu.

Nie od zaraz, ale planuje się zadaszenie amfiteatru, rozbudowę jego zaplecza, co umożliwi lepsze wykorzystanie obiektu i dostosowanie go do organizowania różnorodnych imprez. W najbliższym czasie powołana zostanie agenda Estrady Łódzkiej.

Przyznano już pomieszczenia dla filii łódzkich zakładów PSP „ART". Wygospodarowano także pomieszczenie na sklep z dziełami sztuki.

W roku przyszłym przewiduje się zorganizowanie w Zduńskiej Woli Liceum Sztuk Plastycznych o dwóch kierunkach nauczania, w sieradzkich warunkach bardzo potrzebnych: rzemiosła artystycznego i dekoratorstwa. Natomiast w Wieluniu zostanie zorganizowana szkoła muzyczna I stopnia.

Powołano także ważną placówkę, bo sieradzkie w zabytki bogate: Biuro Dokumentacji Zabytków.

Nie uszły także uwadze władz wojewódzkich sprawy **wolnego czasu.** Podejmuje się w tym zakresie odpowiednie prace koordynacyjne w zakresie programowania i finansowania imprez. A co mnie się najbardziej podoba, to przyjęcie jako zasady łączenia z tym działaniem imprez o charakterze rozrywkowo-kulturalnym, co powszechnie nie jest (niestety) praktykowane.

Planuje się także cały szereg imprez cyklicznych. Dla przykładu: „Dni kultury radzieckiej", dni książki: społeczno-politycznej, technicznej, rolniczej, konkursy „Bliżej teatru", konkursy recytatorskie, konkursy piosenki żołnierskiej i partyzanckiej, piosenki radzieckiej itd. W programach działania przewiduje się systematyczną działalność odczytową, spotkania autorskie, szereg imprez o charakterze ideowo-wychowawczym, jak spotkania z działaczami politycznymi i gospodarczymi, oficerami Wojska Polskiego, publicystami itd.

Czytelnicy wybaczą mi tę przydługą wyliczankę, ale jak się okazuje, nawet o kulturze trudno nie pisać konkretnie. A dodać muszę, że tym razem pominąłem aż trzy obszerne kompleksy spraw: ciekawą, ambitną i oryginalną sieradzką inicjatywę jaką jest stworzenie **Sieradzkiego Parku Etnograficznego:** obszerny temat jakim jest **ochrona zabytków i rozwój muzealnictwa** na terenie województwa, dzień dzisiejszy i jutro **sztuki ludowej i folkloru** tych ziem. O tych sprawach w następnych publikacjach.

Z przedstawionych powyżej informacji, faktów i planów wynika kilka **wniosków i refleksji.** Oto kilka, najbardziej charakterystycznych, w publicystycznym skrócie:

Województwo sieradzkie powstało z połączenia ziem o bardzo zróżnicowanym, ale ciekawym rysie kulturowym. Zasobnych w tradycje, ale ubogich w infrastrukturę kulturalną. Fakt ten nie oznacza jednak jakiejś stagnacji, aktualnych niemożliwości, zmusza jedynie do cierpliwości, jako że zorganizowanie nowoczesnej i funkcjonalnej bazy wymagać będzie czasu, i to w niektórych dziedzinach wielu lat.

Jako atut w działaniu na co dzień i tym o dalszej perspektywie, widzę powszechną świadomość pewnych konieczności, wyboru celów, priorytetów, aktywności i pomysłowości w działaniu w warunkach jakie są, bez czekania i oglądania się aż ludowe państwo wszystko ładnie i składnie urządzi.

Chwalę zdecydowanie z jakim mówi się w Sieradzu o **związkach kulturalnych z Łodzią.** Chodzi rzecz jasna przede wszystkim o **współpracę z łódzkimi środowiskami twórczymi.** Oczywiste jest, że np. próba zorganizowania teatru zawodowego w Sieradzu byłaby nonsensem, że trzeba organizować tu przedstawienia wyjazdowe teatrów (tam gdzie są warunki) i odwrotnie, organizować dojazdy do Łodzi na przedstawienia licznych scen dramatycznych, muzycznych operowych, filharmonii, duże występy zespołów zagranicznych. Na miejscu realne jest organizowanie przedstawień kameralnych, scen propozycji, recitali aktorskich itp. Dla łódzkich środowisk **ekspansja** na tereny województwa sieradzkiego, a także piotrkowskiego i skierniewickiego, to także **duża szansa, której nie wolno zmarnować.** W Sieradzu byli już plastycy, pod koniec miesiąca wybierają się literaci. I sekretarz KW tow. **Tadeusz Stasiak,** wojewoda **Tadeusz Barczyk,** sekretarz propagandy KW **Jan Dębowski,** wicewojewoda **Józef Kobiela** dali w przeszłości i już pełniąc obecne funkcje, dowody, że doceniają wagę i rangę kultury jako ważnego atutu w kompleksie działań jakie podejmuje młode wojewódzkie. I chyba jest to dobry prognostyk na przyszłość dla tych wszystkich, którym dobro kultury leży na sercu.

I na zakończenie **refleksja osobista,** uczyniona na własną odpowiedzialność, bo z nikim na ten temat nie rozmawiałem.

Przez wiele lat byłem blisko związany ze znaczną częścią obecnego województwa sieradzkiego. Znam więc ludzi, którzy tu od lat działają. I tak się złożyło, że znam sporo wśród tych, którzy tu przyszli w wyniku reformy administracji. I myślę, że jest to **pozytywny układ,** co nie znaczy, że musi on w najdrobniejszym szczególe funkcjonować bez żadnych trudności. Ci z zewnątrz (tak ich na razie nazywam, bo proces asymilacji wymaga czasu) wnoszą rzeczy bardzo cenne: rozmach wynikający z działania na dużą skalę, doświadczenia szerokiego kontekstu, pewne wzorce i przykłady działania wypracowane w skali byłego województwa czy kraju: wyobraźnię wykształconą na różnych szczeblach działania od najniższego po bardzo wysoki. To cenny kapitał, drożdże ożywienia, dźwignie rozmachu. A z drugiej strony „miejscowi". Ile doświadczenia, znajomości ludzi i ich potrzeb, przywiązania i poświęcenia dla pracy, która szczerze mówiąc w przeszłości nie była honorowana tak jak na to zasługiwała. Kilkuset tych zawodowych pracowników kultury i prawie tysiąc działaczy, którzy mają swoje ambicje i chcą mieć warunki (albo je współtworzyć) dla zaspokajania tych ambicji.

Nie wątpiąc że tak się stanie, wypada wszystkim tylko życzyć, by stało się to możliwie szybko.

U PRZYJACIÓŁ

Niedawno w Moskwie odbyły się obrady VI Plenum Zarządu Związku Pisarzy ZSRR na temat międzynarodowych kontaktów tej organizacji w świetle kierunków polityki zagranicznej KPZR. Zasadniczy referat wygłosił I sekretarz Zarządu Związku Pisarzy ZSRR Gieorgij Markow. Dyskusja dotyczyła dwóch głównych kierunków: współpracy ze środowiskami twórczymi krajów socjalistycznych oraz kontaktów z krajami Europy Zachodniej i innych kontynentów.

„W międzynarodowych kontaktach radzieckiego Związku Pisarzy — powiedział G. Markow — współpraca z odpowiednimi organizacjami krajów socjalistycznych zajmuje miejsce centralne. Współpraca ta opiera się na jedności poglądów ideowych i założeń twórczych przy jednoczesnym uwzględnieniu narodowej specyfiki każdej z bratnich literatur. Wspólnie rozpatrywane są najważniejsze problemy i formy tej współpracy, podejmowane cenne inicjatywy, jak doroczne spotkania redaktorów naczelnych pism literackich, spotkania dwustronne, powołanie mieszanych komisji do spraw przekładów i edycji literatury pięknej itp. Przykładem przejścia do wyższych form współpracy jest zastąpienie jedno- lub dwurocznych planów współpracy programami wieloletnimi. W ostatnich latach porządek dzienny spotkań obejmuje nie tylko sprawy praktyczno-organizacyjne, lecz także problemy literacko-teoretyczne, twórcze. Współpraca pisarzy radzieckich z ich kolegami z krajów socjalistycznych znajduje coraz większe odbicie w kontaktach poszczególnych czasopism, w publikowaniu materiałów z sesji, konferencji itd.

W literaturze krajów socjalistycznych mamy do czynienia z szybko zachodzącym procesem zmiany pokoleń. Stawia to — w świetle zaleceń końcowego dokumentu konferencji w Helsinkach — konieczność rozszerzenia kontaktów między młodymi pisarzami Kraju Rad a ich kolegami z innych, szczególnie bratnich krajów.

Nasz Związek Pisarzy — stwierdza dalej G. Markow — przywiązuje wielką wagę do wystąpień naszych twórców na arenie międzynarodowej. Ich wizyty w krajach socjalistycznych, konferencje, spotkania w klubach, bibliotekach, domach kultury, wystąpienia w radio i TV — składają się na jedną wielką opowieść o osiągnięciach wielonarodowej literatury radzieckiej. W ciągu ostatnich 5 lat uczestniczyli oni w 70 imprezach zagranicznych. Również w ZSRR odbyło się wiele podobnych imprez z udziałem pisarzy z krajów socjalistycznych. Cennym plonem tych wzajemnych odwiedzin jest szereg książek o ZSRR, które ukazały się w Polsce, Bułgarii i na Węgrzech.

Nasza wzajemna współpraca w zakresie kultury i sztuki jest tylko jednym z ogniw wielkiej integracji ideowej i ekonomicznej państw socjalistycznych. Wiadomo także, że na terytoriach poszczególnych krajów socjalistycznych wznoszone są wspólnymi siłami wielkie, służące wspólnym celom, obiekty przemysłowe. Sądzę, że te niespotykane dotąd w historii narodów nowe doświadczenia, w większym niż dotychczas stopniu powinny zainteresować pisarzy.

Z satysfakcją wypada odnotować fakt, że w ostatnich czasach powstało szereg pozycji książkowych, będących wspólnym dziełem pisarzy ZSRR i bratnich krajów. (W Polsce ukazała się niedawno „Księga przyjaciół", wydana przez PIW, pod redakcją I. Sikiryckiego — przyp. red.) Spotkały się one z dużym zainteresowaniem czytelników i krytyki. Z cenną inicjatywą w tym zakresie wystąpiła moskiewska organizacja pisarzy, która wspólnie z kolegami z innych państw przygotowuje obszerny tom szkiców o klasie robotniczej stolic krajów socjalistycznych.

Współpraca kulturalna, to także bardzo ważny problem literatury przekładowej. I na tym polu wszyscy możemy odnotować poważne osiągnięcia, co nie znaczy że sytuację można uznać za w pełni zadowalającą. Dlatego powołano dwustronne komisje mieszane do spraw przekładów literatury pięknej...

W dalszym ciągu swego wystąpienia G. Markow przedstawił kontakty Związku Pisarzy ZSRR z krajami kapitalistycznymi stwierdzając że ostatnie lata przyniosły znaczne rozszerzenie i pogłębienie tych kontaktów.

...Związek Pisarzy ZSRR — stwierdził mówca na zakończenie — stojąc niewzruszenie przy swych poglądach w polemice z ideowymi przeciwnikami, kontynuować będzie swą działalność na rzecz współpracy z postępowymi siłami całego świata, na rzecz wspólnego dobra ludzkości, jakimi są braterstwo i pokój.

Przeszło rok temu junta „czarnych pułkowników" była zmuszona przekazać władzę rządowi cywilnemu. Dla milionów Greków, mimo tej ważnej pozytywnej zmiany, był to rok walki, niepokoju i nadziei. Chociaż w toku demokratyzacji życia w Grecji dużo się zmieniło, to jednak sytuacja w kraju jest nadal bardzo złożona. Rozwijają działalność prawicowi ekstremiści i popleczni cy „czarnych pułkowników", część prasy prowadzi szeroką kampanię na rzecz powrotu Grecji do NATO, w dalszym ciągu utrzymuje się napięcie w stosunkach grecko-tureckich. Kraj przeżywa głęboki kryzys ekonomiczny.

GRECJA

ROZCZAROWANIE DO ZACHODU

W początkach tego roku liderzy byłej junty zostali aresztowani i osadzeni w tych samych więzieniach do których wtrącali niegdyś swoich przeciwników. Część innych wodzirejów puczu pozostała również aresztowana i ma stanąć przed sądem. Część ukrywa się. Mówi się — jak podaje „Times" — że rząd usunął z zajmowanych stanowisk około 100 tys. zwolenników b. junty, a około 400 pomocników reżimu „czarnych pułkowników" postawiono przed sądem. Właśnie w tym czasie — w lutym tego roku — oficerowie blisko powiązani z juntą, widząc że teraz kolej na nich, dokonali desperackiej próby zorganizowania spisku, żeby — jak twierdzili później — zmusić rząd do ogłoszenia amnestii. Rebelię udaremniono, a jej organizatorów w porę aresztowano.

Obecnie w parlamencie greckim trwają gorące dyskusje na temat gwarancji, że dyktatura nie powróci. Pewien poseł zaproponował nawet wprowadzenie w życie postanowień przeciwko tyranii z czasów starożytnej Grecji.

Nie wiadomo jeszcze, jak daleko pójdzie czystka. Niektórzy działacze polityczni proponują, żeby po zamknięciu sprawy z liderami junty, oprawcami i mordercami, wszystkich pracowników państwowych, w tym także byłych dyplomatów i wszystkich innych urzędników byłego aparatu administracji, którzy przejawiali nadgorliwość w służeniu tyranom, pozbawić praw obywatelskich. Byłoby to właściwą karą dla tych, którzy przez tyle lat pozbawiali Greków wszelkich ludzkich praw.

Rząd i opozycja różnią się w poglądzie co do form ochrony demokracji. Różnice w rozwiązaniu tej kwestii wystąpiły w szczególności podczas dyskusji nad przyjęciem konstytucji (zatwierdzonej zresztą przez parlament w czerwcu tego roku). Konstytucja daje prezydentowi, wybranemu na okres 5 lat, większością 2/3 głosów deputowanych, szerokie uprawnienia wykonawcze i ustawodawcze. Prezydent może na przykład rozwiązać parlament, jeśli dojdzie do wniosku, że „nie wyraża on woli narodu".

Większość przywódców opozycji, którzy odmówili udziału w głosowaniu nad przyjęciem konstytucji na znak protestu, że oddaje ona głowie państwa de facto dyktatorską władzę uważa, iż główną gwarancją demokracji jest zapewnienie społeczeństwu realnej możliwości uczestniczenia w podejmowaniu decyzji państwowych, zabezpieczenie swobody działania partiom demokratycznym, związkom zawodowym i stowarzyszeniom.

Grecy poddają obecnie przewartościowaniu stosunki ze swymi byłymi zagranicznymi przyjaciółmi i sojusznikami. Od czasów zakończenia II wojny światowej obronę kraju orientowano na ewentualność konfrontacji między Wschodem a Zachodem. Kurs ten podtrzymywano używając starych, obsesyjnych idei o „zagrożeniu słowiańskim" z Północy i „niebezpieczeństwie komunistycznym" wewnątrz. Grecja ulegle przystąpiła do NATO w 1952 roku, szeroko otworzyła swe terytorium dla wojskowych baz Stanów Zjednoczonych, coraz bardziej uzależniała się od amerykańskiej broni, części zamiennych i pomocy wojskowej. Po dwudziestu latach Grecy dostrzegli ze zgrozą, że są o wiele bardziej wystawieni na ciosy militarne ze strony wschodu, to jest ze strony Turcji, niż z północy. Jednocześnie stało się oczywiste, iż realne niebezpieczeństwo wewnątrz kraju przedstawiała nie lewica, lecz reakcyjna wojskowa góra, która też 21 kwietnia 1967 roku zagarnęła władzę i wprowadziła okrutną dyktaturę.

Pod przemożnym naciskiem postępowej części społeczeństwa rząd Karamanlisa został zmuszony do podjęcia decyzji, we wrześniu ub. roku, o wycofaniu się Grecji z wojskowego paktu NATO oraz do rewizji wszystkich porozumień z USA w sprawie amerykańskich baz wojskowych na terytorium Gercji. Krok ten ułatwiła w znacznym stopniu atmosfera rozładowania międzynarodowego napięcia.

Grecy są dziś rozczarowani do Zachodu. Wiele lat starali się pokazać światu, że zawsze będą z Zachodem. Nagle ujrzeli, że kiedy doszło do kryzysu, Stany Zjednoczone poparły Turcję jako sojusznika bardziej pożądanego. Teraz rząd Karamanlisa podejmuje próby nawiązania bliższych kontaktów ze swymi sąsiadami na Bałkanach. Karamanlis podkreślił, że w ciągu ostatnich miesięcy nastąpiło wiele zmian. Przesławne „słowiańskie zagrożenie" już nie istnieje; Grecja utrzymuje dobre stosunki z większością swych północnych sąsiadów.

Mimo tych, ogólnie rzecz biorąc, pozytywnych przemian Grecy borykają się z wieloma problemami socjalnymi i politycznymi. Mówi o nich i sekretarz KC Komunistycznej Partii Grecji, Charilaos Florakis, w wywiadzie udzielonym korespondentowi „France Nouvelle". Oto fragmenty tej rozmowy:

Pytanie: Karamanlis oficjalnie oświadczył, że jego celem jest ustanowienie demokracji i uzdrowienie ekonomiki. Jak to wygląda po upływie z górą roku?

Odpowiedź: Demokracja jest bardzo szerokim pojęciem. Dlatego zagadnienie należy ująć konkretnie: o jakiego rodzaju demokrację chodzi?

Istnieje jeden bezsporny fakt: w Grecji zlikwidowano dyktaturę i ustanowiono burżuazyjną demokrację. Istnieje parlament i przeprowadza się wybory. Gazety wychodzą regularnie. Wszystkie partie, przynajmniej formalnie, są legalne.

Tymczasem jest to „demokracja" dla wielkiego kapitału i w gruncie rzeczy „autorytatywny" reżim, jak my go nazywamy. Przytoczę dwa konkretne przykłady. Jednym z podstawowych praw w tej „demokracji" jest wolność zebrań, demonstracji. Żeby w Grecji zorganizować wiec, trzeba mieć zezwolenie policji, żeby delegacja mogła przekazać w parlamencie rezolucję, również wymaga się aprobaty policji. Oznacza to, iż możliwość konkretnego urzeczywistnienia tego „prawa" zależy od policji. Inny przykład: Komunistyczna Partia Grecji ma w parlamencie pięciu posłów, a Grecka Lewica Demokratyczna (EDA) jednego jedynego posła — Eliasa Eliu. Uznaje się go za głowę partii, podczas gdy mnie odmawia się takich praw. Rzecz nie polega tylko na godności honorowej, lecz ma znaczenie merytoryczne: przywódca partii może na przykład w każdej chwili zabrać głos i wystąpić w parlamencie, a mnie tego zrobić nie wolno. Żeby móc wystąpić muszę zapisać się do głosu; jak każdy poseł. Ponieważ kwestie dotyczące polityki zagranicznej, na przykład, z reguły omawia się niezależnie od porządku dnia, nie mogę zabierać głosu w dyskusji.

Relacjonując te fakty, nie chcę jednocześnie negować zdobyczy demokratycznych osiągniętych w wyniku obalenia dyktatury. Teraz nasza partia jest legalna, ma swoją oficjalną siedzibę i legalną gazetę. Ale trzeba pokazywać ograniczoność i wszystkie braki tej nowej demokracji.

Jeśli chodzi o ekonomikę, to rząd Karamanlisa próbuje zahamować proces spadku ekonomicznego, który powstał wskutek chaosu zawinionego przez juntę, jak również w wyniku kryzysu kapitalizmu w ogóle. Jednakże główny zamysł polityki rządu polega na przerzuceniu całego ciężaru kryzysu na barki ludzi pracy. I tak na przykład, w budżecie przedstawionym przez rząd i zaaprobowanym przez parlament, 73 proc. dochodu pochodzi z bezpośrednich i pośrednich podatków.

W ubiegłym roku, mówiąc o trudnościach kryzysu, rząd zakazał jakiegolwiek podwyższenia zarobków, ponieważ mogłoby to ponoć doprowadzić do krachu ekonomiki. Równocześnie z opublikowanych w prasie wyników z działalności wielkich przedsiębiorstw widać, że większość z nich osiągnęła zyski w granicach 15—20 proc. Dlatego ludzie pracy pytają: dlaczego te zyski nie zagrażają gospodarce, a zagraża jej podwyżka płac, której żądają robotnicy? My, komuniści, wiemy, że rząd jest wiernym sługą wielkiego kapitału.

Pytanie: Jak przedstawia się sprawa walki o zaspokojenie żądań ekonomicznych?

Odpowiedź: Uwidacznia się duży wzrost ruchu mas ludowych. Nie ma dnia bez strajków. Klasa robotnicza boryka się ze skrajną nędzą i walczy o polepszenie swego losu, nie bacząc na wszystkie próby zmuszenia jej do ponoszenia ofiar.

Próby te podejmuje rząd oświadczając: „Tak, oczywiście, klasa robotnicza boryka się z problemami, ale my nie jesteśmy w stanie ich rozwiązać; jeśli uwzględnić obecną wewnętrzną i zewnętrzną sytuację, to strajki są teraz niedopuszczalnym luksusem".

Rząd mówi również dużo o groźbie tureckiej agresji i niebezpieczeństwie wystąpień zbrojnych wewnątrz kraju. Ten szantaż popierają oportuniści w środowiskach ruchu robotniczego, wzywając do „zjednoczonego frontu" z Karamanlisem.

Oczywiście, istnieje niebezpieczeństwo konfrontacji z Turcją, chociaz nie należy z tym przesadzać. Istnieje także określone wewnętrzne niebezpieczeństwo. Jeszcze i dziś działa aparat stworzony przez juntę, pewne elementy junty nadal działają w wojsku, przyznaje to sam rząd (...) Walczymy o zaspokojenie żądań klasy robotniczej na tyle, na ile jest to możliwe w warunkach burżuazyjnego rządu, walczymy także o zmuszenie rządu do rzetelnego oczyszczenia aparatu państwowego z popleczników junty, tylko to zlikwiduje groźbę faszystowskiego przewrotu".

JERZY CZECH

ŚCIŚLEJSZA WSPÓŁPRACA NA LINII MOSKWA – PARYŻ

CO SIĘ DZIEJE W ARGENTYNIE?

Pierwsza wizyta **Valerego Giscard d'Estaing w Związku Radzieckim** jako prezydenta Francji wzbudziła zainteresowanie przede wszystkim dlatego, że oczekiwano po niej dalszego umocnienia, od lat już przyjaznych i nacechowanych współpracą, stosunków radziecko-francuskich. W komentarzach europejskich zwracano przy tym uwagę, że **prezydent Francji jest pierwszym z Zachodu gościem stolicy ZSRR po helsinskiej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy**, inauguruje więc niejako nowy okres w kontaktach Zachodu ze Wschodem. **Oczekiwania sprawdziły się** — rozmowy moskiewskie uwieńczone zostały podpisaniem Deklaracji o dalszym rozwoju przyjaźni i współpracy oraz porozumień: o współpracy w dziedzinie lotnictwa cywilnego i przemysłu lotniczego, a także o współpracy w dziedzinie turystyki i energetycznej. Wszystkie te dokumenty zmierzają do zapewnienia sprzyjających warunków współdziałania między obu państwami, z tym, że pierwszy z wymienionych ma znaczenie ogólniejsze.

Takiego, międzynarodowego aspektu nabierają wszystkie stwierdzenia, łączące się z wynikami Konferencji Bezpieczeństwa w Europie. W deklaracji czytamy o **„nowych możliwościach"**, jakie aktem końcowym w Helsinkach stworzone zostały **„dla umocnienia bezpieczeństwa w Europie i dla rozwoju współpracy między uczestniczącymi w konferencji państwami"**, o uznaniu wyników konferencji **„za długoterminowy program działania, obejmujący szeroki zakres stosunków między państwami"** oraz o gotowości i woli obu państw **„realizowania w konkretnych sytuacjach postanowień dokumentu końcowego"**.

Deklaracja, we fragmentach odnoszących się do naszego kontynentu, podkreśla ponadto znaczenie czterostronnego porozumienia z września 1971 roku.

Drugie w kolejności miejsce zajmuje **problem bliskowschodni.** ZSRR i Francja są zaniepokojone sytuacją w tym rejonie i widzą możliwość przywrócenia trwałego pokoju tylko na drodze wycofania wojsk izraelskich ze wszystkich zajętych w 1967 roku terytoriów arabskich oraz zapewnienia praw narodowi palestyńskiemu. Na temat takiego rozwiązania konfliktu obie strony będą prowadzić odpowiednie konsultacje.

Zgodność poglądów obejmuje również: **przyjęcie obu państw wietnamskich do ONZ** oraz **rozwiązanie problemu cypryjskiego**, zgodnie z postanowieniami ONZ.

W rozmowach radziecko-francuskich na najwyższym szczeblu wiele uwagi poświęcono rozbrojeniu. **Oba państwa gotowe są przyczynić się do całkowitego i powszechnego rozbrojenia**, łącznie z nuklearnym — pod ścisłą kontrolą międzynarodową. Rozumiejąc w pełni odpowiedzialność, jaka spoczywa na nich w związku z tym, że są państwami nuklearnymi, gotowe są nie dopuścić do rozpowszechnienia tej broni.

Deklaracja informuje ponadto o stanowisku ZSRR i Francji wobec prób rewizji Karty NZ i międzynarodowych stosunków gospodarczych. **Oba państwa przeciwne są takiej rewizji**, uważają bowiem, iż podniesienie skuteczności ONZ można osiągnąć na drodze pełniejszego jeszcze wykorzystania zawartych w jej Karcie możliwości. **Opowiadają się też za przebudową stosunków gospodarczych** tak, aby uwzględniały one dostęp krajów rozwijających się do postępu ekonomicznego.

Jak widać — rozmowy w Moskwie objęły najważniejsze zagadnienia międzynarodowe i wykazały zgodność obu państw w tych problemach.

Współpraca radziecko-francuska stała się już nieodłączną częścią międzynarodowego życia politycznego i ma swój udział w światowym odprężeniu. Teraz może ona mieć znaczący wpływ na wypełnienie postanowień z Helsinek praktyką.

*

Rzadko na tym miejscu piszemy o Ameryce Łacińskiej. Nie dlatego, że jej problemy wydają się odleglejsze, po prostu znacznie częściej wydarzenia kierują naszą uwagę w inne strony świata. Tymczasem i tam dzieje się wiele.

Jednym z krajów, który ostatnio coraz częściej wchodzi na łamy prasy jest **Argentyna.**

Od śmierci Perona na wewnętrznej scenie politycznej następują stałe przemieszczenia, a kraj wciąż wstrząsany jest terrorystycznymi aktami i chaosem gospodarczym. W tej sytuacji coraz częstsze jest pytanie, czy pani Peron, która objęła urząd prezydencki po swym mężu, dotrwa do końca kadencji, upływającej w 1977 roku. Ostatnio złożoność sytuacji pogłębił narastający rozłam w ruchu peronistycznym. Niektóre jego odłamy żądają albo przedłużenia urlopu pani Peron (od z górą 30 dni nie pełniła ona swe. funkcji), albo wręcz jej ustąpienia. Zmiana zaś ekipy kierowniczej państwa mogłaby dla Argentyny oznaczać zakręt polityczny na prawo. Jakie niesie to niebezpieczeństwo dla kraju — nie trzeba dodawać.

W. SŁAWSKI

ZAGADKA BERMUDÓW (II)

„TRÓJKĄT BERMUDÓW" — osobliwe miejsce na kuli ziemskiej; w okresie ostatnich trzech dziesięcioleci zaginęło tam w tajemniczy sposób ponad 100 statków i samolotów. Co było przyczyną tych dziwnych katastrof? Hipotez brzmiących mniej lub bardziej prawdopodobnie było wiele. Żadna jednak nie była dotąd w stanie wyjaśnić owych tajemniczych zagadek do końca. CHARLES BERLITZ, autor książki „THE BERMUDA TRIANGLE" również wyraził swoje przypuszczenia w tym względzie. Jego hipotezy są zaskakujące, czasem szokujące, a niekiedy wręcz naiwne.

BOHDAN FELT

WROTA W KOSMOS

Na podstawie analizy okoliczności wszystkich wspomnianych katastrof wysnuł on wniosek, iż jedną z przyczyn mogły być cząstki materii antygrawitacyjnej. Nie wykluczą jednakże możliwości, iż załogi statków i piloci mogli zostać porwani w charakterze obiektów doświadczalnych przez NOL. **Fantazja czy rzeczywistość?** Oto pytanie, na które, jak się okaże, wcale niełatwo jest udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Od dawien dawna tonęły statki, a samoloty ulegały katastrofom. I miało to miejsce przecież nie tylko w strefie **„Trójkąta Bermudów"**. Nikogo to w zasadzie nie dziwiło. A jednak właśnie ów obszar naszego globu jest przez wszystkich badaczy traktowany inaczej. Ale czy tylko ten? Oto, co pisze w związku z tym wspomniany już Charles Berlitz:

„Uwagę badaczy „Trójkąta Bermudów" już od dawna absorbowała inna, zagadkowa strefa Oceanu Spokojnego. Chodzi tu o akwen leżący na południowy wschód od Japonii, między jej wybrzeżami a wyspami Bonin, w szczególności zaś — pomiędzy Iwo Jimą a Marcus Island. On również jest uważany za tajemniczą strefę, bardzo niebezpieczną dla statków i samolotów. Początkowo przypuszczano, iż podobnie jak w przypadku „Trójkąta Bermudów", także i tu przyczyną powodującą zagadkowe katastrofy są wybuchy wulkanów bądź nagłe przypływy".

Rejon ten, zwany **„diabelskim morzem"** jest obecnie uważany za bardziej niebezpieczny od „Trójkąta Bermudów". W ciągu bowiem niespełna pięciu lat, między rokiem 1950 a 1954, „zniknęło" tam ponad dziesięć dużych statków wraz z załogami liczącymi kilkaset osób. Mimo niezwykle starannych poszukiwań nie znaleziono jakichkolwiek szczątków zaginionych jednostek, żadnych śladów oleju, niczego, co pozwoliłoby dać chociażby najmniejszą wskazówkę odnośnie przyczyn zaistniałych katastrof.

Zaczęto więc zastanawiać się, czy ewentualnie nie istnieją pewne analogie między strefą „Trójkąta Bermudów" a owym morzem. W rezultacie tych badań ustalono, że w odniesieniu do tych stref zachodzi zaskakujące, wzajemne podobieństwo, a polegające na tym, iż zachodni kraniec „Trójkąta" przecina południk 80 stopni długości geograficznej zachodniej. Osobliwością jest przy tym fakt, że właśnie tam bieguny geograficzny i magnetyczny nakładają się na siebie, co powoduje niedokładność przy obliczaniu dewiacji. Jednocześnie południk ów w momencie minięcia biegunów, zmienia swą nazwę, stając się południkiem 150 stopni długości geograficznej wschodniej. Opada on od bieguna północnego w kierunku południowym, przebiegając na wschód od Japonii i mija centralną część „diabelskiego morza". Właśnie w tym akwenie igła kompasu wskazuje równocześnie biegun północny i magnetyczny. To samo zjawisko występuje na drugiej półkuli — w zachodniej strefie **„Trójkąta Bermudów"**.

Powtarzające się wciąż przypadki katastrof w rejonie **„diabelskiego morza"** spowodowały, iż władze japońskie zarządziły w 1955 roku szczegółowe dochodzenie w sprawie zaistniałych okoliczności tragicznych wypadków. W celu dokładnego ich zbadania wysłano do owego zagadkowego akwenu morskiego statek oceanograficzny **„Kaiyo Maru 5"** z ekspedycją naukowców na pokładzie. Cały eksperyment zakończył się zupełnie nieoczekiwanie — bowiem statek wraz z całą ekspedycją i załogą zniknął tam pewnego dnia bez pozostawienia jakiegokolwiek śladu!

Fakt istnienia na morzach świata jednej lub kilku takich stref, jak wyżej wspomniane, spowodował, iż pojawiło się wiele spekulacji na ten temat. Niektóre spośród nich głosiły teorię dewiacji antygrawitacyjnych, zakładając przy tym istnienie takich miejsc, w których prawa grawitacji i przyciągania magnetycznego przestają obowiązywać.

Ralph Barker, autor książki **„Great Mysteries of the Air"** (Wielkie tajemnice powietrza) zauważa na przykład, iż ostatnie postępy w dziedzinie fizyki zdają się wskazywać na istnienie cząstek materii antygrawitacyjnej. Barker w związku z tym jest więc zdania **„... że prawa grawitacji nie dotyczą materii, której natura jest całkowicie przeciwna jakiemukolwiek rodzajowi materii występującej na ziemi... ujawnia ona bowiem niezwykle wybuchowy charakter przy zetknięciu się z materią ziemską... w określonych strefach kuli ziemskiej".**

Wspomniany autor wnioskuje dalej, że owa materia może pochodzić z Kosmosu, występując czasami pod kontynentami, zaś w większości przypadków — pod dnem morskim, w warstwach skorupy ziemskiej. Bliższe zapoznanie się z tą teorią czyni możliwym — zdaniem Berlitza — wyjaśnienie przyczyn zaburzeń elektronicznych i magnetycznych występujących w różnych rejonach kuli ziemskiej. Mimo to nie daje ona odpowiedzi na pytanie, co było właściwą przyczyną zagadkowych katastrof statków i samolotów.

W rezultacie badań, jakie prowadzone są w odniesieniu do tych problemów, ustalono, iż na świecie istnieje jeszcze szereg innych akwenów morskich, w których występują anomalie magnetyczne na powierzchni wody. Odkryto nawet miejsca, gdzie siła przyciągania pochodząca ze źródła energii znajdującego się pod wodą, wydaje się być silniejszą od przyciągania magnetycznego bieguna północnego. Charles Berlitz na poparcie tych teorii przytacza argumenty wysunięte przez **Ivana Sandersona** w artykule opublikowanym na łamach magazynu **„Saga"**, a zatytułowanym: **„The Twelve Devil's Graveyard around the World"** (Dwanaście diabelskich cmentarzy świata). Sanderson poddaje w nim gruntownej analizie tajemnicze zjawiska występujące tak w rejonie **„Trójkąta Bermudów"** jak i innych, morskich strefach świata. Na jej podstawie dochodzi wraz ze współpracującymi z nim innymi badaczami, do wniosku, że większość zagadkowych zaginięć statków i samolotów nastąpiła w **sześciu akwenach morskich o kształcie prawie eliptycznym, a położonych między 40 równoleżnikiem północnym i 30 równoleżniki m południowym**, obejmujących zatem zarówno **„Trójkąt Bermudów"** jak i **„diabelskie morze"**.

Sanderson rozwinął następnie swoją teorię i sporządził siatkę rejonów anomalii rozmieszczonych co 73 stopnie wokół kuli ziemskiej, a koncentrujących się pomiędzy 36 równoleżnikiem północnym i południowym. **Pięć** spośród nich znajduje się na półkuli północnej, **drugie pięć** na południowej, poza tym istnieją jeszcze dwa rejony — obu **biegunów**. **„Trójkąt Bermudów"** jest jego zdaniem najbardziej znanym spośród tych rejonów, albowiem znajduje się w strefie bardziej uczęszczanej niż 11 pozostałych, które charakteryzują się równie silnymi zaburzeniami magnetycznymi.

Okazuje się, że większość tych stref jest położona na wschód od mas kontynentalnych, gdzie ciepłe prądy morskie płynące na północ natrafiają na zimne, kierujące się na południe. Strefy te są zarazem punktami węzłowymi, w których prądy oceaniczne, powierzchniowe i głębinowe, płyną w przeciwnych do siebie kierunkach. Wielkie, podwodne prądy pływowe wskutek różnicy temperatur wytwarzają wiry magnetyczne zakłócające łączność radiową, pole magnetyczne, a być może nawet — grawitację. W pewnych okolicznościach zaburzenia te mogły więc powodować zaginięcie statków bądź samolotów, które znalazłszy się w tym rejonie, wkraczały w inny punkt czasu i przestrzeni. Sanderson wymienia w związku z tym interesujący fenomen dotyczący nierównomierności upływu czasu, jaka występuje w owych strefach. Zdarzały się bowiem przypadki, iż samoloty przez nie przelatujące przybywały do miejsc przeznaczenia w czasie znacznie krótszym niż to wynikało z rozkładu lotów, zaś jedynym rozsądnym tego wyjaśnieniem może być fakt, iż musiały lecieć z wiatrem wiejącym w kierunku ich lotu z prędkością około 760 km/godz(!). Komunikaty o sile wiatrów tam wiejących wykluczały podobną możliwość, mimo to zjawiska takie dość często się zdarzały, zwłaszcza na granicach „Trójkąta Bermudów" jak i w innych obszarach z wi.ami magnetycznymi: zupełnie jak by samoloty natrafiały w nich na jakieś anomalie, lub były przepychane przez „dziury w niebie", które tylu ludzi kosztowały życie.

Tego rodzaju „skok w czasie" miał na przykład miejsce przed pięcioma laty w porcie lotniczym w Miami i nigdy nie został dostatecznie wyjaśniony. Przydarzył się on samolotowi pasażerskiemu należącemu do towarzystwa lotniczego **National Airlines**. Samolot ten, mając na pokładzie 127 pasażerów, podchodził właśnie do lądowania, znajdując się cały czas pod „obserwacją" radaru stacji kontrolnej. Nagle stało się coś dziwnego. Obsługujący radar zauważył, iż samolot zniknął z jego ekranu. Było to tym dziwniejsze, iż antena radaru obejmowała swym zasięgiem dość znaczną przestrzeń, a zatem nie było możliwe nagłe zniknięcie, jakie przecież nastąpiło. Po upływie około 10 minut samolot ten ponownie pojawił się na ekranie radarowym tak samo nagle jak zniknął. W chwilę później, już bez żadnych dalszych incydentów, maszyna wylądowała na lotnisku. Co się działo z samolotem w ciągu owych 10 minut? Pilot i załoga byli bardzo zdziwieni nagłym zaniepokojeniem personelu naziemnego lotniska o los maszyny. W ich mniemaniu nie wydarzyło się przecież nic szczególnego. Jakież więc było ich zdziwienie, gdy usłyszeli, jak jeden z pracowników stacji kontrolnej powiedział do pilota: **„Na Boga, człowieku, przez 10 minut po prostu nie istnieliście!!!"** W odpowiedzi załoga samolotu skontrolowała chronometry pokładowe, jak i swoje własne zegarki. Na wszystkich wskazówki pokazywały czas o dziesięć minut późniejszy. Było to o tyle godne uwagi, iż podczas kontroli czasu przez wieżę lotniska, na 20 minut przed tym zdarzeniem, nie wystąpiły żadne odchylenia.

Nawiązując do stwierdzenia, że na naszą planetę oddziałuje pole elektromagnetyczne, **Ivan Sanderson** konkludując, iż „Trójkąt Bermudów" oraz pozostałe strefy **„... jako potężne maszyny, powodują jeszcze inne formy anomalii..** — stawia pytanie — **...Czy nie mogą one tworzyć zawirowań, poprzez które obiekty materialne przechodziłyby z jednego continuum czasoprzestrzeni w inne?"**

Przecież obok owych osobliwych przypadków zaginięć statków i samolotów, od stuleci do chwili obecnej, stale pojawiają się informacje o nie zidentyfikowanych obiektach pochodzących spoza Ziemi. I to pomimo oficjalnych dementi oraz twierdzeń, że jest to logicznie „niemożliwe".

Zdaniem Berlitza i innych badaczy nie można wykluczyć ewentualności, że w takich tajemniczych strefach jak **„Trójkąt Bermudów"** dochodzi do przypadków **„porywania statków i samolotów przez nie zidentyfikowane obiekty latające"**. W Stanach Zjednoczonych prowadzone od 1947 roku obserwacje NOL, ujawniły istnienie tysięcy informacji na ich temat. W samym tylko roku 1966 owe tajemnicze obiekty latające były widziane około 10 tysięcy razy. Gdyby więc potwierdziła się w przyszłości hipoteza o ewentualności kidnappingu statków, samolotów i ludzi ze strony NOL, jaki miałyby one w tym cel? Niektórzy wyrażają nawet czysto fantastyczne opinie, iż przybysze z innych planet to istoty inteligentne, prowadzące w ten sposób — badania rozwoju życia na Ziemi, osiąganego postępu technicznego i mogące ewentualnie interweniować, aby przeszkodzić nam w zniweczeniu swojej planety.

A oto, jak Charles Berlitz przedstawia własną hipotezę kontaktów przedstawicieli innych cywilizacji z Ziemią:

„W pobliżu „Trójkąta Bermudów" oraz w pewnych innych punktach węzłowych elektromagnetycznych prądów grawitacyjnych istnieją, być może, „drzwi" lub „okna" do innego wymiaru, poprzez które mogą przenikać systematycznie i całkiem dowolnie doświadczone istoty pozaziemskie. Ich spotkania z ludźmi w innym wymiarze czynią jednak powrót tych ostatnich niemożliwy, bądź to ze względu na fakt, iż jest to jeszcze technicznie niemożliwe, bądź z uwagi na przeszkody, stawiane ze strony „nieznanych potęg". Wiele z tych przypadków, zwłaszcza takich, jak znikanie całych załóg, pozwala uznać za prawdopodobną hipotezę organizowania pozaziemskich ekspedycji badawczych w celu porywania istot ludzkich dla kosmicznego ZOO, jako eksponatów na wystawy obrazujące różne epoki rozwoju planetarnego, oraz dla przeprowadzania na nich różnorodnych eksperymentów".

Dla poparcja tej dość naiwnie brzmiącej spekulacji Berlitz powołuje się na wypowiedź dra **Mansona Valentine**, honorowego kustosza Museum of Science (Muzeum Nauki) w Miami, który jakoby sądzi, iż mogą nas odwiedzać różnorodne, niekiedy także wrogo usposobione grupy owych istot, przybywające z Kosmosu, głębin oceanów bądź nawet z innych wymiarów. Niektóre spośród nich mogą się nawet okazać naszymi krewnymi i to z pokrewieństwem sprzed kilku tysięcy lat, tak dalece inteligentnymi, że mogłyby na przykład, z punktu widzenia własnego, indywidualnie pojmowanego interesu, chronić zarówno nas samych, jak i Ziemię przed niebezpieczeństwami ogólnoświatowej zagłady. Takie sytuacje, zdaniem owego kustosza, miały miejsce również w przeszłości i to kilkakrotnie, a zawsze wówczas, gdy Ziemi zagrażały totalne katastrofy. Być może zagrażają one naszemu globowi także obecnie i wcale nie ze strony arsenałów atomowych, ale na przykład wskutek zanieczyszczenia powietrza, wody, zakłóceń równowagi biologicznej itp. **„Kto wie — zastanawia się Charles Berlitz — czy nie jesteśmy narażeni także na jeszcze inne eksperymenty, których nawet nie jesteśmy świadomi, a których rozwój i rozmiary mogłyby doprowadzić do zastraszających konsekwencji".**

Możliwe, że inne systemy cywilizacyjne pozaziemskie, bądź jak to sugerują Valentine, Sanderson i inni, istniejące na naszym globie, ale przez nas niezauważalne, zatriumfują nad dążeniem do samozniszczenia. Wykorzystają nasz świat — bądź tą drogą, bądź poprzez **„otwarte drzwi"** jak w **„Trójkącie Bermudów"** — albo też jako obiekt swoich studiów, aby na przykład ocalić elementy naszej kultury czy uratować nas samych przed wzajemnym wyniszczeniem się. Mogą również planować opanowanie naszej planety.

„Gdyby potwierdziły się hipotezy, że istoty z innych planet odwiedzają i obserwują Ziemię, aby zebrać informacje i zgromadzić eksponaty dla swoich studiów nad naszym globem, byłoby interesujące dowiedzieć się — pisze dalej Berlitz — **dlaczego NOL koncentrują się akurat w rejonie „Trójkąta Bermudów" i innych „diabelskich stref". Z dotychczasowych badań i obserwacji wynika, iż tajemnicze obiekty latające pojawiały się z reguły nad obszarami, których rozwój cechował duży postęp kulturalny i techniczny; nad krajami, które osiągnęły określony, wysoki poziom gospodarczo-społeczny i naukowo-techniczny, aby stwierdzić, gdzie tworzą się nowe centra cywilizacji lub — czy nie gotują same sobie zagłady".**

Badając przypadki tajemniczych zaginięć w strefie **„Trójkąta Bermudów"** ustalono, że wszystkie samoloty i statki albo zniknęły zupełnie bez śladu, albo zostały odnalezione, ale już bez załóg bądź pasażerów. Przy tym Charles Berlitz uważa, że o ile w odniesieniu do niektórych z tych przypadków można było mówić o nie sprzyjających warunkach meteorologicznych, nagłym pogorszeniu się pogody w strefie „Trójkąta" lub na przykład buncie załogi, to pozostałe w zdecydowanej większości miały miejsce w czasie, gdy panowały bardzo dobre warunki atmosferyczne, na dodatek w pobliżu portów, wybrzeży bądź na lotniskach. Co zatem mogło być przyczyną tych katastrof?

Wśród innych teorii, głoszonych przez niektórych badaczy w związku z zagadkami, jakie kryje w sobie **„Trójkąt Bermudów"** pojawiły się ostatnio hipotezy, które mogą jakoby całkowicie zmienić pogląd na tę sprawę. W ich świetle „Trójkąt" i inne tajemnicze strefy oceanów mają ścisły związek z zatopionymi przed tysiącami lat lądami, zapomnianymi cywilizacjami oraz z odwiedzinami przybyszów z innych planet, których pochodzenie i zamiary były i wciąż pozostają dla nas zupełnymi zagadkami.

Fot. Archiwum

HISTORIA TRAGICZNA

Najnowsza historia Polski, pierwsze lata minionego trzydziestolecia, mają wymiar nie tylko romantyczny i bohaterski, były to nie tylko czasy odbudowy państwa i kraju, czasy tworzenia nowego, ale też czasy tragicznej walki. Władza ludowa kształtowała się bowiem w ogniu walki bratobójczej. Dla młodego pokolenia to już tylko historia, ale dla pokoleń starszych — to czasy odchodzących w przeszłość przeżyć. Coraz częściej sięgają do nich historycy, aby w oparciu o dokumenty, cząstkowe wspomnienia, relacje żyjących jeszcze świadków, pokazać rozmiar tamtej walki, ukazać syntezę zmagań z reakcyjnym podziemiem, zachować w pamięci pokoleń poświęcenie tych, którzy zginęli dla spokoju naszych dni.

Tadeusz Walichnowski w książce „U źródeł walk z podziemiem reakcyjnym w Polsce" podejmuje próbę dokonania historycznej już syntezy tamtego okresu — pierwszych lat Polski Ludowej, próbę ukazania rozmiarów walki z reakcyjnym podziemiem, docierając do źródeł i motywów tej walki. Książkę swoją pisał nie tylko z myślą o tych, którzy w tej walce zginęli, ale też z myślą o młodym pokoleniu, „które nie zaznało wojny i okupacji hitlerowskiej", a któremu trzeba „przekazać całą prawdę o tamtych czasach". „Zrozumie ono lepiej — motywuje swoją intencję autor — czym jest jedność narodu, czym jest niepodległość i bezpieczeństwo socjalistycznej Ojczyzny i jak należy je chronić".

Tadeusz Walichnowski — „U źródeł walk z podziemiem reakcyjnym w Polsce", KIW, Warszawa 1975, str. 344, cena zł 50.

„BITWA O TAJEMNICE"

Dzieje wywiadów, walka agentów, afery szpiegowskie — wszystko, co owiane jest tajemnicą, co pozornie wiąże się z przygodą, znajduje wielkie uznanie u czytelników. Ale popularne opisy zmagań wywiadów muszą z konieczności sprowadzać się do uproszczeń, przedstawiać fakty i wydarzenia bardziej od strony ich niezwykłości. Problemami tymi interesuje się również historia.

Trudna i żmudna praca agentów wywiadu dostarcza rządom niezbędnego materiału do państwowych decyzji, pozwala orientować się w zamierzeniach potencjalnego przeciwnika, pozwala chronić naród przed niebezpieczeństwem, a jednocześnie pozwala poznawać szpiegowską działalność innych. Trudną pracę agentów wywiadu wartościują ideę, jakim są podporządkowane. W imperialistycznej polityce przedwojennych Niemiec wywiad nie tylko poznawał zamierzenia i siłę militarną państw ościennych i ewentualnych przeciwników, ale też był narzędziem prowokacji. Sporo już napisano o roli wywiadu niemieckiego w przygotowywaniu drugiej wojny światowej. Władysław Kozaczuk w książce pt. „Bitwa o tajemnice" prezentuje działalność służb wywiadowczych Polski i Niemiec w latach 1922—1939.

Książka pokazuje strukturę służb wywiadowczych Polski i Niemiec, koncentrując się jednak przede wszystkim na operacjach zmierzających do poznania militarnej siły przeciwnika, a także na wzajemnym zwalczaniu wywiadu przeciwnika działającego na terenie obu państw. Zainteresować ona powinna tych wszystkich, którzy chcieliby bliżej poznać dzieje stosunków polsko-niemieckich widzianych nie tylko przez pryzmat polityki i gospodarki, ale również przez wzajemne działanie wywiadów.

Władysław Kozaczuk — „Bitwa o tajemnice", KIW, Warszawa 1975 str. 482, cena: zł 45.

PSYCHOLOGIA PROPAGANDY

W 1973 roku Państwowe Wydawnictwo Naukowe wydało bardzo potrzebną książkę: „Zarys psychologii propagandy" Lesława Wojtasika. Było to obszerne studium poświęcone możliwościom stosowania w propagandzie doświadczeń psychologii stosowanej. Autor wiele uwagi przywiązywał do wniosków, jakie psychologia propagandy nasuwa lub powinna nasuwać praktykom. Książka ukazała się w nakładzie 10 tys. egzemplarzy i znalazła zainteresowanych problemem czytelników.

Obecnie Państwowe Wydawnictwo Naukowe wypuściło na rynek księgarski książkę Lesława Wojtasika pt. „PSYCHOLOGIA PROPAGANDY POLITYCZNEJ". Książkę niewątpliwie również potrzebną. Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że „Psychologia propagandy politycznej" jest kontynuacją badań zapoczątkowanych przed laty przez Lesława Wojtasika i zebranych w „Zarysie psychologii propagandy". Wydana obecnie przez PWN „Psychologia propagandy politycznej" jest — jak to można przeczytać na odwrocie strony tytułowej — „wydaniem II, poprawionym „Zarysu psychologii propagandy", 1973 r.

Ustosunkowując się z całym przekonaniem do potrzeby ponownego wydania książki L. Wojtasika, warto zwrócić chyba uwagę na niewłaściwość praktyki edytorskiej PWN. Jest to bowiem praktyka wprowadzająca czytelnika w błąd. Dobry zwyczaj nakazuje bowiem przy drugich wydaniach tych samych książek utrzymać tytuł oryginału, a jeśli się go już zmienia, to autor powinien czuć się w obowiązku, podobnie jak i wydawca, wyjaśnić czytelnikowi motywy takiej decyzji oraz ostrzec czytelnika widocznym i wyraźnym napisem.

Lesław Wojtasik — „Psychologia propagandy politycznej", PWN, Warszawa 1975, Wydanie II, poprawione „Zarysu psychologii propagandy" z 1973 r, str. 375, cena: zł 27,

DWA RAZY NIEŚMIERTELNOŚĆ

Autorzy literatury science fiction znudzili się już nieustannymi wędrówkami po nieograniczonych przestrzeniach Kosmosu, wymyślając coraz to inne warunki życia na planetach różnych układów słonecznych. Spostrzegli oni, że znacznie większe możliwości daje penetracja tych obszarów, które znajdują się na pograniczu nauki i religii. Stąd najróżniejsze i bardzo pomysłowe kombinacje z czasem, równoległe obok siebie istniejącymi światami, ale znajdującymi się w różnych wymiarach, a także z nieustannym marzeniem ludzi o... nieśmiertelności i wiecznej młodości.

ISKRY wydały ostatnio w serii „Fantastyka — przygoda" dwie książki, które w różny sposób traktują właśnie o nieśmiertelności: Krzysztofa Boruna „Próg nieśmiertelności" i Bohdana Peteckiego „Operacja wieczność". Akcja pierwszej książki dzieje się w bliżej nieokreślonym kraju, o którym można tylko sądzić, że znajduje się gdzieś na drugiej półkuli. Ale w powieści fantastycznej realia nie zawsze odgrywają najistotniejszą rolę. Liczy się pomysł. A pomysł Krzysztofa Boruna nie jest najoryginalniejszy. Wystarczy wymienić choćby tylko „Hart ducha" Kurta Vonneguta, a nie jest to jedyny utwór science fiction, w którym autor wpadł na pomysł uwięzienia żywego mózgu w maszynie.

Punktem wyjścia dla akcji „Progu nieśmiertelności" jest powszechnie uznawana prawda, że prawdziwa twórczość zyskuje sobie uznanie dopiero po śmierci autora. Jose Braga, pisarz nie uznawany nawet przez swoją byłą żonę, schorowany, ale o zdrowym umyśle, postanawia sięgnąć progu nieśmiertelności jeszcze za życia swojej świadomości. Zgadza się więc na dokonanie na sobie niezwykłego eksperymentu. Ciało jego idzie do grobu, a mózg i cała zamknięta w nim świadomość zostaje wmontowana w aparaturę, która pozwala pisarzowi nie tylko dalej żyć, ale i tworzyć. Niestety chciwość byłej żony, która opiekuje się synem pisarza, bezwzględność polityków oraz dociekliwość filologów pozwala wykryć całą aferę. Okazuje się, że sprzeczności współczesnego świata uniemożliwiają jeszcze dokonywanie takich śmiałych eksperymentów. W przyszłości... Ale to już zupełnie inna sprawa.

Nieco bardziej w przyszłość wybiega Bohdan Petecki w „Operacji wieczność". Tutaj ludzie zlikwidowali już konflikty, niebywale rozwinęli technikę i to im pozwoliło „zamykać" schemat każdego człowieka w specjalnym pojemniku. Jest tam zamknięty kod, który umożliwia odtworzenie poszczególnych obywateli planety Ziemia. Jednakże ta operacja budzi wiele zastrzeżeń, a bohater powieści usiłuje swoim życiem udowodnić jej absurdalność.

Obie powieści mimo różnorodności pomysłów i warunków, w jakich dzieje się ich akcja podobnie są skonstruowane. Wartkość akcji nie przesłania postawionych przez autorów problemów: czy nieuchronny postęp umożliwi ludziom realizację marzenia o nieśmiertelności? Każdy z nich odpowiada na to pytanie inaczej, dając do zrozumienia, że marzenie może jest i piękne, ale jego realizacja więcej sprawi ludziom kłopotu niż radości. Kogo jednak nie interesują zbytnio problemy nieśmiertelności, może znakomicie bawić się żywą i niekiedy wręcz sensacyjną akcją.

L. W.

Krzysztof Boruń — „Próg nieśmiertelności", Iskry, Warszawa 1975, str. 157, cena: zł 16
Bohdan Petecki — „Operacja wieczność", Iskry, Warszawa 1975, str. 265, cena: zł 16.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

WYCHOWANIE BIUROKRATYCZNE

Biurokratyczna celebra dopieka nam wszystkim do żywego. Nic na to nie poradzimy, choć od czasu do czasu różne ministerstwa, branże i resorty robią generalne czystki w stosach przepisów, wśród których przestają się już całkiem orientować najbardziej biegli radcy prawni. Czytamy potem, że resort taki a taki zredukował ilość wewnętrznych zarządzeń i przepisów z dwudziestu tysięcy aktów prawnych do — powiedzmy — piętnastu tysięcy.

Następnego dnia, ci sami urzędnicy rozpoczynają od nowa radosną twórczość, aby znów za rok czy dwa zabrać się do anulowania.

W tej sytuacji przygotowanie młodego pokolenia do życia w kręgu biurokracji staje się nakazem chwili. Co mówią zatem młodzi ludzie w telewizyjnych programach dla młodzieży. Mówią tak:

„Żeby zorganizować szkolną pomoc koleżeńską, musicie powołać Biuro Pomocy Koleżeńskiej. Ale najpierw trzeba zorganizować Komitet Organizacyjny. Potem organizujecie Centralną Kartotekę..."

I oto młody człowiek z klasy licealnej pokazuje wzór takiej karty ewidencyjnej. Wszystko jest jak trzeba: Nazwisko, imię, zainteresowania i propozycje dotyczące ew. pomocy koleżeńskiej.

Ale jeszcze pouczają małolaty małolatów — trzeba opracować Regulamin Pomocy Koleżeńskiej. Potem idą rady, żeby to wszystko posegregować, poukładać w odpowiednich szufladach (konieczna jest specjalna szafa, albo jeszcze lepiej — osobne pomieszczenie), zewidencjonować...

Jeśli ktoś myśli, że to, co napisałem, jest produktem chorobliwej wyobraźni felietonisty, to się myli. Tak naprawdę bełkocą młodzi prezenterzy młodzieżowych programów. Ci młodzi ludzie nie wyobrażają już sobie, że może, ot tak sobie Jaś przyjść do Stasia i rzec: „wytłumacz mi, stary, to zadanie". Bez ewidencji, kartoteki, biura i komitetu organizacyjnego nic się nie da zrobić. Nie można usiąść w ławce, na dużej przerwie i wytłumaczyć sobie nawzajem zawiłości trygonometrii czy wyjaśnić tajemnicę wzoru H_2SO_4.

Niestety, jest to szaleństwo, choć ma pozory metody. Młodzi ludzie tak skutecznie zajmą się biurokracją — kartami ewidencyjnymi, opracowaniem regulaminów i przepisów, że z pomocy koleżeńskiej wyjdą normalne nici. Nikt już nie będzie miał ani czasu, ani ochoty, żeby się zajmować pomocą koleżeńską, skoro wszyscy pogrążą się w papierach.

Kto to wymyślił, kto oszalał? Czemu proponuje się dzieciom biurokrację zamiast spontaniczności? Pomoc koleżeńska istnieje tak długo jak istnieje szkoła, choć nie było biur i centralnych kartotek.

Ale to nie wszystko. Ostatnio telewizja młodych propaguje inną wzruszającą akcję. Oto należy... podpisywać umowy o pomocy rodzicom w pracach domowych.

I znów — przysięgam, że nie wymyśliłem tego, aby sobie w łatwy sposób kpić. Naprawdę telewizja młodych taką formę współpracy między rodzicami i dziećmi proponuje, Ba, chwali nawet pewną nastoletnią słuchaczkę, która podpisała z rodzicami umowę długofalową.

Na razie jeszcze nie ujęto tej akcji w solidne ramy celebry — jeszcze się nie mówi o stole prezydialnym, przemówieniach stron itp. Ale to też nastąpi. Mały Kazio nie wyniesie śmieci do zsypu, zanim nie palnie mówki. Mała Zosia nie zmyje garnków, zanim nie złoży podpisu pod oficjalnym dokumentem...

Pytam, kto tu kompletnie zwariował? A jeśli nikt?

No, to bardzo przepraszam. W takim razie proszę uprzejmie szanownych czytelników, aby podpisali ze mną umowę na czytanie mojego felietonu. Egzemplarze umów (w 3 egz.) należy przysyłać na jakikolwiek adres z wyjątkiem adresu Telewizja Polska, Woronicza 17. Wewnątrz listu — powtarzam — wewnątrz listu, a nie na kopercie — proszę napisać wszystkie te słowa, które rodzice zabraniają dzieciom mówić w towarzystwie.

WIDOK

LEWYM OKIEM

O PRZEMIESZCZANIU SIĘ W PRZESTRZENI

W wielkich miastach całego świata zaczyna się — czy nawet zaczął się już dawno i ciągle w tym samym kierunku ewoluuje — proces krystalizowania się funkcji poszczególnych dzielnic. Mamy już dzielnice handlowe, bankowe, rozrywkowe i administracyjne, istnieją wielkie skupiska magazynów o martwych, bezludnych ulicach i coraz dalsze od centrum dzielnice zakładów przemysłowych. Mówi się też otwarcie o tym, że dzielnice mieszkalne, a więc te kiedyś najistotniejsze, stanowiące rację bytu i esencję miasta, są już tylko sypialnią wielkiej aglomeracji, do której wraca się tylko na noc z coraz odleglejszych wędrówek.

Wobec rosnącej jak na drożdżach liczby ludności i gęstości zaludnienia świata, wobec wynikającego stąd, nieuchronnego komplikowania się wszystkich stosunków i uwarunkowań życia na Ziemi, równie nieuchronne są procesy specjalizacyjne i centralizacyjne w każdym znaczeniu i na każdym terenie. Nie ma przesłanek, które by pozwoliły przypuszczać, że „specjalizacja" dzielnic wielkomiejskich, a później zapewne także poszczególnych regionów kraju, ustąpi tendencjom uniwersalizującym, całościowym, takim, które by umożliwiały człowiekowi czuć się pełnym człowiekiem w każdym miejscu i czasie. Gdzie indziej i kiedy indziej każdy z nas jest pracownikiem, gdzie indziej i kiedy indziej — konsumentem, ojcem, mężem, klientem, pacjentem, obiektem opieki i subiektem wielkich masowych ruchów.

Więc musimy jeździć a jeździć dodając do wszystkich bytowo niezbędnych, elementarnych czynności tę jedną, niedawno ujawnioną konieczność: ciągłego „przemieszczania się w przestrzeni", czyli po prostu DOJAZDÓW.

Miliony ludzi spędza miliardy godzin rocznie w pociągach, autobusach, tramwajach, pokonując miliardy kilometrów, żeby dostać się z domu do miejsc pracy i z powrotem. Znamy to i nie ma co wchodzić w szczegóły. Dojazdy stanowią wielką część życia, należałoby raczej odjąć je od czasu, przeżytego na tym najlepszym ze światów boć przecież są stanem zawieszenia pomiędzy jednym a drugim fragmentem bytowania. Dążymy do tego, aby ta oznaczona ujemnym znakiem część życia była jak najkrótsza, to znaczy zwiększamy szybkość środków komunikacji. Czy to coś pomoże? Nic nie pomoże, bo na przykład po uruchomieniu superszybkiej torpedy na trasie Łomża — Łódź ludzie będą dojeżdżać co dzień do fabryk łódzkich nie tylko z Koluszek, ale także z Wyszkowa i Ostrołęki. Czym szybsze dojazdy, tym bardziej wydłuży się promień nahoru pracowników do rosnących kolosów przemysłowych i wzrośnie, zamiast spaść, ilość osobo-godzin, spędzonych w wagonie, w stanie pół-snu, pół-jawy. Powtarzam — jest to zjawisko światowe, u nas o wiele mniej drastyczne niż w krajach o gigantycznych aglomeracjach. Ale perspektywy dla całego świata nie wydają mi się w tym zakresie różowe.

No i — żeby się nikomu nie nudziło — jeszcze ten podział funkcji pomiędzy poszczególnymi rejonami miasta. Już teraz do wielkich supermarketów trzeba dojeżdżać tak samo, jak do miejsc pracy, tylko na ogół w inną stronę. Owszem, w takim supermarkecie jest wielki wybór towarów i można nimi oszołomić klienta tak, że kupi nawet coś, czego wcale kupić nie chciał. Czy klient zyskuje coś na czasie — wątpię, bo musi dojechać i wrócić.

Pojawiają się głosy za wskrzeszeniem — jak w średniowieczu — ośrodków szewców, krawców, czapników i kiełbaśników. W wielkim domu obuwia będzie niebotyczny wybór kozaczków, w dzielnicy odzieżowej odwiedzimy drapacz z konfekcją na każdy „rozmiarowzrost" w każdym kolorze, po cytrynę pojedziemy do dzielnicy spożywczo-kolonialnej.

Nic, tylko jeździć. Czy wystarczy jeszcze czasu na coś, poza jeżdżeniem? Czy zdążymy po dokonaniu zakupów wrócić do odległej o 30 kilometrów sypialni, czyli do domu? A jakby się tak człowiek chciał rozerwać — to ile czasu będzie musiał jechać do „salonu gier", żeby tam dwa razy pociągnąć za rączkę automatu? Czy aby dzielnica barów wypadnie mu po drodze, czy kompot będzie w tym samym lokalu — i w tej samej dzielnicy — co grochówka?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

CZŁOWIEK Z MARSA

W literaturze science fiction zdarzają się marzyciele, którzy chcieliby mieć władzę nad czasem, móc go cofać lub podróżować w przyszłość, aby dowiedzieć się co nas czeka za 100 czy 150 lat. Gdybym miał taką możliwość, wybrałbym się w przyszłość tylko na 10 lat, aby dowiedzieć się, czy wtedy nadal w Łodzi wiele ulic będzie jednocześnie rozkopanych i czy nadal żadna z tras komunikacyjnych nie będzie ukończona?

Podróż w przyszłość możliwa jest tylko w prognozach futurologów, a i to nikt nie gwarantuje realności tych prognoz, gdyż z praktyki wiadomo, że futurolodzy wprawdzie są potrzebni, ale mają prawo mylić się i z prawa tego korzystają. Jednakże wybieganie myślą w przyszłość jest czynnością niezbędną, gdyż mobilizuje ona naszę działanie, zmusza do krytycznej oceny tego, co robimy, przyśpiesza tempo realizacji zamierzeń. Skoro przyszłość może być taka piękna, to nie zwlekajmy z jej nadejściem.

Warto również często wracać myślą do przeszłości, bo wtedy okazuje się, że to, co okrzykujemy taką nowością wymyślili już dawno starzy Polacy, po czym dokładnie o tym zapomnieli. Nie jest w tym jednakże nic zdrożnego, jako że niektóre firmy zagraniczne doszły do wniosku, że opłaca się czasem dokonać ponownie starego wynalazku niż odgrzebywać dokumentację, wydawać pieniądze na ponowne próby. Ale jeśli namawiam do wracania myślą w przeszłość, to zupełnie w innym celu. Chodzi mi o to, abyśmy sobie przypomnieli od jak dawna wołamy o sprawną organizację. Wołamy, wołamy i co?

Wydaje mi się, że już sam fakt tego nieustannego, od lat trwającego, wołanie o organizację nasuwa podejrzenie, że chodzi tu o kilka różnych rzeczy. Pojęcie: organizacja stało się swego rodzaju wytrychem, który powinien otworzyć i załatwić każdą niemal trudność. Dla niektórych organizacja znaczy po prostu skuteczność. Dla innych — sformalizowanie, wprowadzenie segregatorów, kartotek, numerków, symboli, składnicy akt i utopienie całej sprawy w morzu sprawozdawczości.

W uroczej i mądrej książeczce, zatytułowanej perfidnie: „Jak zdobyć szklaną górę organizacji, czyli co robić, aby nie tłamsić ludzi i nie hamować rozwoju" jej autor Robert Townsend proponuje, między innymi metodę: Człowiek z Marsa. Nie jest to wprawdzie też nic nowego, gdyż u nas metoda ta jest znana pod pojęciem „świeżego spojrzenia", ale mało stosowana. Człowiek bowiem, kiedy ma rozwiązać jakiś skomplikowany problem, stara się rozwiązać go w sposób może nie najbardziej skuteczny, ale prosty i sprawdzony przez innych. Ucieka się po prostu do dobrych doświadczeń, zapominając przy tym, że z doświadczeń, owszem, trzeba korzystać, ale też zamiast troszczyć się o ich dokładne kopiowanie — bardziej o skuteczną adaptację. Robert Townsend proponuje, aby mając do rozwiązania skomplikowany problem, wyobrazić siebie jako Marsjanina, który ma wiedzę o człowieku i społeczeństwie, ale nic nie wie, jak takie problemy rozwiązywali inni. I to Człowiekowi z Marsa gwarantuje świeże spojrzenie na problem, pozwala rozwiązać go skuteczniej, nie popełniając błędów innych.

W dyskusjach o organizacji i czasie pracy wiele miejsca poświęca się sekretarkom, stwierdzając, że dobra sekretarka to o połowę mniej pracy dla dyrektora wielkiego przedsiębiorstwa. Chroni go ona przed niepotrzebnymi telefonami, podaje kawę, umawia z nim ludzi, załatwia korespondencję, przypomina o terminach konferencji i narad. Ba, ale skąd brać takie sekretarki? Specjalistyczne organizacje prowadzą niezbędne szkolenie, tylko że potrzeby pod tym względem są znacznie większe od ich możliwości. Każdy szanujący się kierownik marzy o własnej sekretarce. Ale Robert Townsend powiada: — bzdura! Sekretarka nawet najlepsza utrudnia tylko pracę. Kiedy człowiek ją potrzebuje, to jej akurat nie ma. Sekretarki chorują, magazynują korespondencję, same nie podejmują decyzji, spychając wszystko na barki szefa. Nie daj boże, szef wyjedzie, a na jego biurku gromadzi się zaraz stos korespondencji, niezałatwionych spraw, czekających na jego decyzję. Ludzie kręcą się zdezorientowani, bo wszyscy czekają na szefa. I w związku z tym... zrezygnował z własnej sekretarki na korzyść obsługi sztabowej.

Nie będę wyjaśniał na czym taka obsługa sztabowa polega, zainteresowanych odsyłam do książki Roberta Townsenda, zastrzegając się przy tym, że nie występuję przeciw instytucji sekretarek. Chodzi mi tu głównie o ilustrację, o metodę „świeżego spojrzenia", albo o Człowieka z Marsa, czyli o szukanie innych rozwiązań niż stereotypowe, o szukanie rozwiązań skutecznych, o możliwość innego spojrzenia na każdą sprawę. Zdaję sobie sprawę, że to nie jest łatwe, że ograniczają nas przepisy, zalecenia, rozporządzenia, normatywy, trudności obiektywne, powiązania kooperacyjne. Ale też zdaję sobie sprawę, że jeśli rzeczywiście chcemy działać skuteczniej, to czas poddać rewizji wiele schematów i popatrzeć na nie oczyma Człowieka z Marsa.

Ostatnio spotkałem takiego Człowieka z Marsa. Było to przed słynnym laniem w Amsterdamie. Dyskutowaliśmy w gronie kibiców nad tym, jak to nasi chłopcy rozprawią się z „pomarańczowymi". Łatwo nie będzie, ale przecież. A Człowiek z Marsa, który odznacza się wielką inteligencją i piłką nożną zbytnio się nie interesował, powiedział tylko: — no, no, żebyście się nie rozczarowali, zbytnia pewność siebie i sukcesu do niczego dobrego nie prowadzi.

I miał rację.

MARCIN RODAK

SPORT

POMARAŃCZOWY PRYSZNIC

Zawsze warto pamiętać, że spokój i rozwaga są dobrymi doradcami. A przed i zaraz po spotkaniu piłkarskim w Amsterdamie „nerwowość" była ogromna. W stawianiu prognoz, chwaleniu polskiej jedenastki, a później w studzeniu rozgoryczenia, mniej uwagi zwracano na inne, też istotne przecież szczegóły. I tak, sam Bohdan Tomaszewski pomylił w „Kulturze" Amsterdam z Rotterdamem, a CERGO w „Przeglądzie Sportowym" zdymisjonował prezydenta Giscarda d'Estaing czyniąc z niego... premiera. Trudno mieć zresztą do nich o te pomyłki pretensje, bowiem nasi piłkarze sprawili nam taką niespodziankę, że niejednemu mogło się to i owo pomylić. A niespodzianką było nie to, że przegrali, bo to się zdarzyć może i najlepszym, ale jak przegrali. Kiedy ta sama jedenastka przegrała w Mistrzostwach Świata z RFN, nikt do niej nie miał pretensji. Za styl gry w Amsterdamie pretensje mieć można.

Zimny prysznic, jaki sprawili nam w Amsterdamie Holendrzy, należał się nam już od dawna. Trzeba było już wcześniej bardziej krytycznie patrzeć na naszą drużynę piłkarską, trzeba było stawiać przed nią wyższe wymagania, aby wysokie umiejętności powoli nie przechodziły w rutynę, aby pewność siebie nie zwalniała od obowiązku nieustannego doskonalenia techniki, zwiększania szybkości i utrzymywania kondycji. Pierwszymi sygnałami powinny były być spotkania z Finami w Mistrzostwach Europy, a także słynny remis w Rzymie. Tu przypominają mi się komentarze na temat tego meczu. Wszyscy usiłowali tłumaczyć naszych piłkarzy upałem, jaki wówczas panował w Rzymie. Wczesną jesienią na tym samym stadionie grali Finowie, wiadomo, ludzie z kraju bardziej na północ położonego niż Polska, a więc na upały mniej wytrzymali, a przecież w Rzymie pięknie stawiali czoła Włochom, choć upał był nie mniejszy niż wtedy, kiedy grali tam Polacy. Nie upał i nie śliskie boisko przeszkadza grać, kiedy potrafi się nawiązać z przeciwnikiem równą walkę. W Łodzi warunki były znacznie gorsze niż w Amsterdamie, a przecież odmłodzona polska drużyna potrafiła sobie poradzić z Węgrami, choć co prawda przeciwnik to słabszy niż Holendrzy. Jeśli jednak spojrzeć na grę Polaków w Łodzi w pojedynku piłkarskim z Węgrami, to tu też uwidaczniały się słabe punkty drużyny.

Zafascynowaliśmy się wszyscy sukcesami naszej narodowej jedenastki i zatraciliśmy krytycyzm. A przeciwnik powoli rozgryzał naszą taktykę i styl gry, i — jak to zwykle bywa — znalazł na nie skuteczny sposób. Trafiliśmy do grupy, w której o zwycięstwo walczyły trzy silne drużyny. Wiadomo było, że awansować może tylko jedna i wiadomo było, że walka o punkty rozegra się między najsilniejszymi. Dziś dopiero możemy ocenić, ile znaczył dla nas stracony punkt w meczu z Włochami. Optymiści twierdzą jednak, że wszystko jeszcze się może zdarzyć i dlatego nie należy nic przesądzać. To prawda, że o awansie w grupie zadecyduje dopiero ostatni gwizdek na ostatnim meczu, ale będzie to mecz, w którym nie będzie grała nasza drużyna. Optymiści spekulują: „jak wygramy z Włochami i jak Holendrzy przegrają". Jest to spekulacja nazbyt dla mnie karkołomna. Wcale nie jestem pewna, czy Włosi zechcą wywalczyć dla nas awans i czy pozwolą na to Holendrzy. Szansę na awans straciliśmy w Amsterdamie, a — przede wszystkim — trzeba jeszcze wygrać mecz z Włochami w Polsce.

Jak tego typu spekulacje są niebezpieczne, niech posłuży przykład komentatora z „Dziennika Popularnego", który napisał:

„Nie straconego. Dwa mecze z Włochami są do wygrania, do wygrania jest jeszcze nasza grupa eliminacyjna".

W żalu za straconymi punktami, niektórym wszystko się już pomyliło. A przecież nie ma powodu do tragedii. W Chorzowie nasi piłkarze pokazali, że potrafią wygrać z Holendrami — drugą drużyną świata. W Amsterdamie Holendrzy pokazali, że mają sposób na polską piłkę nożną. Nie ma więc powodu do rwania szat i wieszania psów na naszych ulubieńcach, są tylko powody do zastanowienia się nad składem drużyny, nad tym, czy niektórzy z trzeciej drużyny świata nie powinni już ustąpić miejsca młodszym. Kazimierz Górski pokazał w Łodzi, w meczu z Węgrami, że dysponuje znakomitą grupą piłkarzy, z której może zestawiać różne warianty drużyny. Nadszedł chyba już czas — takie jest nie tylko moje przekonanie — żeby tę teoretyczną wiedzę przemienić w praktykę.

Kiedy w Amsterdamie schodził z boiska Kazimierz Deyna, Jan Ciszewski powiedział, że piłkarz ten, nie odzyskał formy z Mistrzostw Świata. Ale czy trzeba było decydującego pojedynku z Holendrami, aby dojść do tego stwierdzenia? Przecież Kazimierz Deyna — i to ładnie o nim świadczy — sam prosił o zwolnienie go z kilku meczy reprezentacji. I przecież „ławka rezerwowych" nie była pusta.

W książce „Z ławki trenera" Kazimierz Górski wspomina pod datą 29 stycznia 1972 roku:

„Po pierwsze — nie należy bać się eksperymentowania, zwłaszcza wobec braku wyraźnego postępu w grze zespołu. Stawiać trzeba nie na nazwiska, ale na aktualną formę poszczególnych zawodników".

Teraz, choć mamy rok 1975, nadszedł czas na „po drugie", czyli na ponowne praktyczne spełnienie tej zasady.

BOGDA MADEJ

ROCZNICE

JESIENIN miałby 80 lat

JERZY WILMAŃSKI

Gdyby żył — miałby tej jesieni 80 lat. Nie wyobrażam sobie starego Jesienina.

Gdyby żył... Ale przecież zawisł na sznurze od walizki w leningradzkim hotelu „Angleterre" w grudniu 1925 roku. Miał wówczas 30 lat. Było to pół wieku temu.

„Prawda" pisała 29 grudnia 1925 roku: **„Na lewej ręce miał kilka zadrapań, a na prawej powyżej łokcia — głębokie cięcie zadane brzytwą..."**

A przedtem było trzydzieści szalonych lat — i co najmniej dziesięć lat tragicznych. Z opasłej książki, którą Wiktor Woroszylski i Elwira Watała złożyli z setek wspomnień, listów i notatek, wynika obraz tego tragicznego i krótkiego życia.

Gdyby żył — miałby 80 lat. Ale może nie miałby tej wstrząsającej legendy?

Więc najpierw ta głośna, legendarna sprawa — Isadora Duncan, słynna amerykańska tancerka. Kiedy latem 1921 roku przybyła do Moskwy miała 43 lata — Jesienin dwadzieścia sześć.

Jak to było naprawdę z tą miłością i tym małżeństwem? Któż to może wiedzieć? Maksym Gorki pisał, że Isadora stanowiła doskonałe uosobienie wszystkiego co było poecie niepotrzebne — Marienhof twierdził, że Jesienin ożenił się z jej sławą — Rożdiestwieński mówił, że łączyło ich mocne i autentyczne uczucie...

A sam Jesienin? Wiele lat po śmierci poety w starych papierach odnaleziono nigdy nie wysłaną kartę. Pisał do Isadory: **„Powiedziałem jeszcze w Paryżu, że w Rosji Cię porzucę. Zrobiłaś ze mnie człowieka bardziej złego. Kocham cię, ale nie chcę już więcej z Tobą żyć..."**

A naprawdę? W tym okresie Jesienin napisał niewiele — zaledwie pięć wierszy. Pił wówczas bardzo dużo, co przyjaciołom poety dało asumpt do obarczenia tancerki odpowiedzialnością za rozpijanie Jesienina.

Wyjechali za granicę. Według Erenburga Jesienin w Berlinie męczył się i ma się rozumieć wyprawiał skandale. We dwójkę pili i śpiewali. Isadora Duncan daremnie usiłowała pohamować poetę — jeden wybryk następował po drugim.

A on się męczył, w międzynarodowym towarzystwie, które ich otaczało. Ożywiał się tylko wówczas, gdy ktoś z Rosjan poprosił go o przeczytanie wierszy. Więc czytał.

Ktoś wspomina tamte dni: **„Pomyślałem, że Sergiusz Jesienin to nie tyle człowiek, co narząd stworzony przez naturę wyłącznie dla poezji, dla wyrażania niewyczerpanej melancholii pól, ukochania wszystkiego, co żyje i miłosierdzia, na które człowiek zasługuje bardziej niż na cokolwiek innego. I jeszcze dotkliwiej odczułem zbędność Duncan z jej tańcem, zbędność przenudnego brandenburskiego miasta Berlina, zbędność wszystkiego, co otaczało osobliwie utalentowanego i skończenie rosyjskiego poetę..."**

A potem wrócił, tyle że był to już powrót w zatracenie. Dwudziestego szóstego listopada 1925, po cyklu awantur, z których wynikło siedem wszczętych przez milicję spraw karnych — Jesienin powtórnie schronił się w klinice psychiatrycznej. Parę dni potem napisał w szpitalu ten wiersz:

„Lecz ci wyznam prawdę zawiłą
Chociaż takem Cię upokorzył:
Gdyby piekła i raju nie było
Człowiek sam by je sobie stworzył".

Siódmego grudnia wysłał depeszę do przyjaciela: „Znajdź dwa, trzy pokoje — przeprowadzam się do Leningradu". Rzeczywiście, 21 grudnia samowolnie opuścił klinikę, aby już do niej nie wrócić.

Fot. Archiwum

A potem w pokoju hotelu „Angleterre" napisał jeszcze ostatni wiersz:

„Żegnaj bez uścisku dłoni i bez słowa.
Nie martw się, cień smutku z czoła przegoń.
W życiu ludzkim — śmierć to rzecz nie nowa,
A i życie samo — nie nowego".

Około dziesiątej wieczór 27 grudnia Jesienin zszedł do portiera z prośbą, żeby nikogo do niego nie wpuszczał.

Rano znaleziono go martwego.

Kiedy do Moskwy przyjechał pociąg z ciałem Jesienina, tysiące ludzi wyszło na plac Kałanczewski, żeby uczestniczyć w pogrzebie. Otworzono trumnę. Twarz Jesienina była podobna do chorego, udręczonego dziecka. Wydawał się mniejszy i bardzo samotny.

Wszystkie jego żony i przyjaciółki przeżyły go, aż do lat sędziwych. Tylko jedna Galina Benisławska przyszła na jego grób w rocznicę śmierci. Miała ze sobą rewolwer i paczkę papierosów „Mozaika". Wypaliła wszystkie i zanim się ściemniło, napisała na kartce papieru:

„Popełniam tu samobójstwo, chociaż wiem, że później będą jeszcze więcej plotkować na temat Jesienina. Ale zarówno jemu, jak i mnie jest to zupełnie obojętne. W grobie tym znajduje się wszystko, co było dla mnie najdroższe na świecie".

W wiele lat po śmierci Jesienina inny wielki poeta rosyjski, Borys Pasternak, napisał: „Od czasów Kolcowa ziemia rosyjska nie wydała nic bardziej rdzennego, naturalnego, stosownego i rodowitego niż Sergiusz Jesienin — obdarzając nim epokę z bezprzykładną swobodą (...) Jesienin potraktował swoje życie jak bajkę... Również i wiersze pisał w sposób bajeczny, to jak z kart rozkładając pasjanse ze słów, to zapisując krwią serca".

Jego najbardziej tragiczny wiersz z ostatnich miesięcy życia kończył się tak jak kończy się ludzkie życie:

„Miesiąc umarł
Świt niebieszczeje nad drogą
Ach, nocy, coś narobiła,
Nocy bodajś przepadła!
Stoję w cylindrze na głowie
Nie ma przy mnie nikogo
Jestem sam...
I stłuczone zwierciadło".

Elwira Watała i Wiktor Woroszylski, „Życie Sergiusza Jesienina", PIW 1973.
Krystyna Kolińska „Tajemnice na sprzedaż", Iskry — 1968. Wiersze w przekładach: W. Broniewskiego, J. Brzechwy i T. Mongirda.

SERGIUSZ JESIENIN

FRAGMENT POEMATU „HULAJ—POLE"

Jeszcze tu prawo nie stwardniało
I szumi kraj jak niepogoda.
Przez wszystkie brzegi się przelała
Zatruwająca nas swoboda.

Rosja! Najmilsza sercu ziemia!
Dusza się zżyma, dusza boli.
Już tyle lat nie słyszy pole
Szczekania psów, kogutów pienia.

Tyle lat temu był radosny.
Stracił spokojne czasowniki.
Piętnami kopyt, niby ospą
Pastwiska i wąwozy zryte.

Wiecznie jęki, głośny tętent,
Taczanki z hukiem orzą ziemię.
Może ja śnię i widzę we śnie
Jak konno, zewsząd, jednocześnie
Okrąża nas Pieczyngów plemię?
Nie sen, nie sen, widzę na jawie,
Wyraźnie widzę, ja nie spałem,
Jak w nurtach rzeki konie pławiąc,
Oddział podąża za oddziałem.
I gdzie ta wojna? Dokąd oni?
W stepowej wodzie toną słowa.
Już nie wiem, czy to księżyc płonie
Czy jeździec zgubił tu podkowę?
Wszystko splątane...
Rozumiem teraz:
Kraj mój rodzinny aż do kresu,
Szablami, pożarami świecąc,
Wojna domowa dziś rozdziera

. . . . . .

Rosja —
To straszny cudny dzwon.
Lasy brzóz białych, kwiat — przebiśnieg.
Skąd ów buntownik właśnie on,
Ten, co cię wzburzył, Rosjo, przyszedł?
Geniusz surowy! Pozór kłamie,
Nie miał wielkiego nic w posturze,
Nie spinał konia ostrogami
I nie gnał na spotkanie burzy.
Szablą z rozmachu głów nie ścinał
I nie pierzchały przed nim pułki.
A z zabójstw lubił to jedyne —
Lubił polować na przepiórki.

Bohaterami dla nas przecież
Byli mężowie w czarnych maskach.
A on z zasmarkanymi dziećmi
Bawił się zimą na ślizgawkach.
I nie zdobywał serc kobiecych
Puklami, które zdobią skronie —
Wielką łysiną swoją świecił.
Był najskromniejszy z wszystkich skromnych.
Zakłopotany, prosty, miły,
Jak sfinks wyrasta dziś przede mną.
Chyba nie pojmą nigdy siły
Z jaką on wstrząsnął całą ziemią?
Lecz wstrząsnął przecież...

1924

Przełożył: MAREK WAWRZKIEWICZ

KSIĄŻKA

WIADUKT - 3

Wydawnictwo Łódzkie po raz już trzeci zadało sobie trud opublikowania kolejnego almanachu Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy **„Wiadukt"**, działającego pod patronatem Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej w Łodzi. Wielce pożyteczny ruch KKMP obejmuje niemal całą Polskę, rozwijając się w sposób równomierny i ciągły od lat kilkunastu. W „Wiadukcie 3" znajdujemy omówienie poszczególnych inicjatyw, podejmowanych przez regionalne ośrodki KKMP, co pozwala na stworzenie sobie obrazu o zasięgu i formach działalności tego ruchu. Niektóre z form tej działalności miały charakter ogólnopolski, inne nie wychodziły poza regionalistyczny, wzajemnie adoracyjny partykularyzm, ale nie da się zaprzeczyć, że ruch KKMP umożliwił start wielu młodym pisarzom pochodzącym i działającym na prowincji. I prawdą jest także, że dorobek wielu z nich liczy się już dzisiaj poważnie na literackim rynku. Świadectwem tego jest choćby zamieszczony w omawianym almanachu dorobek wydawniczy łódzkiego KKMP, w którym znajdziemy nazwiska **Jerzego Jarmołowskiego, Tadeusza Daszkiewicza, Doroty Chróścielewskiej czy Teresy Gabrysiewicz.**

W „Wiadukcie 3" zawarte są publikacje bardzo różnorodne: 25 utworów poetyckich, 5 krótkich opowiadań, 4 eseje i artykuły krytycznoliterackie, a oprócz tego część kronikarsko-sprawozdawcza z działalności Klubów Korespondencyjnych Młodych Pisarzy w poszczególnych ośrodkach.

Najbardziej rozczarowuje część poetycka. Redaktorzy tomu starali się zebrać tutaj utwory powiązane ze sobą postawą szczególnego rodzaju zaangażowania politycznego, wyrażającego się li tylko poprzez podjęcie tematu „politycznie dodatnio nacechowanego" wojna, okupacja itp., które jednak w większości utworów nie znalazło odpowiednich do wagi spraw środków poetyckiego wyrazu. Mało tego: usilne poszukiwanie „odpowiednich" wierszy do zamierzonej tematyki doprowadziło do zwykłego przedrukowania utworów publikowanych we wcześniej wydanych tomikach poetyckich (naliczyłem 6 takich wypadków), co byłoby zrozumiałe w jakiejś tematycznie skomponowanej antologii, natomiast jest nie wskazane w wydawnictwie typu almanachowego, gdzie winny znajdować się raczej pierwodruki. Swoistym, choć nie zamierzonym komentarzem do zamieszczonych tu utworów lirycznych, jest zakończenie wiersza (zresztą najlepszego w tomie) **Krystyny Wiśniewskiej:**

prawda
kładzie głowę pod topór
słów

Nieco lepiej prezentuje się w zbiorze część prozatorska, choć i tu nie udało się uniknąć niepotrzebnych przedruków. Należy tu wyróżnić bezpretensjonalne opowiadanie **Zbigniewa Ruszla „Czaszka"** oraz pełen ekspresji, przypominający prozę **Tadeusza Borowskiego**, utwór **Władysława Wągla „Opętany miejscem"**.

Twórczość eseistyczną reprezentują w **„Wiadukcie"** dwie prace: **Grzegorza Sztabińskiego „Literatura i plastyka"** oraz **Stefana Melkowskiego „Pisarz w społeczeństwie"**.

Sztabiński omawia koncepcje integracyjne i dezintegracyjne sztuk, istniejące od czasów renesansu aż po wiek XX, wskazując na niebezpieczeństwa i pułapki zarówno jednych, jak i drugich. Konkluzja artykułu sprowadza się do stwierdzenia — zresztą dość oczywistego — faktu, że literaturę od malarstwa odróżnia posługiwanie się innymi systemami znaków, a to, co łączy obydwie sztuki, to cel, jaki winny one sobie stawiać, a mianowicie „forma poznania, forma myślenia o rzeczywistości". Rozważania Sztabińskiego znalazły swój — wyrażony zresztą in extenso — wyraz w programie artystycznym galerii „Wiadukt", otwartej w roku 1970 w Łodzi:

„Za wspólne zadanie literatury i plastyki — czytamy tam — **przyjmujemy uświadomienie sobie właściwych im znaków i poprzez tworzenie z nich struktur semantycznych opisywanie rzeczywistości i ustosunkowanie się do niej, wyrażanie świata zewnętrznego i świata własnych myśli i przeżyć".**

Program grupy młodych plastyków łódzkich, publikowany w omawianej książce, mimo pewnego braku precyzyjności sformułowań, jest jednak o wiele bardziej sensowny od grzeszącego zbyt daleko idącą ogólnikowością manifestu grupy literackiej „Wiadukt", pod którym zresztą również widnieje podpis G. Sztabińskiego (por. „Poezja" 1972 nr 10).

Zacięciem socjologicznym — obok wspomnianego wyżej artykułu S. Melkowskiego wyróżniają się rozważania **Tadeusza Daszkiewicza** o działalności grup młodzieży literackiej w Polsce w latach 1958—1970. Ciekawe uwagi na temat sposobu istnienia tych grup, przyczyn warunków ich powstawania, kończy Daszkiewicz hipotezą, że **„były one swoistą formą zaspokajania dążeń i ambicji społeczno-artystycznych pisarzy młodego pokolenia, którym do końca nie odpowiadała żadna z wówczas istniejących form organizacyjnych życia literackiego".** Uzupełnieniem i niejako egzemplifikacją uwag Daszkiewicza jest krytycznoliteracki artykuł **Jerzego Tyneckiego** („Tworzyć piękno i użytkować"), w którym znajduje swoje omówienie dorobek wydawniczy Klubu Młodych Pisarzy „Wiadukt".

Reasumując: warto sięgnąć po „Wiadukt 3", aby przeczytać kilka ciekawych esejów i artykułów publicystycznych i... aby ze smutną zadumą pomyśleć nad zgromadzonym tam materiałem literackim. A temu winny jest być może nieco przydługi cykl wydawniczy almanachu, bo — jak się łatwo zorientować — większość zamieszczonych tu utworów pochodzi sprzed roku 1970.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

Wiadukt 3. Pod red. T. Daszkiewicza i M. Złocha. Łódź 1975, WL.

MAGAZYN ODGŁOSY

AGATHA CHRISTIE

SKRADZIONY MILION

Rozmowę przerwała nam gospodyni.

— Jakaś młoda dama pragnie z panem porozmawiać, panie Poirot. Oto jej wizytówka.

Na karcie wizytowej znajdował się nadruk: „Miss Esmee Farquhar".

W chwilę później znalazła się w pokoju jedna z najpiękniejszych dziewcząt, jakie kiedykolwiek widziałem. Liczyła około dwudziestu pięciu lat, miała piękne brązowe oczy i doskonałą figurę. Była elegancko ubrana, a jej zachowanie zdradzało najlepsze maniery.

— Proszę spocząć, mademoiselle — odezwał się Poirot. — To mój przyjaciel, kapitan Hastings, który pomaga mi w moich drobnych problemach.

— Obawiam się, że problem, z którym przyszłam do pana, monsieur Poirot, należy raczej do wielkich — zauważyła dziewczyna skinieniem głowy odpowiadając na mój ukłon. Śmiem przypuszczać, że czytał pan o nim w gazetach. Mam na myśli kradzież obligacji Liberty na pokładzie „Olympii".

Musiała dostrzec zdziwienie na twarzy Poirota, bo zaraz podjęła dalej swój wywód.

— Pan się dziwi, że mogę mieć coś wspólnego z tak potężną instytucją, jak Bank Londyńsko-Szkocki? W pewnym sensie właściwie nic w innym bardzo wiele. Monsieur Poirot! Jestem zaręczona z Philipem Ridgewayem!

— Aha! A Philip Ridgeway?...

— ... miał pieczę nad tymi obligacjami, kiedy zostały skradzione. Właściwie nic konkretnego nie można mu zarzucić. Nie było w tym wcale jego winy. Mimo to jednak Phi jest zrozpaczony, a wuj jego uważa, że musiał on wspomnieć komuś nieostrożnie, iż obligacje znajdują się pod jego opieką. Straszny cios dla jego kariery.

— Kim jest jego wuj?

— Pan Vavasour jest jednym z dwóch generalnych dyrektorów Banku Londyńsko-Szkockiego.

— Gdyby pani mogła, panno Farquhar, odtworzyć cały przebieg wydarzeń... — zaproponował Poirot.

— Bardzo proszę. Jak pan się orientuje, Bank zamierzał rozszerzyć swoje kredyty w Ameryce i w tym celu postanowiono przekazać tam milion dolarów w obligacjach Liberty. Pan Vavasour wydelegował swego siostrzeńca, pracownika Banku, aby przewiózł przez ocean te wartościowe papiery. Philip od wielu lat zajmuje odpowiedzialne stanowisko w firmie i doskonale znał szczegóły operacji bankowej, która miała być dokonana. „Olympia" odpłynęła 23 z Liverpoolu. Tego dnia rano obligacje zostały wręczone Philipowi przez panów Vavasoura i Shawa, generalnych dyrektorów Banku Londyńsko-Szkockiego. Były przeliczone, umieszczone w paczce i zapieczętowane w obecności Philipa. Paczkę tę zamknął on zaraz potem w swojej walizie.

— W walizie ze zwykłymi zamkami? — spytał Poirot.

— Nie. Pan Shaw domagał się, żeby w firmie Hubbs dopasowano do niej specjalny zamek. Jak wspomniałam, Philip położył paczkę z obligacjami na dnie walizy. Paczka została skradziona na kilka godzin przed dopłynięciem do Nowego Jorku. Przeprowadzono dokładną rewizję na statku, ale niczego nie znaleziono. Obligacje rozpłynęły się w powietrzu...

Poirot skrzywił się:

— Ale jednak nie uległy dematerializacji — o ile się orientuję, zostały sprzedane w małych pakietach w ciągu pół godziny po przycumowaniu „Olympii"! Dobrze byłoby, gdybym mógł teraz porozmawiać osobiście z panem Ridgewayem.

Pojechaliśmy we trójkę do „Cheshire Cheese". Philip Ridgeway z pewnym zdziwieniem spoglądał na narzeczoną, wchodzącą na salę z dwoma zupełnie dlań obcymi panami. Był to przystojny młody człowiek, wysoki i elegancki, z włosami lekko siwiejącymi na skroniach.

— Musisz wybaczyć mi, Philipie, że działałam bez porozumienia się z tobą, — miss Farquhar położyła mu dłoń na ramieniu. — Pozwól: pan Hercule Poirot, o którym często musiałeś słyszeć i jego przyjaciel, kapitan Hastings.

Ridgeway był zaskoczony.

— Naturalnie, że słyszałem o panu, monsieur Poirot. Nie miałem jednak pojęcia, że Esmee ma zamiar zwrócić się do pana w sprawie moich kłopotów.

— Obawiałam się, że się nie zgodzisz, Philipie — wyjaśnia panna Farquhar.

— Mam nadzieję, że monsieur Poirot będzie w stanie rzucić nieco światła na tę nieprawdopodobną zagadkę. Muszę bowiem przyznać szczerze, że tracę już rozum...

Twarz jego rzeczywiście była wychudzona i strapiona.

— Dobrze, dobrze — odezwał się Poirot — podczas jedzenia zastanowimy się wspólnie, co można uczynić. Chciałbym usłyszeć pełną relację z ust pana Ridgewaya.

Spożyliśmy stek i potrawkę z nerek. Philip Ridgeway opowiadał nam o wypadkach, które poprzedziły zniknięcie obligacji. Jego wersja zgadzała się w każdym szczególe z relacją panny Farquhar. Kiedy skończył, Poirot podjął wątek pytaniem:

— Jak pan stwierdził, że obligacje zostały skradzione?

Młody człowiek uśmiechnął się gorzko.

— Nie mogłem tego nie zauważyć, panie Poirot. Moja walizka była na pół wysunięta spod koi, cała podrapana i pocięta w miejscu, w którym próbowano wyłamać zamek.

— O ile zrozumiałem jednak, zamek otwarty został kluczem?

— Tak jest. Usiłowali go wyłamać, ale nie mogli. W końcu musieli go wreszcie jakoś otworzyć.

— Ciekawe — stwierdził Hercule Poirot, a jego oczy zaczęły pobłyskiwać zielonymi ognikami, które znałem tak świetnie.

— Bardzo ciekawe! Tracą wiele, wiele czasu na wyłamywanie zamka, a potem... sapristi! stwierdzają, że przez cały ten czas są w posiadaniu klucza. A weźmy jeszcze pod uwagę, że każdy zamek od Hubbsa jest unikalnym egzemplarzem!

— Właśnie dlatego nie mogli mieć klucza — zauważył Philip.

— Nie rozstawałem się z nim nigdy, ani w dzień, ani w nocy.

— Jest pan tego pewien?

— Mogę na to przysiąc, a poza tym, gdyby posiadali klucz albo jego duplikat, dlaczego mieliby marnować czas na mocowanie się z zamkiem, którego siłą nie da się otworzyć?

— Oto pytanie! Jeśli kiedykolwiek znajdziemy rozwiązanie, to będzie ono w ścisłym związku z tym pytaniem. Czy jest pan absolutnie pewien, że nie pozostawił pan walizy otwartej?

Poirot uczynił gest z góry przepraszający za to pytanie, na które Ridgeway nawet nie odpowiedział.

— Zapewniam pana jednak — dodał Poirot — że takie wypadki zdarzają się! No dobrze, obligacje zostały skradzione z walizy. Co złodziej z nimi uczynił? W jaki sposób udało mu się przedostać z nimi na brzeg?

— O to idzie! — zawołał Ridgeway. — Jak? Natychmiast przecież zaalarmowałem władze celne i każdego kto opuszczał statek — można powiedzieć — przeczesywano najgęstszym grzebieniem!

— Paczka obligacji musiała być sporych rozmiarów?

— Tak jest! Nie można by ich było ukryć na pokładzie, a wiemy, że zaoferowano je do sprzedaży w ciągu pół godziny po przycumowaniu „Olympii", na długo przedtem, nim porozumiałem się telegraficznie z moją centralą i otrzymałem depeszę z numerami obligacji. Jeden z maklerów przysiągał nawet, że kupił pakiet tych obligacji jeszcze zanim „Olympia" wpłynęła do portu nowojorskiego. Nie można przecież przekazywać obligacji drogą radiową!

— Rzeczywiście, to jest niemożliwe; czy jednak nie podpłynął do statku jakiś holownik?

— Podpłynęły tylko holowniki z władzami portowymi i policją, zresztą już po ogłoszeniu alarmu. Panie Poirot! Ta sprawa doprowadza mnie do obłędu! Zaczynają już mówić, że ja sam je ukradłem.

— Ale pana również zrewidowano, kiedy schodził pan na ląd? — wtrącił Poirot uprzejmie.

— Tak — potwierdził młody człowiek i zaskoczony spojrzał na Poirota.

— Widzę, że nie domyśla się pan o co mi idzie — stwierdził detektyw, uśmiechając się zagadkowo. — Chciałbym jeszcze teraz zasięgnąć kilku informacji w banku.

Ridgeway wyjął wizytówkę i napisał na niej kilka słów.

— Proszę przesłać ten bilet do mego wuja, a zaraz pana przyjmie.

Wybraliśmy się więc na ulicę Threadneedle, do centrali Banku Londyńsko-Szkockiego. Po okazaniu wizytówki Ridgewaya, poprowadzono nas wśród labiryntu biurek i kontuarów do małego gabinetu na pierwszym piętrze, w którym przyjęli nas obaj dyrektorzy generalni. Byli to poważni dżentelmeni, oświadczyli w służbie bankowej. Pan Vavasour miał krótką, białą bródkę, pan Shaw był gładko ogolony.

— Rozumiem, że działa pan całkowicie prywatnie — zastrzegł się pan Vavasour zwracając się do Poirota. — Oddaliśmy oczywiście sprawę w ręce Scotland Yardu. Inspektor McNeill zajmuje się dochodzeniem. Mam wrażenie, że to bardzo zdolny oficer.

— Jestem tego pewien — odpowiedział uprzejmie Poirot. — Pozwoli pan zadać kilka pytań w interesie pańskiego siostrzeńca? W sprawie tego zamka... Kto go zamówił u Hubbsa?

— Ja go zamówiłem osobiście — stwierdził pan Shaw. — Takiej sprawy nie powierzyłbym żadnemu urzędnikowi. Jeśli idzie o klucze, to jeden miał pan Ridgeway, a pozostałe dwa znajdowały się pod opieką kolegi dyrektora i moją.

— I żaden z urzędników nie miał do nich dostępu?

— Pozostały one w sejfie, w którym umieściliśmy je 23 — oświadczył pan Vavasour. — Kolega mój, niestety, zachorował tego samego dnia, kiedy Philip wyjechał. Dopiero co wrócił do zdrowia.

— Poważny bronchit — to już nie żarty dla człowieka w moim wieku — stwierdził pan Shaw.

— Poirot zadał jeszcze parę pytań. Odniosłem wrażenie, że zmierza on do ustalenia możliwie dokładnie stopnia poufałości między wujem a siostrzeńcem. Odpowiedzi pana Vavasoura były zwięzłe i bardzo formalne. Siostrzeniec jego był zaufanym pracownikiem banku, nie posiadał żadnych długów i — jak się zorientował — nie miał żadnych trudności finansowych. Powierzano mu już poprzednio podobne misje. Wreszcie zostaliśmy uprzejmie pożegnani.

— Jestem zawiedziony — oświadczył Poirot, kiedy wyszliśmy na ulicę.

— Spodziewałeś się dowiedzieć więcej? To tacy nudni staruszkowie...

— Zawiodła mnie wcale nie ich ociężałość, mon ami. Nie. Zawiodła mnie ta sprawa... okazała się zbyt łatwa!

— Łatwa?

— Tak. Czy nie sądzisz, że jest niemal dziecinnie prosta?

— Wiesz już, kto ukradł te obligacje?

— Tak.

— Wobec tego... musimy...

— Nie gorączkuj się Hastings. Jeszcze teraz nic nie będziemy robić.

— Na co czekasz?

— Na „Olympię". We wtorek wraca ona z rejsu do Nowego Jorku.

— Jeśli wiesz kto ukradł obligacje, dlaczego czekasz? Złodziej może uciec.

— Na jakąś wyspę na morzach południowych, gdzie nie obowiązuje ekstradycja? Nie, mon ami. Życie na takiej wyspie nie będzie dla niego miało żadnej wartości. Jeśli ci idzie o to, dlaczego czekam... ech, bien... bo widzisz dla Hercule Poirota sprawa ta jest całkowicie jasna, ale dla dobra innych, nie obdarzonych taką jak ja dozą inteligencji... na przykład dla inspektora McNeilla... przyda się zebranie kilku dodatkowych informacji.

Kiedy we wtorek znaleźliśmy się na nadbrzeżu portu w Liverpool gdzie przycumowano wielki transatlantyk, Poirot stał się żwawy i czujny. Nasza cała działalność ograniczyła się jednak do przeprowadzenia rozmów kolejno z czterema stewardami. Poirot wypytywał ich o swego przyjaciela, który płynął na „Olympii" do Nowego Jorku rejsem z 23.

— Starszy pan w okularach. Inwalida, który nie opuszczał prawie swojej kabiny.

Rysopis ten okazał się zgodny z wyglądem i zachowaniem niejakiego pana Ventnora z kabiny C24, sąsiadującej z tą, którą podczas tego samego rejsu zajmował Philip Ridgeway. Chociaż nie bardzo orientowałem się jak Poirot wydedukował istnienie tego pana Ventnora i jego wygląd, podekscytowała mnie ta okoliczność.

— Powiedzcie mi proszę — spytałem stewarda — czy dżentelmen był jednym z pierwszych, który wyszedł na ląd, kiedy przybyliście do brzegu w Nowym Jorku?

Steward potrząsnął głową.

— Nie. Raczej przeciwnie. Był on jednym z ostatnich, którzy opuścili statek.

Wycofałem się speszony i obserwowałem jak Poirot uśmiecha się do mnie szczerząc zęby. Podziękował stewardowi, bilet bankowy zmienił posiadacza i oddaliliśmy się z nadbrzeża.

— Wszystko w porządku — odezwałem się gwałtownie — ale to ostatnie wyjaśnienie musiało chyba rozbić twoją teorię!

— Jak zwykle, niczego nie potrafisz dostrzec, Hastings. Ta ostatnia odpowiedź stanowi właśnie koronę, wieńczącą moją teorię.

Wzruszyłem ramionami.

Kiedy znaleźliśmy się znów w pociągu, śpiesząc w kierunku Londynu, Poirot pisał coś pilnie przez kilka minut. Notatki swoje włożył następnie do koperty którą dokładnie zalepił.

— To dla naszego zdolnego oficera, inspektora McNeilla. Zostawimy ją po drodze w Scotland Yardzie, a potem udamy się do restauracji, „Rendez-vous", gdzie zastaniemy pannę Farquhar, proszoną przeze mnie, aby uczyniła nam zaszczyt wspólnego spożycia kolacji.

— A co z Ridgewayem?

— A co ma z nim być? — spytał Poirot, mrużąc oko.

— Nie myślisz chyba...

— Coraz częściej mówisz bez związku, mój drogi Hastings. A jeśli idzie o ścisłość to właśnie myślę. Myślę, że jeśli Ridgeway ukradł te obligacje, co jest oczywiście zupełnie możliwe, to sprawa ta byłaby czarująca... przykład świetnej metodycznej roboty.

— Jednak nie byłoby to tak czarujące dla panny Farquhar...

— Może masz i rację. Dlatego przyjrzyjmy się jeszcze raz całej sprawie. Widzę, że umierasz z ciekawości. A więc zapieczętowana paczka zostaje wyniesiona z walizy i znika... rozpływa się w powietrzu, jak to określiła panna Farquhar. Pominmy jednak tę ulatniającą się teorię, jako zupełnie niepraktyczną przy obecnym poziomie nauki i rozważmy co mogło się stać z tą paczką. Wszyscy podkreślają niemożliwość przeszmuglowania jej na brzeg...

— Ale wiemy, że...

— Może ty wiesz, Hastings. Ja nie wiem. Ja przyjmuję, że jeśli wydaje się to niemożliwe, to rzeczywiście było niemożliwe. Pozostaje więc alternatywa: paczka została ukryta na pokładzie, co byłoby też raczej trudne, względnie — wyrzucona za burtę.

Ale jeśli obligacje zostały wyrzucone za burtę, to nie mogły być sprzedane w Nowym Jorku.

— Podziwiam twój logiczny sposób myślenia, Hastings. Obligacje zostały sprzedane w Nowym Jorku, a więc nie zostały wyrzucone za burtę. Widzisz do czego to nas prowadzi?

— Do tego samego miejsca, od którego zaczęliśmy.

— O nie! Jeśli paczka została wyrzucona za burtę, a obligacje były sprzedane w Nowym Jorku, to wyrzucona paczka nie mogła zawierać obligacji. Pamiętaj, że Ridgeway nie otwierał jej od chwili, kiedy wręczono mu ją w Londynie.

— Owszem. Ale wówczas...

Poirot potrząsnął zniecierpliwioną ręką.

— Pozwól mi mówić dalej. Ostatni raz obligacje widziano jako obligacje rankiem 23 w biurze Banku Londyńsko-Szkockiego. Pojawiają się one znów dopiero w Nowym Jorku, mniej więcej w pół godziny po wpłynięciu „Olympii" do portu, a według relacji jednego człowieka, którego nikt nie chce słuchać, są one w Nowym Jorku jeszcze przed wpłynięciem liniowca. Przypuśćmy więc, że nie znajdowały się one nigdy na „Olympii"? Czy w jakiś inny sposób mogły się dostać do Nowego Jorku? Owszem. Statek „Gigantic" opuścił Southampton tego samego dnia co „Olympia", a „Gigantic" jest rekordzistą na trasie atlantyckiej i dobija do Nowego Jorku w przeddzień przybycia „Olympii". Jeśli więc na jego pokładzie znajdowały się obligacje Liberty, to znalazły się w Nowym Jorku na dzień przed dopłynięciem „Olympii" do portu przeznaczenia. Wszystko jest więc jasne i sprawa sama zaczyna się wyjaśniać. Opieczętowana paczka to zwykła atrapa, a zmiana nastąpić musiała w samym banku. Zabieg ten byłby łatwy dla każdego z trzech bezpośrednio zaangażowanych w przygotowaniu i wysyłce obligacji z Londynu do Nowego Jorku. Każdy z nich przygotować mógł duplikat paczki i zamienić go na prawdziwy pakunek z obligacjami. A więc obligacje zostają wysłane do wspólnika w Nowym Jorku szybszym statkiem. Wraz z nimi dociera tam polecenie sprzedaży ich, z chwilą, kiedy „Olympia", dotrze do portu. Ktoś jednak musi popłynąć na „Olympii", żeby zainscenizować rzekomy rabunek.

— Ale dlaczego?

— Bo jeśli Ridgeway otworzy w Nowym Jorku paczkę i stwierdzi, że to atrapa, podejrzenia przeniosą się natychmiast z powrotem do Londynu! Mężczyzna z kabiny sąsiadującej z kabiną Ridgeway wykonuje to zadanie, pozoruje wyłamywanie zamka, żeby odwrócić podejrzenia, otwiera walizkę drugim kluczem, wyrzuca paczkę za burtę i czeka, żeby jako jeden z ostatnich opuścić statek. Nosi on oczywiście okulary, żeby zmienić swój wygląd i udaje inwalidę, ponieważ nie chce opuszczać kabiny i ryzykować spotkania z Ridgewayem. Wychodzi na brzeg w Nowym Jorku i wraca najbliższym statkiem do Anglii.

— Kto to był?

— Człowiek, który dysponował jednym z zapasowych kluczy. Człowiek, który zamówił zamek, który nie był wcale poważnie chory na bronchit i nie przebywał złożony niemoca w swoim domu na wsi... a więc ów „ociężały" staruszek, pan Shaw! Na wysokich stanowiskach zdarzają się czasami przestępcy, przyjacielu... No... jesteśmy na miejscu! Dobry wieczór, panno Farquhar. Udało mi się. Pani pozwoli?

I rozpromieniony Hercule Poirot pocałował zdumioną dziewczynę w oba policzki.

Tłumaczył:
MARIAN KOZŁOWSKI

MAGAZYN
ODGŁOSY

JERZY WILMAŃSKI

CZY ROZRYWKA JEST ŁYSA?

Na przestrzeni lat 1972—1975 Andrzej Jóźwiak publikował cykl artykułów na temat stanu i problemów przemysłu rozrywkowego w Polsce. Artykuły ukazywały się na łamach „Teatru", „Estrady", a także w „Odgłosach". Ten cykl publikacji stał się osnową większej pracy Andrzeja Jóźwiaka — „Struktura rozrywki — próba analizy".

Tytuł oczywiście od razu sugeruje wagę i ton problemów rozważanych na kartach tej książeczki. Ale tytuł jest trochę mylący. Rzecz prosta, Jóźwiak pisze o rozrywce tak jak na to zasługuje, tzn. poważnie analizuje to zjawisko od strony ideowo-wychowaczej, ekonomicznej, artystycznej itd. Lecz książeczka Jóźwiaka ma dodatkowy walor, którego poważny ton tytułu nie zdradza.

Jest tym walorem zarówno dowcip jak i sensacyjność. Takim charakterystycznym dowcipem jest rozdział pt. „Telewizja Polska" Treść tego rozdziału zawarto w... jednym zdaniu: **„Jedyne na świecie wielkie centrum telewizyjne nie posiadające wydziału rozrywki"**. Koniec rozdziału.

Dowcip ten przypomina słynne jednozdaniowe recenzje teatralne „Wiadomości Literackich", w wypadku spektakli, o których w istocie nie warto było pisać. Szczyt w tym względzie osiągnął Antoni Słonimski pisząc „recenzję" ze sztuki pt. „Kartka papieru". Zawierała się ona w jednym słowie: „Rolka".

Ale też i w wypadku rozrywki w TVP — o czymże pisać. Przecież istotnie Redakcja Rozrywki została zlikwidowana na początku bieżącego roku A że zdarzają się programy? No cóż, zdarzają się, ale prócz powtórzeń są to — być może — rejestracje sprzed roku? Któż to może wiedzieć? — i któż może przewidzieć co będzie na ekranach w tej sytuacji za rok?

Następny syntetyczny rozdział książeczki Jóźwiaka nosi tytuł „Polskie Nagrania". I o czym tu pisać? Czy naprawdę sens, po raz tysięczny rozwodzić się nad niedostatkami tej instytucji, skoro pisze o nich bez skutku prasa społeczno-kulturalna od lat? Więc Andrzej Jóźwiak zamyka rozdział „Polskie Nagrania" jednym zdaniem, które mówi wszystko: „Wieloletni pupil prawie dwu pokoleń polskiej publicystyki kulturalnej, która z uporem maniaka krytykuje, sugeruje, „wiesza psy", postuluje, prosi, żąda... Koniec rozdziału.

Przejdźmy jednak do spraw poważniejszych. Książeczka Jóźwiaka nie jest bowiem zbiorem dowcipów, lecz rzetelną analizą i zapisem sytuacji, w jakiej znajduje się przemysł rozrywkowy.

„Analiza setek przypadków niekompetencji zawodowej — pisze Jóźwiak — doprowadziła dr Laurence'a J. Petera i Raymonda Hulla do sformułowania takiej oto zasady: w hierarchii każdy pracownik stara się wznieść na swój szczebel niekompetencji. Nawet, jeśli zasadę tę przyjmiemy z przymrużeniem oka, to niektóre jej czynniki pasują jak ulał do kadrowej struktury rozrywki w naszym kraju" — konkluduje Andrzej Jóźwiak.

I nie jest gołosłowny. Oto pewien dyrektor Estrady przyszedł na to stanowisko wprost z... Instytutu Statystyki Medycznej, gdzie sprawował funkcję w... zarządzaniu aptek. Oto inny dyrektor Estrady, uprzednio przez kilkanaście lat działał... w sporcie. Oto szef wielkiej agencji artystycznej, naciskany przez dziennikarzy na konferencji prasowej, odpowiada: „Proszę mi nie zadawać kłopotliwych pytań, ja nie jestem fachowcem"..

Oto w jednym ze Studiów Sztuki Estradowej systematyczne zajęcia z interpretacji piosenki prowadzi wykładowca, który... nigdy nie śpiewał, nie śpiewa i nie będzie śpiewał, nie potrafi grać na żadnym instrumencie, a na dodatek w ogóle... nie zna nut.

Oczywiście są to sprawy niepoważne — ale niepoważne aż tak bardzo, że stają się poważnym problemem.

Sprawy rozrywki dla trzydziestu paru milionów — to nie są już żarty. I dlatego nie może być nam obojętne, co i jak podają publiczności na tysiącach estrad — przedsiębiorstwa estradowe. A tu — jak pisze Jóźwiak — nie ma złudzeń. Polska rozrywka znalazła się w repertuarowym impasie, przeżywa kryzys nowych twarzy, nowych idei...

Co zatem proponuje autor „Struktury rozrywki"? Wymienię tylko dwa postulaty — ale za to najistotniejsze.

Po pierwsze — prawne usankcjonowanie zawodu impresaria, co wyeliminowałoby z tej branży ludzi przypadkowych, którym troska o dobro społeczne i poziom artystyczny jest raczej obca. Aby impresario mógł dobrze pełnić funkcję swego rodzaju jednoosobowego biura i zarazem — opiekuna artystycznego, powinien przejść przeszkolenie humanistyczne i ekonomiczne, zakończone egzaminem weryfikacyjnym.

Po drugie — dyrektorzy Estrad winni otrzymać szersze prerogatywy, a przepisy formalno-prawne (często anachroniczne, nieżyciowe i nierealne) powinny zostać unormowane, przystosowane do rzeczywistości.

Oczywiście konkretnych postulatów i propozycji w książeczce Andrzeja Jóźwiaka jest więcej — sygnalizujących tylko niektóre. W gruncie rzeczy cała publikacja Jóźwiaka ożywiona jest jednym celem — aby polski przemysł rozrywkowy wyszedł wreszcie z impasu, aby polska rozrywka nie była łysa.

Dlaczego łysa? Otóż przytacza Jóźwiak scenę z filmu, w którym Fernandel, grający rolę fryzjera, tłumaczy klientce skarżącej się na ciągłe wypadanie włosów: „Madame, to nic, słabe włosy wypadają, ale zostaną te najzdrowsze, najsilniejsze". A siedząca na fotelu klientka jest prawie łysa. Rozrywka też nam powoli łysieje. Chodzi o to, aby jej odrosły włosy.

LION FAUCHTWANGER

GŁÓD I MIŁOŚĆ

Słynny profesor Harry Mawkins przeprowadził następujące doświadczenie: zamknął w klatce sześć szczurów — samczyków i sprytnie pomyślanymi, naładowanymi prądem płytkami oddzielił je z jednej strony od apetycznej słoninki, z drugiej — od sześciu szczurzych samiczek.

Przez 72 godziny żaden szczur, ostrzeżony uderzeniami prądu, nie odważył się przekroczyć jednej lub drugiej płytki. Po 72 godzinach głodu i tęsknoty jeden z sześciu udał się w stronę samiczek, pięć — wolało słoninkę.

Uczony mąż powtórzył doświadczenie w odwrotnym porządku: zamknął w podobnej klatce sześć szczurzych samiczek. Po 72 godzinach pięć z nich wkroczyło na drogę miłości, jedna wybrała suto zastawiony stół.

Niejaki obywatel B. W. Smith z wielkim zainteresowaniem czytał o wynikach doświadczeń profesora Mawkinsa. Uznał te wyniki za rewelacyjne, głębokie i pouczające. Swej przyjaciółce, pannie Maud Roundtree, zmniejszył niezwłocznie pensyjkę do połowy, a za to sam poświęcił się z podwójną energią swojej wytwórni dachówek.

Przeł. WŁ. KRZEMIŃSKI

WENUS—75

Foto: Alfred Gross

Roda Roda DŻENTELMENI

Pewnego dnia przyszedł do pułkownika von Nagla bardzo elegancki pan i poprosił o krótką rozmowę. W piętnaście minut później pułkownik odprowadzał swego gościa do drzwi, mówiąc: „Panie baronie, przypadek jest faktycznie godny pożałowania, ale proszę mi wierzyć — jeśli o mnie chodzi, zrobię wszystko, ażeby sprawę doprowadzić do porządku".

Po południu tegoż dnia pułkownik von Nagel wezwał do siebie swych oficerów i wygłosił do nich dłuższe przemówienie. Mówił o stroskanym ojcu, który lęka się o szczęście swej córy... Mówił o obowiązku dżentelmena wobec damy, która, być może, w jakimś momencie uniesienia posunęła się za daleko, i to właśnie z nim, z dżentelmenem....

I mówił pan pułkownik, że nie chce bynajmniej operować nazwiskiem, że pragnie potraktować sprawę jak najdyskretniej, wierząc głęboko, że sprawca będzie sam wiedział, jak powinien postąpić.

Tego samego dnia wieczorem trzej porucznicy i pięciu rotmistrzów poprosiło o rękę córki pułkownika von Nagla.

Przeł.: WŁ. KRZEMIŃSKI

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina"

K. J. G.

PRZEJŚCIE PRZEZ KRYZYS

Pod Paryżem przeszedł przez silny kryzys znany liliput Pierre Petard. Sympatyczny ten aktor, był niezastąpionym wykonawcą ról „Dzieci pułku" w wielu głośnych filmach. Owej pamiętnej nocy Pierre Petard śnił o Pałacu Kultury i Nauki. Rano stwierdził ze zrozumiałym rozgoryczeniem, iż osiągnął rozmiary normalnego mężczyzny. Pierre Petard mężnie przetrzymał kryzys i zdecydował, by nie czynić przykrości pułkom, nadal grać role ich syna, oczywiście mocno zgięty w pasie.

ZANIECZYSZCZALNIA W POWIETRZU

Ciekawego eksperymentu dokonali filmowi uczeni brytyjscy. W osobnych, zamkniętych pomieszczeniach, przetrzymywali oni: palacza oraz osobę niepalącą. I cóż się okazało? Okazało się, że po odpowiednio odczekanym czasie zarówno palacz, jak i niepalący, każdy zanieczyścił powietrze w swoim pomieszczeniu. Wynik eksperymentu palacze przyjęli ze spokojem i godnością, natomiast niepalący nie chcą się przyznać.

PSY NA FILM

W czasie realizacji filmu o życiu intymnym nornic kretów i borsuków twórcza ekipa wykorzystała najnowsze zdobycze techniki. W licznych zdjęciach podziemnych zatrudniono z powodzeniem dwa jamniki. Jamnik pierwszy, tzw. „oświetlający" miał wkręcona w plecki żarówkę, zaś drugi tzw. „Jamnik zdjęciowy" trzymał na czółku przenośną kamerę filmową. Oba pieski spisały się znakomicie, demaskując krótkowzroczność demograficzna kreta. W nagrodę planuje się ich wykorzystanie w filmach współczesnych, których akcja może się wtedy toczyć np. w namiocie, ciasnej kawalerce czy też po prostu pod kołdrą.

JESIEŃ, PANIE I SAMURAJ

Spółdzielnia „Gromada" organizuje dla pań — entuzjastek filmu japońskiego jesienne wczasy z samurajem. Samuraj z importu, uzbrojony będzie w miecze, noże, broń maszynową, brzytwę oraz niechęć do kobiet. Stosując chytre kobiece sposoby i zdrowo rywalizując ze sobą, panie usiłować będą rozbroić samuraja i ucałować go. Po każdej z pań znani krytycy filmowi omówią i podsumują jej wysiłek.

ELEGANCKI WYGLĄD
DOBRE SAMOPOCZUCIE
TYLKO W NOWYM PŁASZCZU KURTCE GARNITURZE
Z TKANINY WEŁNIANEJ
Łódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Odzieżą
zaprasza
do swoich sklepów w Łodzi:
otex
ul. PIOTRKOWSKA 51, 122, 228, 255
ul. NARUTOWICZA 32
ul. PÓŁNOCNA 1
ul. ZACHODNIA 16
ul. CIESZKOWSKIEGO 4
otex
3865/k

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102 telefony 652 44 217-98 oraz 293 00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 2132. U-3. Nr indeksu 37006/26762.